MICHAŁ STONAWSKI

PARANORMALNE

PRAWDZIWE HISTORIE NAWIEDZEŃ

HORYZONT znak

Uwierzysz czy boisz się uwierzyć?

MICHAŁ STONAWSKI

PARANORMALNE

PRAWDZIWE HISTORIE NAWIEDZEŃ

Znak Horyzont
Kraków 2020

WSTĘP

DROGI CZYTELNIKU,

pamiętasz może, kiedy pierwszy raz usłyszałeś o zjawiskach paranormalnych? Bo ja, tak szczerze mówiąc, nie. Ale jestem przekonany, że takie opowieści słyszał każdy, przynajmniej raz w swoim życiu. Wszyscy je znamy – do babci przyszedł zmarły dziadek. We śnie pojawiła się zmarła ciocia, by się pożegnać. W starym mieszkaniu dziadków czasami trzeszczy podłoga, jakby ktoś po niej chodził. Mnie osobiście kiedyś przyśnił się zmarły wujek – stał w jakiejś kolejce, a kiedy go przytuliłem, pogroził mi żartobliwie i kazał być grzecznym. Mój tata opowiedział mi kiedyś inną historię, że jego dziadek – którego bardzo kochał – nad ranem przyszedł do niego we śnie i zaczął się z nim żegnać. Rano okazało się, że właśnie wtedy dziadek mojego taty, mój pradziadek, umarł.

Piszę o tym dlatego, że zjawiska paranormalne (czyli sprzeczne z naszym stanem wiedzy, trudne do wytłumaczenia) nie są czymś, co widzimy tylko w hollywoodzkim horrorze, kiedy zajadamy się popcornem. To są wydarzenia, które od zawsze – od kiedy tylko istnieje rodzaj ludzki – były obecne w naszym otoczeniu. Część z nich została wyjaśniona i stała się naszą nauką. Wiemy, że burza z piorunami nie oznacza gniewu bogów i że śmierć człowieka nie jest jedną chwilą, a całym procesem. Nie wiemy

jednak, czy po naszej śmierci będziemy nadal funkcjonować w jakiejś formie, czy też będzie ona stanowić ostateczny kres naszej świadomości. Nie wiemy, czy oprócz naszego świata są także inne. Współczesna nauka przewiduje, że mogą istnieć zarówno inne wszechświaty, jak i inne wymiary, w sensie fizycznym. Ale jak dotąd nie zostało to w żaden sposób potwierdzone – tak samo jak nie została potwierdzona „realność” zjawisk paranormalnych. Chociaż prowadzono nad nimi różnorakie badania, a niektóre potwierdziły prawdziwość obserwowanych zjawisk.

Czy tego jednak chcemy, czy nie – opowieści o wszelakich dziwach są elementem naszej codzienności. Ale czy to samo dotyczy zjawisk paranormalnych?

O tym za chwilę.

Zdecydowałem się napisać tych parę słów wstępu, by wyjaśnić pewne sprawy, które uważam za ważne w kontekście tej książki. Po pierwsze, nie napisałem publikacji popularnonaukowej. To brzmi jak oczywistość – w końcu zajmuję się sprawami wykraczającymi poza tematy naukowe… ale tak naprawdę wcale tak nie jest. Nauka ma za zadanie wyjaśniać otaczającą nas rzeczywistość. Opisywać ją w taki sposób, aby na podstawie kalkulacji można było przewidzieć pewne wydarzenia. Na przykład badając kosmos i trajektorie asteroid i planetoid, możemy przewidzieć, czy któraś z nich będzie w stanie zagrozić naszej egzystencji. Z trudnych dla mnie do zrozumienia powodów część osób uważa, że zjawiska niewyjaśnione z góry zasługują na pogardę i całkowite zaprzeczenie możliwości ich występowania. Nieprzypadkowo podałem chwilę wcześniej przykład asteroid. Istnieje taka anegdota, że w XVIII wieku, kiedy zaczęto we Francji mówić o meteorytach, Francuska Akademia Nauk orzekła, że jakiekolwiek doniesienia o spadających z nieba kamieniach są kłamstwem, ponieważ w niebie kamieni nie ma. Głupcy? Jeśli uśmiechnąłeś (lub

uśmiechnęłaś) się teraz pod nosem, to muszę ostudzić te emocje. Francuscy naukowcy mieli przecież rację – w niebie kamieni nie ma. Nie dopuścili jednak do siebie możliwości, że ich obraz świata może być niepełny. Historia nauki roi się od przypadków, kiedy wielkie odkrycia były po prostu wyśmiewane, ponieważ pozostawały w sprzeczności z ówczesnym obrazem świata. Kiedy Charles Darwin opublikował książkę *O pochodzeniu człowieka*, wzbudził nią wiele kontrowersji, które nie milkną nawet dzisiaj. Podobny los spotkał niemieckiego geofizyka Alfreda Wegenera, którego teorie o tym, że kontynenty dryfują, spotkały się w środowisku naukowym USA z serią drwin i wyzwisk. Tylko dlatego, że ogłosił odkrycie, które wstrząsnęło światem naukowców. Niektórzy z nich nie chcieli zweryfikować swoich poglądów, chociaż mieli możliwość powtórzyć przeprowadzone badania i sprawdzić ich prawidłowość. To zacietrzewienie, które często widzę także w odniesieniu do zjawisk paranormalnych – natychmiastowa negacja.

Problem polega jednak na tym, że współczesna nauka nie dysponuje narzędziami, by w zadowalający sposób zbadać istotę takich zjawisk.

Myślę, że istotą nauki, tak samo jak wątpienie, jest bycie otwartym. I chociaż właśnie tym mottem staram się kierować w moich badaniach nawiedzonych miejsc, to naturalną konsekwencję faktu, że ta książka nie jest publikacją popularnonaukową, stanowi to, że – podobnie jak nauka – nie dysponuję żadnym sposobem, by w jakikolwiek sposób udowodnić istnienie duchów czy innych wymykających się zrozumieniu zjawisk.

Chwilę temu zadałem pytanie – czy, podobnie jak historie o nich, zjawiska paranormalne są elementem naszej rzeczywistości? Moja odpowiedź brzmi: nie wiem. A właściwie – to zależy.

To zależy, czy jesteśmy jak ci naukowcy, dla których ich wizja świata staje się absolutnym pewnikiem, religią, w którą będą ślepo i fanatycznie

wierzyć, czy też jak ci, którzy mają świadomość, że istnieje jeszcze mnóstwo rzeczy, których nauka nie opisała, nie zauważyła i póki co nawet nie potrafi zbadać. Oczywiście można należeć jeszcze do trzeciej grupy osób – fanatyków, którzy uważają, że nauka to oszustwo, naukowcy nie mają nic do powiedzenia, a rządy światowe uknuły jakiegoś rodzaju spisek przeciwko ludzkości (chociaż nie oznacza to, że żadnych spisków nie ma). Tacy ludzie bez zastanowienia łykają każdą spiskową czy paranormalną teorię jako pewnik, co również nie jest zdrowe i, mówiąc szczerze, psuje całą walkę o to, by badania nad zjawiskami paranormalnymi nie były postrzegane jako zabawa dla głośnej grupy oszołomów z foliowymi czapkami na głowach.

Na wczesnym etapie moich badań związanych z nawiedzonymi miejscami zdałem sobie sprawę, że skoro nie mogę udowodnić, że duchy istnieją, to nie powinienem się wcale starać tego robić, i w tej książce również takiego podejścia nie uświadczysz. Zamiast tego mogę po prostu opowiedzieć Ci historię. Historię o miejscach, w których działo się coś niezwykłego, oraz o ludziach, którzy te niezwykłe rzeczy widzieli, słyszeli, a czasami nawet z nimi walczyli. Mogę też poszukać w tych opowieściach ziarna prawdy – zweryfikować fakty, jeśli zaistnieje taka możliwość. Pooglądać stare mapy i przeszukać archiwa, żeby potem potwierdzić daną opowieść lub zaprzeczyć jej prawdziwości. Znaleźć i wypytać świadków. Na tym właśnie polegała moja praca przez ostatnie dwa lata. Na tym oraz na wyszukiwaniu nawiedzonych miejsc.

To wcale nie jest trudne – znaleźć nawiedzone miejsce. Problemem jest to, by wybrać z nich tylko parę, podczas kiedy chciałoby się odwiedzić i zbadać je wszystkie. Żeby dać Ci, Czytelniku, jakiś punkt odniesienia, napiszę tylko, że w samym Krakowie, gdzie mieszkam, takich miejsc jest około setki, jeśli nie więcej. To samo dotyczy wielu miast w Polsce.

Doliczmy do tego mniejsze i większe miasteczka oraz wsie. Chaos. Aby nie oszaleć (oraz, przy okazji, nie zbankrutować – nie oszukujmy się, każda wyprawa do takiego miejsca wymaga nakładów finansowych), musiałem ciąć. Mimo że mówimy tylko o naszym kraju.

Pierwsze „poleciały" wszelkie zamki, kasztele, nawiedzone wieże i ruiny dawnych twierdz. Dlaczego? Cóż, zapytaj sam siebie, drogi Czytelniku – kiedy ostatnio przeraziła Cię Biała Dama z zamku Czocha? Albo Biała Dama, która wydostaje się z obrazu na zamku w Kórniku? Albo Czarna Dama z zamku w Janowcu? To są legendy, opowieści, które jako ciekawostkę można zamieścić w przewodniku turystycznym.

Pisałem wcześniej – zjawiska paranormalne to element naszej codzienności. Interesują mnie więc te zdarzenia, które są gdzieś obok. Nawiedzony dom niedaleko Twojego miejsca zamieszkania. Zawsze się jakiś trafi. Jaka historia się za nim kryje? Co się w tym miejscu stało?

Naturalne wydało mi się więc i to, żeby zainteresować się miejscami, których historie rozgrywały się w ciągu (plus minus) ostatnich stu lat. Bo tę rzeczywistość jesteśmy w stanie jeszcze zrozumieć. Każdy wie przecież, jak to jest mieszkać w domu. Ale czy ktoś wie, jak to jest, kiedy mieszka się na zamku albo w renesansowym mieście? To są światy, które bardzo trudno „poczuć".

Pomyślałem więc sobie, że chciałbym w tej książce pokazać w przekroju, jak przez ostatnie sto lat zmieniała się narracja o wydarzeniach paranormalnych. I jak rezonują one dzisiaj. Takie właśnie kryteria doboru przyjąłem – potem trzeba było tylko znaleźć historie, których paranormalność nie sprowadzała się wyłącznie do tego, że stary dom pod lasem wygląda strasznie.

Mam nadzieję, że udało mi się – oczywiście nie bez bólu – odnaleźć i przebadać wystarczającą liczbę miejsc, chociaż dla mnie jako

poszukiwacza i badacza takich historii nigdy nie będzie ich za dużo. Gdy się nimi zajmowałem przez ostatnie dwa lata, starałem się sprawdzić wszystkie możliwe archiwa, odnaleźć wszystkie mapy, dzienniki, pisma i gazety oraz znaleźć wszystkich ludzi, którzy mogli mi o nich opowiedzieć. Nie łudzę się jednak – nie zbadałem tych historii w stu procentach. Dlaczego? Bo to po prostu niemożliwe – zawsze znajdzie się ktoś, kto może powiedzieć coś więcej o nawiedzonym miejscu. Tu jakaś plotka, która jednym małym szczegółem różni się od tej, którą usłyszałem wcześniej. Tam jakiś sąsiad, którego akurat nie było w domu, a który ma swoje własne podejrzenie co do danej historii. Mimo to jestem pewien, że w każdym miejscu spędziłem tyle czasu, by móc przedstawić wystarczająco spójny wynik mojego śledztwa.

Większość z historii opisanych w tej książce starałem się ubarwić własnymi wyobrażeniami – to taki krótki fabularyzowany wstęp, który pomagał mi w badaniu tych miejsc. Chcę jednak zaznaczyć, że fabularyzacja jest z mojej strony czystą, opartą na faktach, spekulacją. To właśnie fantazja sprawiała, że przenosiłem się w czasie i przestrzeni, by lepiej poczuć daną historię i spróbować zrozumieć jej bohaterów. Mam nadzieję, że i Tobie, drogi Czytelniku, umili ona tę „podróż”.

Ostatecznie chciałem po prostu opowiedzieć Ci ciekawą historię i sprawić, byś czas z tą książką uznał za dobrze spędzony.

Czego serdecznie Ci życzę.

Michał Stonawski

Kraków, 7 maja 2020

ROZDZIAŁ I

Tu nie ma żadnych duchów



Lewitujący na haku krzyż w domu opieki
Fot. Michał Stonawski

MAŁE MIASTECZKO

Nie wiem, czy istnieje bardziej wyeksploatowany motyw we współczesnej literaturze grozy niż małe miasteczko gdzieś na odludziu. Jego społeczność jest zamknięta, powiedziałbym nawet, że ksenofobiczna – ludzie mają własne przyzwyczajenia, rytuały i tajemnice. Istnienie jakiegoś zamkniętego kręgu czy kultu od razu przywodzi mi na myśl Lovecrafta, ale prawdziwym popularyzatorem małych miasteczek był przecież Stephen King – w twórczości obu tych pisarzy zaczytywałem się zresztą nie raz. Każdy, kto ma jakiekolwiek pojęcie o popkulturze, z pewnością pamięta „To” – w małym miasteczku Derry dochodzi do manifestacji sił nadprzyrodzonych, Pennywise – najbardziej kojarzony jako demoniczny clown – porywa dzieci. Albo to: małe miasteczko Chester’s Mill zostaje nagle zamknięte pod tajemniczą kopułą i traci kontakt ze światem zewnętrznym. Albo coś jeszcze innego – małe miasteczko Salem, w którym zaczynają znikać dzieci i dorośli. Tak sobie myślę, że coś w tym jest – zamknięte społeczności, odludzie na końcu świata i paranormalne zjawiska, to się po prostu klei.

Trzeba wspomnieć jeszcze o czymś – Polska to idealny teren do poszukiwania duchów. Czemu? Wytłumaczę.

Od dłuższego czasu wypytuję znajomych, szukam kontaktów i przetrząsam sieć w poszukiwaniu ciekawych nawiedzonych miejsc. Tych zresztą jest naprawdę sporo – kraj z tak długą i bogatą historią jak Polska może się poszczycić wręcz setkami ciekawych zakątków. Od druidzkich kręgów czy świętych gajów Słowian poprzez ruiny zamków (zwykle straszą w nich wszelkiej maści białe damy – tu niestety duchy nie wykazały się

kreatywnością), stare, przedwojenne kamienice, lasy, w których giną ludzie, aż po wszelkiej maści rudery – czy to z okresu wojen, czy też głębokiego PRL-u. Wystarczy pomyśleć, ile w ciągu ostatnich wieków nieszczęść, wojen, kataklizmów i zbrodni spotkało Polskę i Polaków, by dojść do wniosku, że w temacie duchów nasz kraj musi być prawdziwą kopalnią złota. Zachodzi bowiem korelacja – tam, gdzie działo się źle, gdzie używano przemocy, gdzie szerzyły się zawiść, rasizm, zazdrość czy wszelkiej maści nietolerancja, tam zawsze pojawiały się duchy. Aby je znaleźć, wystarczy więc ruszyć śladami krwi.

Do niedawna uważałem, że coś takiego jak motyw „małego miasteczka" nie ma prawa zaistnieć w polskiej rzeczywistości literackiej. Tak naprawdę sam nie wiem czemu – może chodzi o western, w końcu miasteczka Kinga są związane właśnie z tym gatunkiem – mamy bohatera (lub ich grupę), przeciwnika, dociekanie prawdy, w miasteczku rządzi twardą ręką szeryf, a motywuje (albo demotywuje) proboszcz. To już się nie klei – przecież polskie miasteczka i wsie są inne, nie znajdziesz szeryfa, policję też raczej rzadko się spotyka, bo ta ma pod opieką parę wsi. A duchy… chyba nadszedł czas na anegdotę, inaczej tego nie wyjaśnię.

Badałem kiedyś sprawę nawiedzonego domu w małej podkrakowskiej wsi. Podobno jego właściciel pewnego razu zszedł do swojego salonu i zobaczył swoje dwa psy, jamniki, obdarte ze skóry, leżące na dywanie – ciągle jeszcze żywe. Potem często budził się nagle w innych miejscach, niż zasnął. Nocami słyszał głosy i płacz. W końcu się wyprowadził, a dom pozostał pusty. Nikt nie chciał go kupić – wszyscy, którzy początkowo wydawali się zainteresowani, szybko tracili entuzjazm. Kiedy tam przybyłem, w domu od lat nikt nie mieszkał, pamiętam powybijane okna i zarośnięty ogródek, pełen samosiejek. W środku potłuczone butelki i porozrzucane gazety oraz ściany, na których grzyb malował ludzkie

twarze. Raz wydawało mi się, że patrzy na mnie wystraszony, wrzeszczący Chrystus.

Było coś, co mnie uderzyło w tamtym miejscu – cisza. Wszechogarniająca, obezwładniająca cisza. Okazało się to cechą wspólną nawiedzonych miejsc – są jednak różne rodzaje ciszy. Czasem wydaje ci się, że miejsce, w którym jesteś, zostało odcięte od świata i wszystko, co żywe, zostało za jakąś kurtyną, oddzielającą od siebie dwie rzeczywistości. Innym razem cisza stanowi synonim spokoju – często można tego doświadczyć na cmentarzu, kiedy spaceruje się wśród grobów w deszczowy jesienny dzień. Może być też przysłowiowa „cisza przed burzą”, pełna napięcia, kiedy wiesz, że zaraz coś się wydarzy. W przypadku nawiedzonych miejsc nie jest to z reguły zbyt dobry znak.

Ale w Głogoczowie panowała inna cisza – nie umiem tego nazwać, lecz wydawało mi się, że przebywam w towarzystwie wycofanego bitego dziecka, które z całych sił stara się „nie istnieć”. Wiedziałem, że cokolwiek stało się w tamtym domu, było naznaczone taką traumą, że całe to miejsce cierpiało na swego rodzaju syndrom stresu pourazowego.

Wiele się nie pomyliłem. Jeden z mieszkańców wsi, staruszek, którego zagadnąłem, kiedy pracował w ogródku, powiedział mi wprost: „Panie, ten dom to całkiem zwyczajny budynek. Tu nic się nie działo, spokojne miejsce, tylko ten właściciel bił swoją żonę…”.

W Głogoczowie duchów nie zastałem – było tam coś znacznie gorszego: przemoc, na którą nikt nie reagował. Mąż bił żonę – chociaż to straszne, to przecież niezbyt zaskakuje. To się zdarza ciągle wokół nas. Ale w całej tej historii obchodzi mnie jedna kwestia – to, jak mieszkańcy podchodzili do tego problemu. Musieli przecież wiedzieć, co się tam działo. I wiedzieli – bardzo dobrze. Sami mi przecież o tym opowiedzieli. Kiedy wyjeżdżałem, od plotek huczało mi w głowie, ale… to nie była ich sprawa.

Byli oni, wieś, no i „ten” dom. Oni, społeczność, i „to” małżeństwo. Ich sprawy i „ta sprawa, że on ją bił”. Jakby to małżeństwo nie należało do społeczności, oni po prostu mieszkali na tym samym terenie. Kiedy dom okazał się nawiedzony, scenariusz okazał się ten sam: „TAMTEN dom”. Nikt nie powiedział, że to w ich wsi znajduje się nawiedzony dom, że to u nich straszy. Nawiedzony dom? Jest, ale „tam, za wsią, koło tego lasku, co, wie pan, tamta krowa, o tam, się pasie”.

To nie jest wcale odosobniony przypadek – gdziekolwiek nie jechałem, nawiedzony dom nie był ani wspólną tajemnicą, ani czymś, co mieści się we wsi – nawet jeśli stał w samym jej środku. Był po prostu skazany na banicję, odcięcie od tkanki małego miasteczka.

Myślałem, że tak to po prostu u nas wygląda – albo to zwyczajnie jakiś dom, o którym krążą plotki, albo miejsce, które jest powodem do wstydu – w tym wypadku zapytani zwykle reagują agresją. Wiara w duchy to tak wstydliwa rzecz, że nie można się do nich przyznać.

Ale Turza Wielka całkowicie zrewidowała moje przekonania – właśnie tam po raz pierwszy w swoim życiu poczułem, że znajduję się w samym centrum małego miasteczka.

***

Wszystko zaczyna się w grudniu 2017 roku. Pewnego dnia, zamiast relacjonować wydarzenia ze świata polityki, w „Wydarzeniach” prezenter opowiada o… duchach.

> *Latające noże, łyżki, kłódki i dziwne dźwięki. Sześcioosobowa rodzina woli mieszkać w przytulisku Caritasu niż we własnym domu. Powód – duchy*[1].

Dziwi mnie już sam fakt wzmianki na kanale o takim zasięgu – to prawda, wiadomości o zjawiskach nadprzyrodzonych czasami pojawiają się w mediach głównego nurtu, częściej jednak jako ciekawostka na stronie internetowej, do społu z nagłówkami o nadciągającej niszczycielskiej asteroidzie czy innym końcu świata – z reguły promowane są zaś w sezonie ogórkowym, kiedy naprawdę nie ma już o czym mówić. Tymczasem sezon ogórkowy już dawno się skończył, do świąt pozostała jeszcze chwila, a w materiale widzę wyglądający na wiekowy dom z czerwonej cegły i przebitki z rozmów z udręczoną rodziną i sołtysem.

Wiadomość roznosi się szybko po innych mediach – prezenterzy wszystkich liczących się stacji telewizyjnych wspominają o Turzy Wielkiej, małej wsi pod Działdowem. Szczerze mówiąc, nie wiem nawet, gdzie jest Działdowo, sprawdzam w Googlach i dowiaduję się, że to gdzieś na Mazurach.

Właśnie wtedy zaczynam przygotowywać swoją wyprawę, lecz minie jeszcze ponad rok, nim uda mi się ją urzeczywistnić. Bawi mnie to szczególnie, bo przecież nie chodzi o dorzecze Amazonki, ale o wieś w Polsce. A jednak – aby dostać się do Turzy Wielkiej z drugiego końca kraju, trzeba się postarać.

Newsy po jakimś czasie znikają z pierwszych stron gazet, a do Turzy zaczynają ściągać wszelkiej maści youtuberzy zajmujący się nawiedzonymi miejscami, samozwańczy egzorcyści i inni ciekawscy. Obserwuję to i czekam cierpliwie, aż cała fala przetoczy się przez miasteczko – intuicja podpowiada mi, że gdzieś w tym wszystkim jest drugie dno.

To, że się nie mylę, pokaże dopiero przyszłość, ale nawet w najśmielszych snach nie przypuszczam, jak bardzo.

* * *

Poltergeist (z niemieckiego „hałaśliwy duch”) to termin określający zespół paranormalnych zjawisk, do których należą samoistne przemieszczanie się przedmiotów, ich unoszenie się oraz przeróżne hałasy i stuki. Przedmioty mogą też same pojawiać się w jakichś miejscach lub z nich znikać. Nauka wyraża się o takich zjawiskach dosyć jednoznacznie – halucynacje, jednak takich „halucynacji” doznają od lat ludzie w każdym zakątku globu. Z reguły w starych domach z „historią”. Dom, w którym mieszkają Pokropscy w Turzy Wielkiej, ma już swoje lata oraz swoją historię – znajduję plotki o wcześniejszych lokatorach domu, niemieckiej rodzinie, którą wymordowali Sowieci. Czy to duchy pomordowanych domagają się uwagi? Znajomy egzorcysta mówi mi, że tak właśnie może być – zresztą, wydarzeniami z Turzy Wielkiej zainteresował się nawet australijski badacz poltergeistów Paul Cropper, co tylko pokazuje, jak daleki zasięg ma informacja, chociaż to, że Cropper jest zainteresowany tematem, nie oznacza wcale, że się z nim zapoznał – co zresztą przyznaje w króciutkim wywiadzie przeprowadzonym przez serwis dzialdowo.wm.pl:

> **Skąd dowiedziałeś się o historii domu z Turzy Wielkiej?**
> **P.C.:** *Śledzę takie zdarzenia na bieżąco. Znalazłem ten przypadek w internecie. Skontaktowałem się z Tobą i zbieram materiał. Sprawy z Turzy dokładnie nie znam, ale nie mam powodów by nie wierzyć tej rodzinie*[2].

Czy w domu w Turzy straszy właśnie poltergeist, duch bądź też zjawisko, które manifestuje swoją obecność niepokojącymi dźwiękami i zaburzeniami pola grawitacyjnego? Z pewnością zanim nastała jesień 2017 roku, nawet rodzina Pokropskich wyśmiałaby ten pomysł. Coś jednak zmieniło ich percepcję, a historia o tym wkrótce miała okrążyć nie tylko całą Polskę, ale i świat.

* * *

Listopad. W Turzy Wielkiej, leżącej w województwie warmińsko-mazurskim, jesień oznacza znaczny spadek temperatury. Ponieważ wieś ze wszystkich stron otoczona jest polami uprawnymi, wiatr bez przeszkód wpada między niskie domy i nawet temperatura, która gdzie indziej nie byłaby problemem, tu się nim staje. Ziąb dosłownie przeszywa człowieka na wylot.

To była noc. Leżący w łóżku mężczyzna, choć szczelnie okryty grubą pierzyną, przewracał się niespokojnie. Wiatr musiał sobie najwyraźniej znaleźć jakąś szparę, bo tej nocy w domu panował wyjątkowy chłód. Trudno było się dziwić – ten budynek miał już swoje lata, przed wojną mieszkali tu podobno Niemcy. Właściciel i jego żona usiłowali o niego dbać, ale to wcale nie takie łatwe, kiedy bieżące sprawy potrafią niemal całkowicie opróżnić portfel. Ziębnący pod pierzyną mężczyzna postanowił, że zaraz z rana przyjrzy się dokładnie dachowi. Przymknął oczy i uspokoił oddech, czując, jak powoli zapada się w poduszkę, w łóżko, w końcu gdzieś w samego siebie.

Głuchy wybuch sprawił, że poderwał się nagle do pozycji siedzącej. To samo zrobiła jego żona.

– Co to było? – zapytała cicho.

– Nie wiem. Czekaj tutaj.

Gospodarz niechętnie wyszedł spod pierzyny i niemal natychmiast poczuł przenikające go zimno. Sięgnął ręką i obok łóżka wymacał chłodną w dotyku latarkę. Zawsze się przydawała, kiedy w nocy chciał iść do ubikacji i nie budzić przy okazji połowy domu. Teraz oświetlał nią stare popękane ściany domu, w którym mieszkał już piętnasty rok z rzędu.

– To pewnie nic takiego – powiedział, sam nie wiedząc, czy mówi do siebie, czy do żony.

Wstał i wyszedł z pokoju. Uważnie sprawdzał każde z pomieszczeń. Nocne hałasy nie były czymś pospolitym, ale miał swoją teorię dotyczącą ich pochodzenia. Dosyć przyziemną, ale prawdopodobną, biorąc pod uwagę, że mieli czworo dzieci. Najprawdopodobniej któreś z nich, może więcej niż jedno, po prostu nie spało i w takim wypadku będzie się musiało liczyć z niezadowoleniem rodzica.

Światło latarki wydobywało jednak z mroku same śpiące postacie. Dzieci udawały? To możliwe, ale mężczyzna nie przeżył swojego życia na darmo. Umiał rozpoznać blef. W tym domu, jego domu, obowiązywały pewne zasady – hałasowanie w nocy było surowo zakazane. Uważnie przysłuchiwał się spokojnym oddechom. Wyglądało na to, że to jednak nie dzieci były winne. Co więc mogło się stać?

Mężczyzna poczuł pierwsze ukłucie niepokoju. Obrócił się i ruszył dalej. Przesuwający się snop światła oświetlił kuchnię: stojak na noże, stos talerzy, szafki, haczyki z wiszącymi na nich ścierkami, używaną wersalkę, którą dopiero co kupili, i półkę, na której rodzina trzymała najważniejsze przedmioty – czegoś na niej brakowało.

Baterie leżały teraz na drewnianej podłodze i to najprawdopodobniej one, spadając, narobiły hałasu. Mężczyzna zmarszczył brwi, podniósł je i odłożył na swoje miejsce. Nie mogły spaść same z siebie. Jedyne wyjaśnienie było takie, że jego zmysł zawiódł i któreś z dzieci nie spało. A teraz podśmiechiwało się w poduszkę.

Gospodarz skrzywił usta w grymasie złości. Rano musiał iść do pracy, chciał spać, nie zaś prowadzić nocne śledztwa. Już miał iść do pokoju dzieciaków, kiedy zatrzymał się niepewnie. Coś było nie tak. Stojak na noże okazał się pusty.

Ciszę rozerwał wrzask żony. Mężczyzna ruszył biegiem z powrotem, ignorując rozespane głosy starszych i płacz młodszych dzieci. Wpadł do

sypialni i jakby przeczuwając, co się stało, od razu skierował światło latarki na łóżko, w które wbito jeden z noży. Potem z mroku wyłoniła się blada twarz kobiety.

– On latał – wyszeptała. – Nóż.

Z pokoju dzieci dobiegł kolejny krzyk, tym razem świadczący o strachu. O szafki naprzeciw drzwi uderzyła lalka.

Tej nocy skończył się spokój rodziny Pokropskich.

* * *

Trudno dobrze oddać to, co działo się w domu Pokropskich – zostają mi jedynie spekulacje i wyobraźnia, dowiedziałem się jednak, że to wszystko wcale się nie skończyło, wręcz przeciwnie – wciąż dzieje się tam coś dziwnego. Zrozpaczona rodzina zwróciła się wreszcie o pomoc do miejscowego proboszcza, który przybył do ich domu odprawić modły. Jednak podczas tego obrzędu duża żeliwna kłódka przeleciała obok głowy księdza i strąciła mu czapkę. Modlitwa nie przyniosła oczekiwanego efektu – rodzina Pokropskich musiała poszukać innego sposobu.

Próbowałem skontaktować się z księdzem Mirosławem Culepą, który jako pierwszy (nie licząc samych poszkodowanych) miał kontakt z duchami z Turzy, ale przeniesiono go z Turzy Wielkiej w nieznane miejsce. Przedstawiciel Kurii Diecezjalnej Toruńskiej, z którym udało mi się porozmawiać, udzielił mi wymijających odpowiedzi, twierdząc, że nie ma pojęcia, gdzie przebywa jeden z ich księży ani jak się z nim skontaktować. Szczerze mówiąc, nie chciało mi się wierzyć w to, by kuria nie wiedziała o aktualnym miejscu zamieszkania swojego duchownego. Z pewnością natomiast mieli inny pogląd na sprawę z Turzy Wielkiej – a ja z radością bym go przedstawił. Napisałem o tym w wiadomości do przedstawiciela kurii, ale nigdy na nią nie odpowiedziano.

Nie miałem zamiaru odpuścić, więc udałem się do siedziby kurii – tam jednak napotkałem tylko zamknięte drzwi, a nieprzyjazny i wyraźnie poirytowany głos dobiegający z głośnika oznajmił:

– Proszę opuścić nasz teren.

– Nie rozumiem, chciałbym tylko zapytać…

– Proszę stąd iść. Nie zajmujemy się takimi sprawami.

Dalsze próby nawiązania kontaktu spełzły na niczym.

Przyznam, że gdy opuszczałem teren kurii, czułem się skołowany. Kto, jeśli nie Kościół, powinien się zajmować sprawami rzekomo nawiedzonych miejsc i opętań?

Okazało się, że jest jeszcze jedna możliwość skontaktowania się z księdzem Culepą – wszystkie kurie w Polsce mają obowiązek udostępniać swoje rejestry, w których powinna być odnotowana każda zmiana administracyjna. Problem w tym, że w tym dokumencie nie ma żadnej wzmianki o proboszczu z Turzy Wielkiej – zupełnie jakby nie istniał.

Jedyne wzmianki o duchownym, które udało mi się znaleźć, dotyczą afery związanej z jeszcze inną wsią, w której Culepa rezydował – chodzi o Czarże, wieś położoną gdzieś pod Bydgoszczą – tamtejsi parafianie toczyli ze swoim proboszczem wojnę, której echo ciągle pobrzmiewa w sieci:

> *Ks Culepa to nawet potrafił ciężarną kobietę wyprosić z ławki,przestawiał wszystkich gdzie kto ma stać. Ławki dla dzieci na przedzie zlikwidował, bo żeby dziecko mogło usiąść to trzeba by wykupić miejsce w ławce. NA chór tez był zakaz wstępu, nawet na schodach nie wolno było stać. W czasie pogrzebu kwiatów w ławce nie wolno trzymać. Komunji jak najmniej przyjmować bo przecież ksiąc musi ją kupić, i dawać jak najwięcej kasy bo tylko to się liczy*

A gdy będzie chodził po kolędzie to proszę postawcie mu krzesło bo z fotela to trzeba będzie go wyciągnąć. drodzy parafianie nie dajcie się my męczyliśmy się z nim 8 lat[3].

Podejrzewam też, że zwierzchnikowi księdza mógł się nie spodobać incydent w Turzy – zaraz po ucichnięciu sprawy ks. Culepa został w końcu przeniesiony. Cokolwiek stało się z duchownym – bardzo trudno nawiązać z nim kontakt. Sam Kościół zazdrośnie strzeże swoich tajemnic, a jedną z nich, jak widać, jest miejsce pobytu dawnego proboszcza Turzy Wielkiej.

Wracam myślami do Pokropskich, którzy musieli zmierzyć się z tym, że nawet modlitwy księdza nie zapewniły im żadnej ochrony. W końcu sytuacja doprowadziła rodzinę do ostateczności.

23 listopada, w środku nocy, spakowali najpotrzebniejsze rzeczy i bladym świtem zameldowali się w najbliższym ośrodku Caritasu. Kiedy wracali do domu, 4 grudnia, o tym, co się stało w Turzy Wielkiej, wiedziała już cała Polska, a spokojne niegdyś małe miasteczko przeżywało prawdziwe medialne oblężenie.

* * *

Dlaczego mieszkańcy domu w Turzy Wielkiej zdecydowali się na ucieczkę? Dlaczego modlitwa miejscowego proboszcza nie poskutkowała? Jak potężny musi być duch, by nie dało się go w ten sposób wygnać?

Być może w domu Pokropskich wcale nie straszył poltergeist, ale zjawa – potężny byt, który potrafi przyssać się do jakiegoś domu jak pijawka i karmić się strachem, bólem i bezsilnością zamieszkujących go osób. Coś na tyle silnego, by zranić człowieka – znalazłem informację, że wskutek działań tej istoty ucierpiała córka Pokropskich, dwunastoletnia Martyna, którą z Caritasu zawieziono do szpitala z ostrymi bólami brzucha. Z drugiej

strony to właśnie poltergeisty skupiają się zwykle na dzieciach, wspomina o tym nawet Paul Cropper:

> *W wielu przypadkach, które badałem, dziwne wydarzenia wydają się skupiać na młodej osobie, zazwyczaj młodej dziewczynie. Jeśli tej osoby nie ma w domu, nic dziwnego się nie wydarzy. Nie jestem pewien, dlaczego tak jest w przypadku rodziny Pokropskich, ale jest to wspólny wzorzec. Chciałbym zapytać rodzinę, czy zdarzają się dziwne wydarzenia, gdy ich córki nie ma w domu*[4].

Patrzę na duży dom z czerwonej cegły w Turzy Wielkiej – jeśli miałbym wyobrażać sobie nawiedzone miejsce, to właśnie tak mogłoby wyglądać – spory kamienny budynek, ze ścian odpada brudny tynk. Dom zwieńczony jest wypłowiałym blaszanym dachem, a po wejściu do środka moim oczom ukazuje się zawalona szafkami sień, z której można wejść do różnych mieszkań – ścianę osnuwają pajęczyny, a brudna żółta farba odpada ze ścian. To nie tak, że kiedy wchodzę tu pierwszy raz, mam dreszcze – ale to miejsce nie należy do najprzyjemniejszych. Pachnie tu starością, kurzem i pleśnią.

Zastanawiam się, gdzie leży przyczyna paranormalnych problemów tego budynku. Niektórzy z członków liczącej niespełna siedemset osób społeczności twierdzą – to już wiem – że ma to związek z morderstwem, które przed wojną popełnili radzieccy żołnierze na mieszkających tu Niemcach. Starsi mieszkańcy wspominają nazwisko: Stern, dziedzic, który podarował Kościołowi ziemię pod cmentarz, ale zaznaczył, że ludzie mają być tam chowani za darmo. To jego mieli zamordować czerwonoarmiści, ale ten trop szybko się rozmywa – „to prawda, że tego Sterna zamordowali żołnierze Armii Czerwonej – mówi mi jedna ze starszych sąsiadek – ale oni go najpierw gdzieś wywieźli, to się nie stało tutaj”. Rodzi się więc pytanie –

czy dawny dziedzic wrócił na swoje włości po latach? To trochę naciągana teoria, bo czemu wcześniej nic się nie działo?

W ogródku poniemieckiego domu widzę krzątającą się kobietę, ale nie wydaje mi się, by była to pani Pokropska – widziałem ją przecież wiele razy w telewizji. Po krótkiej rozmowie okazuje się, że kobieta wraz z mężem również mieszkają w nawiedzonym domu i jako drudzy lokatorzy budynku są często wycinani z relacji o nim.

Kiedy pytam dlaczego, kobieta śmieje się głucho i wyjaśnia:

– Bo jesteśmy niewygodni. My ducha ani nie widzieliśmy, ani nie słyszeliśmy. I nie wierzymy, że w ogóle jakiś był, tam w mieszkaniu działy się różne rzeczy, słychać było płacze i latały przedmioty, ale to wcale nie były duchy, jeśli pan wie, o czym mówię...

Bliska sąsiadka domu Pokropskich, którą wypytuję o sprawę nawiedzeń, wydaje się mieć podobne zdanie:

– Tam wiele się działo, proszę pana. My tutaj wiemy, jak wygląda sprawa, to jest wymysł. Jedyne, co się tam działo, to wiadomo… – Wykonuje przy tym znaczący ruch ręką przy szyi, wskazujący na osobę nietrzeźwą.

Nie dziwi mnie podejście sąsiadów do rodziny z rzekomo nawiedzonego domu, na jednym z nagrań pani Krystyna Pokropska sama komentuje tę sytuację: *Druga sprawa jest taka, że ktoś mógł na nas klątwę rzucić. No trochę żyjemy z sąsiadami nie w zgodzie, no i mogło być to też przyczyną, tak…*[5]

Druga sprawa, bo pierwszą miałaby być feralna wersalka, którą rodzina kupiła od bliskiej znajomej. Wersalkę tę zresztą wkrótce oddali, ale jej „lokator” pozostał i żywił się strachem sześcioosobowej rodziny.

Nie sposób nie wspomnieć o ostatniej teorii – teorii w zasadzie wszystkich pozostałych mieszkańców Turzy Wielkiej – to wszystko jedno

wielkie oszustwo. Wymyślono historię o duchach, by rodzina mogła dostać lepsze mieszkanie – bo, trzeba przyznać, warunki, w których mieszkają, nie są najlepsze. Nie jest mi jednak dane wysłuchać argumentów drugiej strony, czyli właśnie rodziny Pokropskich – w ciągu paru miesięcy dwa razy jestem w Turzy Wielkiej i za każdym razem drzwi do mieszkania rodziny Pokropskich zastaję zamknięte. Okna strychu, gdzie cała szóstka mieszka, są puste. Nie widzę w nich żadnego ruchu. Czy Pokropscy się wynieśli?

Sąsiedzi mają inne zdanie na temat rzekomego nawiedzenia. Ci, którzy jeszcze chcą mówić (a niewielu takich jest, większość zatrzaskuje mi drzwi przed nosem – czasem rzucają przy tym niewybrednymi epitetami), zwracają uwagę na to, że nigdy nie mieli z tą rodziną dobrych relacji. Według nich mogło dochodzić tam do pobić dzieci, urządzano regularnie libacje alkoholowe, zaś sama rodzina żyje na pograniczu biedy, jako pariasi w tej społeczności. Na temat tego, od czego się zaczęło, nikt nie chce się wypowiadać – po prostu Pokropscy są rodziną, o której się nie mówi, jeśli nie chce się mówić źle. Niewykluczone też, że to właśnie ostatnie wydarzenia tak wzburzyły sąsiadów – miasteczko przeżywało prawdziwy najazd ciekawskich.

– Zaglądali nam w okna, chodzili po ogródkach, świecili latarkami, zostawiali śmieci – relacjonuje mi jedna z mieszkanek. – Tu nie ma żadnych duchów, my tu chcemy spokojnie żyć, proszę pana!

Próbuję się jeszcze czegoś dowiedzieć, ale ta kobieta – tak jak inni – zatrzaskuje przede mną drzwi.

Sąsiadka z innego mieszkania w tym samym budynku przez chwilę słucha, z czym przychodzę, a jej twarz wykrzywia się w grymasie gniewu.

– Pan jest pomylony! – krzyczy. – Tu nie ma żadnych duchów, niech się pan leczy!

Trzask drzwi.

Koniec, zamykam sprawę, nic tu po mnie. Tak naprawdę nie mam co jej opisywać, chyba że jako próbę oszustwa, przekręt i sąsiedzkie rozgrywki. Nie wykluczam tego, że w domu w Turzy Wielkiej doszło do manifestacji zjawisk nadprzyrodzonych, jednak całe miasteczko przypomina w tej chwili wielki kocioł, w którym wrze. Ludzie są wzburzeni i niechętni, jeśli jest tu jakiś byt, który karmi się emocjami, Turza Wielka to dla niego suto zastawiony stół. Na domiar złego nie udaje mi się porozmawiać ani z rodziną Pokropskich, ani też z obecnie piastującym funkcję proboszcza duchownym. Za pierwszym razem, kiedy o niego pytam, po prostu go nie ma, a za drugim zostaję poinformowany, że miał operację uda i nie przyjmuje interesantów. Przedstawiciele Kurii Diecezjalnej Toruńskiej, w której cały czas usiłuję zasięgnąć informacji, ciągle odpowiadają wymijająco. Czuję, że frustracja mieszkańców Turzy Wielkiej zaczyna się udzielać i mnie. Szczerze mówiąc, mam ochotę cisnąć tą sprawą do kosza i więcej się nią nie zajmować.

Idę do ostatniego domu, który chciałem odwiedzić, niemal pewien, że potem wracam i zapominam o całej sprawie. Otwiera mi staruszek, na oko siedemdziesiąty krzyżyk na karku.

– Wie pan, tu była taka jedna rodzina, taka dziewczynka i ona lewitowała w powietrzu – mówi.

Coś nowego. O tym, że dziewczynka miała lewitować, słyszę pierwszy raz.

– Ta rodzina z tego poniemieckiego domu, co o niej ostatnio było głośno? Ta dziewczynka lewitowała?

– Nie, nie. – Mój rozmówca macha ręką. – To było wcześniej. Była u nas taka rodzina i za tą dziewczynką woda z sufitu sama się lała, jak jej podetknęli krzyż, to on się rozpadł, złamał się i…

W drzwiach pojawia się żona staruszka, jest blada na twarzy i kiedy starzec ją dostrzega, od razu milknie. Starsza pani taksuje mnie zaś od dołu do góry wzrokiem, w którym nie ma ani odrobiny przychylności.

– Czego pan potrzebuje? – pyta oschle, jak zniecierpliwiona urzędniczka z okienka.

Wyjaśniam cel mojej wizyty i widzę, że wcale nie jest zaskoczona.

– To są bzdury – kwituje. – Tu nie ma żadnych duchów.

Nim zdążam zadać pytanie, bierze męża pod rękę i zamyka mi drzwi przed nosem. Zostaję na mrozie, ze zgrabiałymi palcami, ale w uszach wciąż dźwięczy mi jej suche: „Tu nie ma żadnych duchów".

Z reguły wszyscy mieszkańcy wypowiadali podobne zdanie przed tym, jak zatrzaskiwali swoje drzwi.

W kontekście tego, czego właśnie się dowiedziałem, brzmi już ono zupełnie inaczej. Jak swego rodzaju „zaklinanie" rzeczywistości. Jak wtedy, kiedy mówimy: „Będzie dobrze", choć wcale się na to nie zapowiada.

Z podobną sytuacją miałem do czynienia w Turzy Wielkiej.

* * *

Siedzę w domu jednej z mieszkanek Turzy Wielkiej – ze względu na charakter naszej rozmowy obiecałem jej, że zachowa pełną anonimowość, nazwę ją więc Beatą. Beata ma już koło pięćdziesiątki i z początku wcale nie ma ochoty na rozmowę. Wpuszcza mnie jednak do swojego domu, co zdarza mi się pierwszy raz – i skrycie jestem jej za to wdzięczny, mogę zdjąć rękawice i trochę ogrzać dłonie. Mimo że lubię chłód i niższe temperatury, a na sobie mam gruby płaszcz, wiatr w Turzy Wielkiej sprawia, że trzęsę się z zimna – w zasadzie nie mam wątpliwości, że po powrocie to odchoruję. Ale teraz czuję się… podekscytowany. Znalazłem coś, o czym wcześniej nie słyszałem – czy to możliwe, że w Turzy Wielkiej

zjawiska paranormalne zachodziły już wcześniej? I jeśli tak, czemu nikt z mieszkańców dotąd o nich nie wspomniał? Istnieją tylko dwie możliwości – albo nikt nie ma o nich pojęcia, albo wszyscy tutaj kłamią. Niezależnie od tego, jaka jest odpowiedź, wciąż pozostaje pytanie – czy ma to jakiś związek z Pokropskimi?

– A, wie pan… ja to w takie opowieści dziwnej treści w ogóle nie wierzę – przyznaje Beata.

Zaczynam się przyzwyczajać, że tutaj nikt nie wierzy. W Turzy Wielkiej – wsi, w której doszło do najgłośniejszego nawiedzenia ostatnich lat – mieszkają niemal sami ateiści.

– Te duchy to po prostu wymysł. I wie pan, co myślę? – Ścisza głos do szeptu. – Oni po prostu chcieli sobie załatwić nowe mieszkanie, zrobiło się wokół nich głośno i mogli zabłysnąć. Tutaj nie ma żadnych duchów.

Uśmiecham się. Dokładnie na te słowa czekałem.

– Wie pani, ale ja chciałem porozmawiać o tamtych wcześniejszych wydarzeniach, o tych już wiem całkiem sporo…

Bomba odpalona, teraz czekam na efekt. W zasadzie mógłbym się rozczarować, gdyby nie to, że Beacie zaczynają drżeć ręce. To właśnie w tej chwili prosi mnie o pełną anonimowość.

– My im nie wierzymy – wyrzuca z siebie szybko i nerwowo. – Tym tam. Ale tamtej rodzinie wierzyliśmy, był ksiądz, tamtą dziewczynkę trzeba było egzorcyzmować. Wywoływali duchy, mnie przy tym nie było, ale słyszałam, że robili to też z tymi, co teraz im się dzieją w domu takie rzeczy, ale to już takie plotki chyba. No i te dwie dziewczynki, jedna od Pokropskich, a druga od tej drugiej rodziny, one chodziły razem do klasy i chyba razem zaczęły wywoływać duchy, tak słyszałam. W każdym razie tamta dziewczynka była opętana, a oni, tamta rodzina, przeżyli prawdziwy horror wtedy, ale już tu nie mieszkają, nie ma ich, nie wiem, gdzie się

wynieśli. Nic więcej nie wiem. – Odprowadza mnie do drzwi i jeszcze trzy razy każe zapewnić, że będzie anonimowa. – Pan niczego ode mnie nie wie – powtarza. – Ja tutaj mam spokojne życie, wie pan, nie chcę się przeprowadzać…

* * *

Jeśli to, co usłyszałem, jest prawdą, wszyscy w Turzy Wielkiej kłamią. W tym przypadku nie mogę ich nie rozumieć – wyobrażam sobie, jak się tutaj żyje, w otoczeniu pól, tak trochę na uboczu. Ludzie, którzy chcą tak żyć, pragną też właśnie tego, o czym mówiła mi Beata – spokojnego życia. Historia już pokazała, że wieści o duchach mogą bardzo pokrzyżować takie plany – przecież na jakiś czas Turza straciła anonimowość i przeżywała medialne oblężenie – być może to właśnie dlatego rodzina Pokropskich nie jest lubiana, może nie chcieli się podporządkować. Nie chcieli milczeć w imię „wspólnego dobra". Może nie chcieli milczeć już wcześniej. Dlatego teraz nikt im nie wierzy, a mieszkańcy starają się odczarować sytuację poprzez jednogłośne wskazywanie winnego. Przypomina mi to mechanizm znany ze szkół, kiedy dzieciaki w klasach zmawiają się przeciwko jednej osobie, czyniąc z niej kozła ofiarnego dla nauczycieli. Czy właśnie kimś takim są w Turzy Wielkiej Pokropscy?

Puzzle zdają się łączyć w pewną całość – odczytuję ten wzór i wysnuwam następującą teorię.

Wyobrażam sobie, jak pewnego razu – może po mszy – starsi mieszkańcy spotykają się i radzą, co też zrobić z „problemem". Przecież mają telewizory, wiedzą, co się na świecie dzieje – nie chcą tego u siebie. Turza to ich enklawa, ich mała społeczność i to oni tutaj rządzą – uradzają, że nie będą mówić o duchach. Że nie chcą rozgłosu, chcą spokojnie żyć. W małej miejscowości taka umowa oznacza pakt honoru, kto się wyłamie,

będzie skazany na ostracyzm i wykluczony ze społeczności tak, że w końcu sam będzie chciał uciec. To twarde prawo małych miasteczek. Rodzina z dziewczynką, przy której pękają krzyże, dostanie pomoc, ale za cenę milczenia – i tak się dzieje. Przybywa egzorcysta, duchy odchodzą. O Turzy Wielkiej nikt się nie dowiaduje, mogą dalej żyć w spokoju.

Mija rok, może trochę więcej, i sytuacja się powtarza – w innym domu, u innej rodziny, zaczynają latać przedmioty i zdaje się, że wszystko znów skupia się wokół małej dziewczynki. Z tym że tamta rodzina nie chce milczeć – skoro przyjęta rok temu taktyka zawiodła i teraz to oni cierpią, czemu mieliby na to pozwolić? Nagłaśniają sprawę. Szukają egzorcystów – najpierw proboszcza, potem, kiedy jego modlitwa nie skutkuje, sięgają dalej. Sprawa oczywiście wypływa do mediów, do Turzy zaczynają zjeżdżać dziennikarze, mieszkańcy wsi oglądają swoją spokojną niegdyś enklawę w telewizorach i czują gniew.

Pokropscy dostają swoją pomoc, ale nie za cenę milczenia, a wykluczenia ze społeczności. Jeśli ta teoria miałaby być kompletna, pozostaje jeszcze pytanie – co łączy obie rodziny?

Beata mimochodem wspomniała o jednej rzeczy – że to dziewczynki wywoływały ducha. A jeśli to jest właśnie trop, którego szukam? Obie były w podobnym wieku, chodziły do tej samej szkoły i na pewno się znały. Może pewnego razu postanowiły się pobawić w wywoływanie duchów – kto nie miał takich pomysłów w dzieciństwie? Tyle że w ich przypadku się udało. I cokolwiek przyzwały, najpierw zaatakowało jedną z dziewczynek, a potem – kiedy zostało wygnane egzorcyzmami – zebrało siły i powróciło z jeszcze większą furią do tej drugiej. To wszystko się klei, ale ciągle mam za mało dowodów na poparcie swojej tezy – co gorsza, nie wiem, czy w ogóle będzie mi dane zebrać ich wystarczającą ilość i czy kiedykolwiek wyjdę ze strefy domysłów.

Nie mogę też całkowicie wykluczyć, że to mieszkańcy Turzy mają rację i w starym poniemieckim domu do niczego nie doszło, ale gdy spotykam się ze zmową milczenia, moja szala sympatii naturalnie przechyla się w stronę tych, którzy najwyraźniej są poza tym układem.

Zwłaszcza że to nie koniec niespodzianek.

W niskich blokach niedaleko opustoszałego, bardzo klimatycznego domu (ze wszystkich to właśnie on nadaje się najbardziej na nawiedzony budynek), wręcz małego pałacyku, rozmawiam ze starszą panią, która – zagadnięta o wcześniejsze nawiedzenie w Turzy – również uchyla rąbka tajemnicy:

– Ja tam nic nie wiem – mówi. – Ale może się pan zapytać tej rodziny. Oni mieszkają tutaj, klatkę dalej, pod czwórką.

Więc jednak się nie wyprowadzili? Idę pod czwórkę i drzwi otwiera mi korpulentna kobieta w średnim wieku. Kiedy wyjaśniam, z czym przychodzę, wcale nie zamyka mi drzwi przed nosem – stoi jak skamieniała, a na jej twarzy maluje się zaskoczenie. Za jej plecami z pokoju wychodzi dziewczynka w wieku pomiędzy dwanaście a czternaście lat. Patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami w taki sposób, że mimowolnie – i po raz pierwszy w swojej karierze przy kontakcie z drugim człowiekiem – przechodzą mnie ciarki.

Jej twarz zdaje się zupełnie pozbawiona emocji. Pusta, jakbym patrzył na plastyczną maskę, a nie buzię nastolatki. Tak samo puste ma oczy, ogromne – wydaje mi się, że zajmują zdecydowanie zbyt dużą część powierzchni jej twarzy. Być może to efekt tego, że jej źrenice są tak rozszerzone, że prawie nie widzę tęczówek.

Pustka. Ta dziewczynka przypomina pustą skorupę. Jakby coś wyssało z niej wszystkie myśli, emocje i duszę.

– Skąd… – zaczyna kobieta. Nie kończy. Na jej twarzy malują się różne emocje, a ona zdaje się wiedzieć, co się za chwilę wydarzy. – Niech pan nas zostawi w spokoju!

Drzwi się zamykają, nim jestem w stanie odpowiedzieć.

Czy to mogli być oni? Czy ta niepokojąca dziewczynka z zupełnie pustymi oczami i obliczem bez wyrazu mogła być pierwszą ofiarą ducha, który gościł w Turzy Wielkiej?

Kiedy wychodzę z bloków, chcę wrócić do Beaty, ale ona już czeka na mnie przed swoim domem, w towarzystwie siedzącego na ławce pijaczka.

– Ja już nic więcej nie wiem – mówi, nim w ogóle zdążam otworzyć usta.

Pijaczek z namysłem obraca butelkę w dłoni. Dopiero wtedy zauważam, że jest zupełnie pusta i sucha. Kiedy nasze oczy się spotykają, jego spojrzenie jest zupełnie czyste i czujne. Ten człowiek wcale nie przyszedł tutaj, by się napić – przyszedł pilnować, by kobieta nie powiedziała za dużo.

I być może bym ja o zbyt wiele nie pytał.

Wycofuję się. Kiedy idę przez główną ulicę, w oknach lekko uchylają się firanki. Przy jednym z okien w nowszym domu przy drodze stoi dziewczynka w podobnym wieku co ta, którą widziałem przed chwilą – ona nie ma twarzy bez wyrazu, po prostu się boi. Patrzy na mnie ze strachem.

Próbuję jeszcze pukać do paru domostw, ale odpowiada mi cisza. Tylko raz ktoś z drugiej strony przekręca w drzwiach klucz, żeby zamknąć drzwi. I bez tego wiem, że to koniec – nikt mi tutaj nic już nie powie.

Turza Wielka żegna mnie dziesiątkami wlepionych we mnie oczu.

1 Fragment „Wydarzeń” Polsat News z 2.12.2017 r.

2 Źródło: https://dzialdowo.wm.pl/498450,Paul-Cropper-poszukiwacz-halasliwych-duchow-chce-odwiedzic-Turze-Wielka.html [data dostępu: 14.01.2019]. We wszystkich cytatach zachowano pisownię oryginalną.

3 Źródła: https://www.se.pl/forum_topic/126564/0/?p=10 [data dostępu: 16.01.2019]; https://www.se.pl/wiadomosci/polska/czarze-wojna-o-ksiedza-i-gospodynie-aa-dDJ5-r7JC-xkwH.html [data dostępu: 16.01.2019].

4 Źródło: https://dzialdowo.wm.pl/498450,Paul-Cropper-poszukiwacz-halasliwych-duchow-chce-odwiedzic-Turze-Wielka.html [data dostępu: 17.08.2019].

5 Źródło: „Turza Wielka – egzorcyzmy w nawiedzonym domu”, https://www.youtube.com/watch?v=DTfwsesgvz8 [data dostępu: 10.05.2020].

DUŻE MIASTO

To na wsiach i w małych miasteczkach ludzie wierzą w zabobony – tak się mówi. Mówi się też, że Polska dzieli się na Polskę A i Polskę B – kraj ludzi z miasta, wykształconych, wyedukowanych i młodych, i kraj ludzi ze wsi – starzejących się albo zajmujących rolnictwem, dosyć intratnym biznesem. W każdym razie stereotyp jest taki: jeśli gdzieś mają ukazywać się duchy, to w Polsce B właśnie. W miastach mieszkają młodzi, czy to rodowici, czy też przyjezdni – nie ma czasu na duchy, kiedy rano czeka praca, a po południu dom, rodzina i inne obowiązki. Poza tym w miastach nie ma duchów, są ludzie.

Nauczyłem się, że to bzdura, już jakiś czas temu, gdy badałem nawiedzone miejsca w moim rodzinnym Krakowie – było ich tyle, że musiałem dokonać ostrej selekcji, by w ogóle zacząć swoje badania. I wcale nie były to położone gdzieś na uboczu czy obrzeżach domy, bowiem w Krakowie nawiedzony okazał się nawet główny budynek Urzędu Miasta, pałac Wielopolskich, w którym straszy Czarna Dama – to duch panny Wielopolskiej, którą ścięto z woli rodziny za niestosowność w małżeństwie i następnie zamurowano gdzieś w budynku (istotnie, w 1909 roku znaleziono tutaj szkielet zamurowanej kobiety). Mit, że w dużych miastach nie znajdziemy duchów (bądź też jest ich zdecydowanie mniej), moim zdaniem wynika z panowania popkultury anglosaskiej – kiedy myślimy o duchach, patrzymy na nie trochę z punktu widzenia Ameryki, nie Europy.

Na parunastu grupach na Facebooku, w których ludzie interesują się tematyką nawiedzonych miejsc, zapytałem się o to, z jakim krajem najbardziej kojarzą im się tego typu historie. Prawie czterdzieści procent

odpowiadających wskazało właśnie Stany. Tymczasem najstarsza europejska osada w Ameryce (St. Augustine) powstała w 1565 roku, a najstarsze miasto w Polsce (Złotoryja) dostało prawa miejskie przed rokiem 1211 – to dosyć znacząca różnica.

Wyobrażam sobie, że przez te setki lat mijające pokolenia dopuszczają się zbrodni, gwałtów i rabunków, a emocjonalny osad tych czynów odkłada się w okolicy jak muł na dnie jeziora. Im zaś dłuższą miasto ma historię, tym więcej pojawia się opowieści o zjawiskach paranormalnych. I dzieje się to nieustannie, nawet w czasach nam współczesnych, czego dowodem będzie historia, na którą natknąłem się przypadkiem podczas badania nawiedzonych warszawskich miejsc.

Napisała do mnie kobieta – jedno jej zdanie wystarczyło, bym poczuł, że dotykam właśnie niezbadanej tajemnicy. Wyznała, że w jej domu lewitowały krzyże, i zapewniła, że może mi opowiedzieć całą tę historię. Do wiadomości dołączone było zdjęcie krzyża zawieszonego na haku, nad framugą drzwi.

Problem tkwił tylko w tym, że krzyż ten, zamiast wisieć na haku, unosił się nad nim poziomo.

* * *

– Mieszkałyśmy tam i przeżyłyśmy koszmar. To, co się dzieje w tym domu, to masakra.

Siedzimy w ogrodowej altance, do moich nóg ciągle łasi się pies, rozglądam się i podziwiam duży dom (wczasowy, pomyślałbym wcześniej) i przytulnie zaaranżowany ogród. Ale to nie o tym miejscu chcą rozmawiać Anna i Katarzyna. Obie proszą, abym w swojej relacji użył innych imion. Boją się reakcji sąsiadów, którzy mogliby powiązać jakieś fakty i je

wytropić – ponieważ wiem, co działo się całkiem niedawno w Turzy Wielkiej, doskonale rozumiem ich obawy.

Dom, o którym mówią, kupiły parę lat wcześniej dla siebie i pacjentów. Piszę „pacjenci”, ponieważ Anna i Katarzyna nie prowadzą ośrodka wczasowego, a dom opieki. To właśnie zachowanie ich podopiecznych było pierwszym sygnałem, że w tamtym domu dzieje się coś złego.

– Byli niespokojni, krzyczeli – tłumaczy Katarzyna. – Jeden z nich, taki facet, miał zaawansowanego alzheimera, nie mówił ani słowa. I nagle popatrzył się na nas przytomnie i zaczął krzyczeć: „On tu jest! On tu jest! Wszyscy będziecie lewitować, ty i ty, i ty!”. „Kto tu jest?” – pytamy, a on na to, że Marcin. Jak zaczęłyśmy szukać, to się okazało, że syn poprzedniej właścicielki miał na imię Marcin. Zginął tragicznie, wypadek samolotowy na Babiej Górze.

W rejonie Babiej doszło do dwóch głośnych katastrof lotniczych, jedną był tragiczny lot z 1969 roku, w którym zginęły pięćdziesiąt trzy osoby, drugą – upadek awionetki z 2013 roku. Tu zginęły trzy osoby, pilot był z Warszawy i to właśnie on, wedle relacji moich rozmówczyń, miał być synem poprzedniej właścicielki domu. Na katastrofie lotniczej jego udział w tej historii się jednak nie kończy.

Jest jesień 2014 roku. Obie panie wprowadzają się do budynku. Pracami kieruje Katarzyna, Anna jest wtedy w szpitalu – ma ostre zapalenie płuc i lekarze określają jej stan jako krytyczny. Obie kobiety wspominają, że kiedy podpisywały umowę sprzedaży z właścicielką, ta zachowywała się podejrzanie – siedziała w fotelu, była nerwowa i wyraźnie się czegoś bała. Obie zrzuciły to na karb jej tragicznych doświadczeń życiowych – najpierw opuścił ją mąż, potem straciła syna. Imponujących rozmiarów dom przy Leśnej musiał się wydawać po tym wszystkim zbyt duży i zbyt pusty.

Katarzyna wspomina, że kiedy Anna wróciła ze szpitala, cały czas odczuwała niepokój.

– W ogóle to było czuć w tamtym domu, że coś jest nie tak. Cały czas czułyśmy się osłabione, na samym początku bardzo bolały nas głowy (tak się działo z każdym, kto się tam pojawiał jako nowa osoba) i ciągle było zimno, a to nowy dom, nie powinno tak być.

Kiedy się wprowadzały, dom nie miał jeszcze dwudziestu lat. Spełniał wszystkie wymogi budowlane (obie to sprawdziły, chodziło przecież o dobro pacjentów), był odpowiednio ocieplony i miał system ogrzewania. Czego by jednak nie robiły, temperatura w nim – zimą czy latem – nie przekraczała siedemnastu stopni. Często miało się wrażenie, że jest jeszcze niższa. Do tego ogólne osłabienie i ból głowy.

Dzwonię do egzorcysty, który specjalizuje się w takich przypadkach. Nie raz będzie mi jeszcze przy śledztwach służył radą i wiedzą, jedyny jego warunek stanowi pełna anonimowość – nie mogę zdradzić nawet jego pseudonimu ani pytać go o sprawy, z którymi bezpośrednio nie jestem związany. To drugie rozumiem, ponieważ podobnej anonimowości wymagają od niego jego klienci. Ja sam nazywać go będę po prostu A.

A. twierdzi, że opisywane przeze mnie problemy często wskazują na obecność silnego demona. Osłabienie może wynikać z tego, że byt ten cały czas wysysa z ofiary jej życiową energię – stąd też pogorszenie samopoczucia i ostatecznie ból głowy. Demon ten jest na tyle silny, że działa jak energetyczna czarna dziura – nic mu nie ucieknie, stąd też niska temperatura. Wszystko, cokolwiek niesie ze sobą energię, zostaje pożarte.

Ani Anna, ani Katarzyna nie wiedziały tego, co ja wiem – po prostu próbowały sobie z tym radzić, dowiedzieć się, co tak naprawdę dzieje się w ich domu.

Odpowiedzi, na ich nieszczęście, przyszły same.

* * *

Leżąca w łóżku kobieta nie śpi, mimo że jest późna noc. Nasłuchuje. Była niemal pewna, że ze snu wyrwało ją szuranie. Skąd dobiegało? To musiał być strych. Pierwsza myśl – kuny. Ale kuny po prostu chodzą, czasami w domach słychać, że chodzą po strychu albo po dachu – takie tupanie. Kuny nie są niebezpieczne, ale lepiej zostawić je w spokoju, bo mogą pogryźć. Ale to nie kuny, bo kobieta nie słyszy tupania.

Drętwieje, kiedy znów rozlega się szuranie. Wyraźne przesuwanie czegoś ciężkiego po podłodze na strychu. Dźwięk ten rozlega się tej nocy jeszcze parę razy. Rano nasza bohaterka woła koleżankę i relacjonuje jej nocne wydarzenia.

– Ty też to słyszałaś? – pyta druga kobieta.

Przechodzą przez salon do pomieszczenia gospodarczego – tutaj stoi drabina, po której można się dostać na strych. Wchodzą po niej powoli, otwierają klapę. W całym pomieszczeniu stoją różne kartony i skrzynie, w których pochowano rzeczy będące własnością syna właścicielki, Marcina. Obie kobiety rozglądają się po strychu szeroko otwartymi oczami.

Wszędzie, gdzie na podłodze leży kurz, widać świeże ślady po przesuwaniu skrzyń.

– Jesteście na strychu? Idę do was!

Drabina skrzypi i z otworu wyłania się Masza, pracownica z Ukrainy.

– Coś szurało strasznie w nocy… – zaczyna i nie kończy, bo dostrzega ślady. – Wy to zrobiłyście?

– Nie, nie my.

– Co jest w tych pudłach? – Masza z ciekawością zagląda do jednego. – O, dowiemy się, co tu się dzieje. – Wyciąga z pudła talię kart.

Kobiety patrzą po sobie ze zdziwieniem.

– Ja się na tym znam, powróżę i dowiemy się, co tu szura tymi pudłami.

Masza zabiera talię kart ze strychu na dół, do salonu.

Popełnia niewybaczalny błąd, za który wszyscy mieszkańcy domu będą płacić przez następne lata.

* * *

Moje rozmówczynie siedzą sztywno na swoich miejscach. Widzę, że te wspomnienia nie są dla nich przyjemne, z twarzy zniknęły im uśmiechy, teraz patrzą gdzieś w przestrzeń. Pierwsza odzywa się Katarzyna, głuchym głosem, bez emocji:

– Pierwszej nocy po tym, jak zniosła te karty, siedziałyśmy na zapleczu i wiatr otworzył drzwi, które były zamknięte na klucz, zrobiło się bardzo zimno i wszystkie karty rozsypały się po całej kuchni i salonie.

Od tego czasu w domu na Leśnej nie ma już spokojnych dni. I nie chodzi o to, że coś chodzi czy stuka, jak to się zdarza w przypadku innych tego typu nawiedzeń. Cokolwiek mieszka w tym miejscu, z pewnością jest wzburzone, złe – wszystkie trzy znajdują co chwilę swoje ubrania porozrzucane po różnych pomieszczeniach. Gdyby jednak chodziło tylko o to, winę można by zrzucić na któregoś z pacjentów – problem w tym, że nie sposób już szukać winnych, kiedy na twoich oczach krzyż, który wcześniej wisiał nad futryną, unosi się w powietrzu i próbuje zerwać z haka. Tak zresztą działo się ze wszystkimi drewnianymi krzyżami w domu. Często, kiedy wstawały rano, wszystkie krzyże nad framugami podnosiły się i lewitowały, zawieszone na hakach. Czasami wyglądało to jak podmuch – najpierw podnosiły się krzyże w jednym z pokojów, potem w drugim – jak gdyby jakiś byt przechodził przez te pomieszczenia.

Kobiety wspominają o jeszcze jednej ważnej rzeczy – wszystko się nasilało, kiedy do domu miała zawitać stara właścicielka.

– Ona nas nachodziła. Nie chciała zostawić tego domu. Mimo że go sprzedała. Przechodziła przez płot i wchodziła jak do siebie. A kiedy jej powiedziałyśmy, co tu się dzieje, zaczęła nas ciągać po sądach jeszcze, że jesteśmy wariatki i ona chce dom z powrotem. Więc musiałyśmy się zmagać to ze sprawą w sądzie, to z tym czymś, co było w domu.

Obie kobiety dostrzegły pewną prawidłowość – zanim cokolwiek zaczynało się dziać, zawsze najpierw stukała klapa na strych. Tak, jakby zjawa przychodziła właśnie stamtąd, co było o tyle prawdopodobne, że to właśnie na strychu wszystko miało swój początek.

Krótko potem z troski o własne zdrowie kobiety zamieszkały na zapleczu, gdzie zamykały się i spały obok siebie, by w razie czego się budzić i czuwać – i tak co noc. Wkrótce brak snu zaczął porządnie dawać im się we znaki – większe rozdrażnienie, problemy z koncentracją. W końcu stwierdziły, że muszą powiedzieć komuś o tym, co dzieje się w ich domu. Skontaktowały się z miejscowym księdzem proboszczem, który zgodził się przyjść i odprawić modły – a jeśli zajdzie taka potrzeba – także egzorcyzmy.

* * *

Był wieczór, kiedy duchowny zapukał do ich drzwi – pacjenci w większości spali, reszta z nich spędzała czas we wspólnym pokoju. Wydawało się – co niespotykane – że w domu panuje spokój. Tego dnia nic nie stukało, krzyże nie lewitowały. W pewnej chwili jedna z kobiet pomyślała, że może „to” już się skończyło. Że wystarczyła sama groźba pojawienia się księdza, by duch uciekł – w końcu złe moce boją się siły krzyża.

Nie wzięła pod uwagę innej możliwości – że dom nie ucichł, bo się przestraszył, ale że ta cisza jest wynikiem przygotowań do ataku – krótkim sprężeniem mięśni przed skokiem na ofiarę.

Katarzyna i Anna otworzyły duchownemu we dwie – Masza wraz z dwiema pomocnicami zajmowały się resztą pacjentów. Kapłan rozejrzał się i uprzejmie podziękował za propozycję napicia się herbaty.

– To może za chwilę. Myślę, że na wstępie powinniśmy się pomodlić.

– Czuje coś ksiądz? Coś tu jest?

Zaprzeczył.

– Jak często się panie modlą?

– Codziennie – odpowiedziały niemal równocześnie.

– Więc Bóg jest obecny w tym domu. Z Jego pomocą wszystko przezwyciężymy. A teraz pomódlmy się, abym pobłogosławił wasz dom…

Kobiety w milczeniu słuchały błogosławieństwa i czyniły znak krzyża w odpowiednich momentach. W pewnej chwili ksiądz wyjął ze swojej teczki kropidło. Wzniósł je wysoko, w tej samej chwili nowe właścicielki domu uniosły swoje dłonie do czół, by wykonać znak krzyża. Ale krople nie spadły, bo duchowny stał jak skamieniały, z uniesionym kropidłem w jednej ręce, pobladły na twarzy. Patrzył w jeden punkt za ich plecami – w okno, za którym gęstniała ciemność.

Najpierw na ziemię upadło kropidło. Potem duchowny – na klęczki.

– W imię Ojca i Syna… – wyszeptał, żegnając się. – Maryjo, miej nas w opiece…

Tak szybko, jak wcześniej padł na kolana, wstał teraz, podniósł kropidło i schował je do teczki. Nie spojrzał na kobiety. W ogóle się nie rozglądał. Z trzaskiem zamknął teczkę.

– Co się stało? Co ksiądz zobaczył?

– Muszę wracać do swoich obowiązków – oświadczył sucho. – Jestem potrzebny na plebanii.

– Co też ksiądz…?! A co z nami?

Nie odpowiedział.

– Proszę księdza!

Wyszedł.

Kiedy zamknęły się za nim drzwi, obie kobiety usłyszały trzask. Jeden, drugi, trzeci.

Ze wszystkich haków nad futrynami w całym domu spadały krzyże.

* * *

Co tak przeraziło księdza? Moje próby nawiązania z nim kontaktu spełzły na niczym – nie odpowiedział na ani jedną moją wiadomość. Gdy moje rozmówczynie usiłowały się z nim skontaktować po wydarzeniach tamtego wieczora, zastawały tylko zamknięte drzwi plebanii.

Swoją drogą to dosyć ciekawe, że zarówno w tym przypadku, jak i w Turzy Wielkiej kontakty z osobami duchownymi, czyli najlepiej przygotowanymi do mierzenia się ze złymi duchami, nie przynoszą żadnych efektów.

Nie dziwię się, kiedy obie opowiadają mi, jak w następnej kolejności zaczęły szukać innych osób, które mogłyby im pomóc. I znalazły – „koleżanka koleżanki” okazała się egzorcystką. Inna zaś medium. Obie, egzorcystka i medium, stwierdzają zgodnie i niezależnie od siebie, że w domu toczy się walka pomiędzy duchem dobrym a złym. Zapewniają też, że cokolwiek się dzieje, jest związane z rodziną, która tam mieszkała. Ani jedna, ani druga nie podejmują się jednak próby odprawienia egzorcyzmów, zdalnie – przez telefon – udzielają konsultacji i przeprowadzają badania. Próbę wypędzenia ducha podejmuje natomiast Masza, Ukrainka, dla której istoty nadprzyrodzone nie były abstrakcją, ale elementem rzeczywistości – być może dlatego ona jedna z całego personelu nie uciekła.

– W ogóle była nas piątka w domu, i to zwykle Ukraińcy. Polacy nie wytrzymywali długo i uciekali, a ci z Ukrainy jakoś to wytrzymywali – wspomina Anna.

– Oni też próbowali egzorcyzmów czy tylko Masza? – pytam zaciekawiony.

Czy najęci pomocnicy z Ukrainy wiedzieli o czymś, co dla nas, wychowanych już w innym świecie, jest wiedzą tajemną?

– Nie, nie, to tylko Masza.

– No, to z jej powodu pojechałyśmy w końcu do Częstochowy – przypomina sobie Katarzyna.

Zanim jednak przejdę do opisu tej częstochowskiej wyprawy, wrócę na chwilę do egzorcyzmów odprawianych w domu przy Leśnej – Masza wpada na nowy pomysł i wszędzie, gdzie może, maluje święconą kredą prawosławne krzyże. Argumentuje to w taki sposób, że prawosławne mają większą moc od katolickich. Krzyże rysuje więc na drzwiach, na ścianach, oknach – w szczególności zaś na drzwiach do pomieszczenia, w którym stoi drabina prowadząca na strych.

Ale nim zdąży skończyć w jednym zakątku domu, w innym wszystkie krzyże zostają zmazane. Widać tylko smugi po kredzie. Wszystkie trzy kobiety usiłują zarejestrować moment, w którym ktoś lub coś zmazuje krzyże, ale nigdy im się to nie udaje. Jednak przechodząc z pokoju do pokoju, trafiają wreszcie na rysunek, który zmazany nie został.

To ten na drzwiach pomieszczenia z drabiną na strych.

Kiedy wszystkie trzy tam podchodzą, zdają sobie sprawę, że drzwi są dziwnie mokre. Anna przykłada do nich rękę i kiedy ją odrywa, patrzy przez chwilę zdumiona na pokrywającą ją czerwień.

Porozumiewają się spojrzeniami. Uciekać? Zostać? To najbardziej prymitywne instynkty. Zostają.

W milczeniu patrzą, jak tuż przed nimi przez drzwi wolno przesącza się krew.

* * *

To coś rzadko spotykanego – z tą krwią. Zjawisko to może kojarzyć się na przykład z cudami opisywanymi przez Kościół katolicki – wtedy, kiedy hostia rzeczywiście zmienia się w ciało, a wino w krew. Sam w swoim życiu byłem świadkiem podobnego zdarzenia.

Działo się to jeszcze na studiach, kiedy dopiero zaczynałem interesować się zjawiskami paranormalnymi. Razem z grupą znajomych wyjechaliśmy do domu jednej z koleżanek. Brzmi to jak opis zwykłej parodniowej studenckiej imprezy… chociaż należy dodać, że moje koleżanki wtedy już ładnych parę lat interesowały się zjawiskami paranormalnymi, magią i okultyzmem. Część z członków naszej grupy należała do Ordo Templi Orientis – Zakonu Świątyni Wschodu, organizacji paramasońskiej, której najsłynniejszym chyba członkiem był znany okultysta Aleister Crowley. Pewnej nocy jedna z koleżanek wyjęła karty tarota i zapaliła świece. Wtedy dla mnie to była tylko zabawa – po raz pierwszy dotknąłem nieznanego właśnie tamtej nocy, kiedy na schodach tamtego domu w pewnej chwili pojawiła się krew. Czy było to czyjeś celowe działanie? Wykluczyliśmy wtedy możliwość oszustwa – nie dość, że krew zauważyło w tym samym momencie parę osób, to jeszcze nikt z obecnych nie opuszczał wcześniej pokoju. Do tej pory wydarzenie to pozostaje dla mnie zagadką – chociaż dopuszczam zarówno wyjaśnienia racjonalne, jak i paranormalne.

Wracam jednak do domu na Leśnej, krew wypływająca z drzwi z narysowanym krzyżem sprawia, że obie właścicielki postanawiają działać. Cel wyprawy do Częstochowy, na Jasną Górę, stanowi zakupienie

znacznych ilości wody święconej i grubych metalowych krzyży Świętego Benedykta.

Skąd w naszej historii wziął się akurat ten Święty? Często, właśnie w nawiedzonych domach, używa się medalików Benedykta, zaś krzyże mu poświęcone stosowane są do egzorcyzmów – mówi się, że żadna zła siła nie jest w stanie ich dotknąć. Ciekawe zdają się dociekania na temat kościółka Świętego Benedykta w Krakowie, który stoi naprzeciw Kopca Krakusa, świętego miejsca Słowian. Co istotne, najnowsze badania potwierdzają, że budowa pierwszej świątyni (również pod tym samym wezwaniem) zbiegła się w czasie z wycinką prasłowiańskiego dębu – świętego drzewa. W tym więc przypadku do egzorcyzmu mógł zostać użyty nie tyle krzyż czy medalik, ile cały kościół – niejako pieczętujący te ziemie. Czy jest w tym ziarno prawdy – trudno odpowiedzieć, ale miejsce to nawiedza Czarna Dama, duch, który wedle legendy daje śmiałkowi zadanie. Jeśli ten je wypełni – złamana zostanie ciążąca nad zjawą klątwa. Jeśli nie – śmiałek zapłaci życiem.

Nie wiadomo, czy złamanie klątwy byłoby czynem dobrym, czy też uwolniłoby pogańskie moce. Póki co nikomu się to nie udało, zaś imię Świętego Benedykta skutecznie chroni tamto miejsce.

Jeśli chodzi o dom przy Leśnej, ducha czy też demona przegnać mają dodatkowo posrebrzane metalowe krzyże. Ich zawieszeniem zajmuje się Masza, podczas gdy moje rozmówczynie zabezpieczają dom święconą wodą – o ile przy kropieniu ścian nic się nie wydarza, kiedy podchodzą do pacjentów, sytuacja całkowicie się zmienia. Kobiety malują im na czołach krzyże wodą święconą – większość z podopiecznych znosi to w milczeniu. Jeden z mężczyzn zaczyna krzyczeć – trzyma się za twarz, a kiedy odejmuje ręce, okazuje się, że na jego czole wypalony jest znak krzyża, który utrzymywać się tam będzie jeszcze dwa tygodnie.

Właścicielki domu ponawiają próbę – kolejny wrzask bólu i kolejny z pacjentów doświadcza tego samego. Widząc, co się dzieje, kobiety decydują się przestać – nie chcą narażać pacjentów na ból.

Wtedy rozlega się seria metalicznych trzasków. Obie, Anna i Katarzyna, biegną, by ustalić ich źródło – to krzyże, które miały ich bronić. Leżą pod drabiną prowadzącą na strych. Kiedy kobiety usiłują zawiesić je ponownie, wystarczy, że obrócą się do nich plecami, a te znikają i pojawiają się ponownie pod drabiną, jakby ktoś je tam rzucał.

W końcu jeden z nich pęka na dwie części.

Koszmar – czy tego chcą, czy nie – trwa nadal.

* * *

Pewnego wieczoru kobiety słyszą coś nowego.

– Siedziałyśmy wtedy w salonie i zastanawiałyśmy się, co jeszcze może się stać – wspomina Katarzyna. – To… tego nie można opisać, jak czuje się taki człowiek. Wie pan, co mogłyśmy zrobić? Kościół odmówił pomocy. Egzorcyści nie pomogli. Byłyśmy z tym same, bo co komu powiemy, to uznają nas za świrnięte. Zamknięte w czterech ścianach z wiecznie rozdrażnionymi, krzyczącymi pacjentami. Ciągłe poczucie zagrożenia, to pamiętam doskonale. A mimo to starałyśmy się żyć normalnie, zbywać to śmiechem, żartem. Tamtego wieczoru też tak było. Siedzimy, pijemy herbatę, a tu nagle zaczyna stukać. Jakby dwie deski o siebie uderzały. No to zaczęłyśmy szukać i w końcu w łazience znalazłyśmy za półką obluzowaną deskę. Było coś pod nią napisane.

Masza, najmłodsza z nich wszystkich, znajduje w Internecie informację o demonicznym piśmie. Tłumaczą powoli.

Napis brzmi:

NIE BÓJCIE SIĘ

To pierwszy raz, kiedy to coś, czymkolwiek jest, się z nimi komunikuje. Przez jakiś czas naradzają się, co z tym zrobić – w końcu Masza proponuje, żeby zmazać dziwne litery i napisać coś od siebie. Może w ten sposób dowiedzą się czegoś więcej? Co jeszcze im pozostało?

„Kim jesteś i czego chcesz?” – pytają. Potem wychodzą z pomieszczenia i czekają. Mijają może dwie minuty i znów słyszą znajome stuknięcie. Odkrywają deskę i pochylają się nad napisem. Tym razem są to już litery z łacińskiego alfabetu.

WY SZMATY

Wszystkie trzy kobiety czują, jak skóra cierpnie im ze strachu i… czegoś jeszcze. Mają już dość. Dość niemocy Kościoła, dość życia w strachu i prób ignorowania niebezpieczeństwa. Wiedzą, że jeśli czegoś nie zrobią, długo nie wytrzymają.

Znów do głosu dochodzi znajomy pierwotny instynkt – uciec lub walczyć. W tamtej chwili jednogłośnie podejmują decyzję.

* * *

Trzy lata. Tyle trwał koszmar właścicielek domu przy Leśnej i ich podopiecznych. Od 2014 do 2017 roku non stop nękał ich byt, który nie chciał dać im spokoju. W pewnym momencie część incydentów zaczęły ignorować i niektóre z nich jakby przycichły. Znaki, które opisałem wyżej – demoniczne pismo czy lewitujące krzyże, a także odmowa pomocy ze strony osoby duchownej – są tylko kamieniami milowymi w niekończącym się nękaniu, którego lokatorzy budynku doświadczali prawie codziennie.

W przeciwieństwie do mieszkańców Turzy Wielkiej nie ma tu zmowy milczenia. Moje rozmówczynie cały czas podkreślają, że chcą pozostawać anonimowe, i proszą, by podawać jak najmniej szczegółów, po których można by je zidentyfikować. Nie zależy im więc na rozgłosie.

Pewnego dnia same biorą sprawy w swoje ręce i postanawiają odprawić egzorcyzm.

Jak się przeprowadza egzorcyzmy? Modlitwą, krzyżem, wodą święconą. Informacje czerpią z książeczki, którą zakupiły w Częstochowie. Wychodzą na strych, tam malują na ziemi okrąg z wody święconej i stają w nim. Anna ma w rękach krzyż, który im dłużej trwa modlitwa, tym trudniej utrzymać jej w dłoni.

– Jej palce zrobiły się aż granatowe – wspomina Katarzyna. – Tak mocno go trzymała. A on ciągle tańczył w jej dłoniach, próbując się wyrwać.

Wszystkie trzy stają w obliczu nieznanej potężnej siły – tak potężnej, że mającej wpływ nawet na to, co mówiły.

W imię Jezusa Chrystusa nakazuję ci odejść – brzmią słowa egzorcyzmu. Ilekroć Katarzyna próbuje je wymówić, brzmią one zupełnie inaczej: *W imieniu szatana nakazuję ci… w imieniu Jezusa, szatana… w imieniu Jezusa…*

Jest niczym źle nastrojone radio, wyłapujące czasami fale z innej częstotliwości, które wkradają się w audycję. W pewnym momencie krzyż wylatuje z rąk Anny – i to Masza rzuca się za nim za okrąg. Ryzykuje, ale szybko do niego wraca, uważając, by nie przerwać linii.

Wciąż rozbrzmiewają słowa egzorcyzmu: *W imieniu szatana nakazuję… w imieniu Jezusa Chrystusa nakazuję…*

Coś się jednak zmienia. Kiedy udaje im się doprowadzić modlitwę do końca, schodzą na dół wycieńczone jak po ogromnym wysiłku fizycznym.

Tak będą się czuły jeszcze przez parę dni, trudno im będzie pozbierać myśli. Ale udaje im się – od tej chwili w domu na Leśnej panuje spokój.

Przynajmniej na dole – na strychu znów nocami słychać szuranie pudeł.

* * *

Kobiety i ich podopieczni wyprowadzają się z tamtego miejsca w 2017 roku i zajmują dom w dalekim sąsiedztwie.

– Kiedy pacjenci tu weszli, od razu się uspokoili – wspominają obie. – Mówili, że poznają to miejsce, że kiedyś tu mieszkali. A nas po prostu ogarnął spokój.

Czym były dręczące je byty? Jeśli, jak twierdzą egzorcyści, istotnie w domu na Leśnej walczyły ze sobą dwa byty – dobry i zły – a wszystko miało związek z rodziną, która wcześniej tam mieszkała, można dociekać, że duchem dobrym mógł być Mariusz – syn wcześniejszej właścicielki. Kim był zły? Tutaj jasnej odpowiedzi nie ma, chociaż przedstawiony przez nowe właścicielki domu opis pasuje do silnego demona – osłabienie, bóle głowy, niska temperatura – jakby byt, który się tak zagnieździł, wysysał z otoczenia energię. Egzorcyzm, który udało się przeprowadzić kobietom, mógłby sugerować, że to właśnie jego wygnały. Został syn, porządkujący swoje rzeczy na strychu, przygotowujący się do odejścia.

Czy to koniec tej historii? Mam nadzieję, że tak. Chodzi tu przecież o dobro tych kobiet i ich pacjentów – po naszej rozmowie co jakiś czas kontaktuję się z obiema paniami i obie twierdzą zgodnie, że wszystko jest w porządku.

Nasza opowieść się jednak nie kończy. Dzisiaj, obok nas, są miejsca, w których nawiedzenia objawiają się jeszcze inaczej – na styku miejskiej legendy i czegoś nieuchwytnego, co wpływa na wszystkich mieszkańców. To bloki, zwykle stojące w grupach wielkopłytowce, w których znajdują się

dziesiątki albo i setki mieszkań. Ludzkie mrowiska, przytłaczające swoim ogromem. Do jednego z nich ciągną jak muchy do miodu samobójcy. Inny przez samych mieszkańców nazywany jest nawiedzonym.

Ale o nich opowiem innym razem – tymczasem pozwól, drogi Czytelniku, że zabiorę Cię w jeszcze inne rejony rzeczywistości i… czasu, bowiem duchy nie są wymysłem teraźniejszości. Istnieją historie o nawiedzeniach mających źródło w niewyjaśnionych sprawach morderstw z przełomu wieków. Istnieją miejsca, w których duchy pojawiły się za sprawą działań wojennych – jak dawny szpital psychiatryczny będący w trakcie wojny we władaniu niemieckich lekarzy. W czasach PRL-u tajemnicze moce manifestowały swoją siłę nie tylko w nawiedzonych domach, ale i w mieszkaniach zupełnie zwykłych ludzi, a ówczesna władza wszystko ukrywała. Tak wiele jest nieopowiedzianych historii – wszystkie te zagadki tylko czekają na rozwiązanie.

ROZDZIAŁ 2

Zagadki z przełomu wieków



Wnętrze kamienicy wygląda luksusowo
Fot. Michał Stonawski

W Krakowie, gdzie mieszkam, od 1999 roku działa policyjny Zespół do spraw Niewykrytych Zabójstw, znany jako Archiwum X – pracujący w nim śledczy zajmują się sprawami, które utknęły w martwym punkcie, oraz takimi, które od wielu lat pozostają niewyjaśnione. Nazwa kojarzy się od razu z serialem *The X-Files*, w którym agenci FBI Mulder i Scully zajmowali się sprawami, których nie da się racjonalnie wyjaśnić, mającymi paranormalne podłoże.

Historie, na które się natknąłem, zadziwiająco dobrze pasują zarówno do krakowskiego zespołu policyjnego, jak i do amerykańskiej produkcji – są bowiem kryminalno-paranormalne. Jest jeszcze jedno podobieństwo, dzięki któremu od razu nasunęło mi się porównanie z krakowskim Archiwum X: oba zdarzenia rozgrywały się całe dziesięciolecia temu – jedno na początku XX wieku, drugie zaś jeszcze pod koniec wieku XIX – w zupełnie innym świecie. A jednak zjawy, których źródło stanowią tamte okrutne morderstwa, ukazują się do dzisiaj.

W tym miejscu muszę się do czegoś przyznać – podczas pracy nad tą książką ograniczałem się głównie do historii paranormalnych dotyczących (plus minus) wieku XX i naszej współczesności. Nie dlatego, że wcześniej nie opowiadano historii o duchach – bo rzecz jasna było ich sporo – ale dlatego, że im dalej w przeszłość sięgamy, tym bardziej opowieści o duchach zaczynają upodabniać się do legend – dlatego właśnie nie opisuję żadnych nawiedzonych zamków, baszt czy kaszteli. Na pęczki jest w nich białych i czarnych dam, o których historie w ramach ciekawostek powtarzają przewodnicy wycieczek turystycznych. Tymczasem ja zamierzam się zająć tymi nawiedzeniami, które dotykają nas wszystkich – są zakorzenione w świecie, który znamy i rozumiemy. Innymi słowy, badam te historie, które niewiele w sobie mają z legendy i mogłyby dotyczyć mieszkania, w którym sam mieszkam, domu, w którym mieszkają

moi znajomi, czy miejsca, w którym bywam na co dzień – i w wielu przypadkach tak właśnie jest, spotykam się z aktywnością paranormalną, która nie dotyczy jakiejś baszty na zamku, ale miejsca, w którym ludzie na co dzień spędzają czas – oglądają filmy na YouTubie, śpią, odpoczywają przed telewizorem czy korzystają z komputera. Dlatego historie, które chcę odpowiedzieć, zdają mi się tak wyjątkowe – są z pogranicza świata, który rozumiemy, i tego, który już odszedł. Na dodatek doniesienia w gazetach z tamtego okresu przypominają bardziej scenariusz hollywoodzkiego filmu niż opis autentycznych wydarzeń. Przykład? Proszę bardzo – głośna historia, którą zrelacjonowano w warszawskiej „Gazecie Codziennej" z 8 grudnia 1934 roku. W tekście wspomniano o warszawiance, która została zastrzelona w Ameryce. Niby nic (nadzwyczaj) niezwykłego, ale dodać należy, że wspomniana kobieta, tancerka jednego z klubów, wcześniej zbałamuciła młodego ziemianina Grobickiego (to nazwisko zalecam zapamiętać), wzięła z nim ślub po pięciu dniach znajomości, a później zniknęła, pozostawiwszy mu tylko liścik na poduszce. Odnaleziono ją właśnie w USA, gdzie jako Jenny Strauch przewodziła jednej z najstraszliwszych grup gangsterów w Detroit i tam też została zastrzelona przez policję w trakcie wielkiej obławy.

Historie, które udało mi się zbadać, również zdają się bardzo filmowe. Oba zdarzenia rozgrywały się w Warszawie – różnica między nimi a opowieścią o Jenny Strauch jest taka, że ślady warszawskich zbrodni do dzisiaj można wyczuć lub też zobaczyć – jeśli będziemy mieć pecha, nocą w oknach kamienicy może nam mignąć postać smutnej, ubranej staromodnie kobiety.

W pierwszym przypadku będzie to blisko pięćdziesięcioletnia Zofia Grobicka, której ciało w lutym 1917 roku znaleziono w mieszkaniu przy Wilczej 2/4. W drugim – zjawa Marii Wisnowskiej, prawdziwej sławnej

femme fatale i jednej z najbardziej znanych aktorek teatralnych swoich czasów, która została zabita przez swojego kochanka. Zbrodni, o których mowa, dokonano raptem parę ulic od siebie, a dzieli je zaledwie kilka dekad. Tym, co je łączy, nie jest jednak ani lokalizacja, ani też podobny czas, ale to, że obie zamordowane kobiety widywane są do dzisiaj w oknach swoich mieszkań.

Aby pojąć, co każe im tam zostać, muszę wyruszyć w podróż w czasie – zrozumieć i poczuć ich świat. W ten sposób uwiarygodnię swoje śledztwo, a historie staną się niemal namacalne.

Jak jednak ówcześni – ludzie z przełomu wieków – postrzegali sprawy paranormalne? To pytanie zadałem Jackowi Radzymińskiemu, który na swoim facebookowym fanpage'u „Mówi Wieko" dzieli się wiedzą na temat dawnych wierzeń w naszej (i nie tylko) części świata i zgodził się przybliżyć mi to zagadnienie:

> Belle époque *w całej Europie przyniosła duże zainteresowanie zjawiskami nadprzyrodzonymi. Polska kultura, chociaż rozwijająca się w trzech dość różniących się od siebie krajach, zachowała swoje cechy swoiste, a przy tym wzrastała w duchu, któremu początek dała uczuciowa rewolucja romantyzmu. W tym krótkim tekście naszkicuję tylko parę ogólnych tendencji i podam kilka przykładów.*
>
> *Zacznę zatem od licznie występujących duchów wśród wierzeń ludowych, od których aż roi się folklor, zbierany przez Oskara Kolberga i jego następców. Nastawienie względem tych duchów ma silny związek z wcześniejszymi wierzeniami – dawniej spotkanie ducha zawsze stanowiło bardzo zły omen, przeważnie omen śmierci. Okolice cmentarzy pełne więc były mierników czy ubożąt (przynajmniej tak nazywano je w okolicach Żyrardowa), czyli*

błąkających się dusz nieochrzczonych dzieci. Na nieosuszonych jeszcze bagnach natykano się czasem na błędne ogniki – panowało przekonanie, że to dusze nieuczciwych geodetów, oszukujących chłopów przy nadziałach ziemskich. Nocami unikano również kościołów, bo tam – zgodnie z wierzeniami mającymi swe źródło w średniowieczu – dokonywały pokuty dusze czyśćcowe.

Spotkanie takich duchów „ludowych” groziło rychłym dołączeniem do ich grona. Szczególnie niebezpieczna pod tym względem była noc Dnia Zadusznego. Wtedy to na ołtarzu parafialnych kościołów pozostawiano szaty liturgiczne dla widmowych księży, którzy odprawiali nabożeństwo dla zmarłych.

Niemniej duchy nie towarzyszyły jedynie przedstawicielom najmniej wykształconych warstw społecznych. Im dalej od prostego ludu, tym mniej strachu wzbudzały kontakty nadprzyrodzone. Spotkań z duchami oczekiwano oczywiście przede wszystkim na cmentarzach – szczególną rolę odgrywały ukształtowane wówczas cmentarze romantyczne (znane nam chociażby z warszawskich Powązek czy lwowskiego Łyczakowa). Przy grobach kwitł kult zmarłych, siadano wręcz na płytach nagrobnych i (chociaż takich słów nie używano w epoce, o której mowa) medytowano nad utraconymi bliskimi. Postrzeganie zmarłych jako duchów znalazło nawet odzwierciedlenie w rzeźbie nagrobnej. Jednym z najpiękniejszych przykładów – młoda dziewczyna łamiąca wieko trumny i unosząca się ku niebu – jest posąg nagrobny Lusi Raciborowskiej z warszawskich Powązek.

Belle époque *to nie tylko cmentarze, odludzia i kościoły. Świetnie ujął to parapsycholog Edward McCabe, który bardzo zjadliwie zauważył, że ówcześnie żyjącym ludziom nie wystarczały*

już dzikie duchy, straszące dziadków i babcie w czasie nocnych powrotów do domu. Spirytualizm i spirytyzm – te dwa podobne, choć nie identyczne nurty – obiecywały możliwość spotkania z bliskimi zmarłymi w bardziej cywilizowanych warunkach, w czasie seansu mediumicznego.

Media na ziemiach polskich były przeważnie cudzoziemcami. Pozbawiona państwowości Polska pozostawała peryferyjna, więc praktycznie żadne z mediów nie prowadziło stałej działalności tutaj, tylko przejeżdżało albo do Moskwy i Petersburga, albo w drugą stronę, do Wiednia i Berlina. Seanse urządzano na salonach, więc uczestniczyła w nich elita.

Jako przykład podam seans spirytualistyczny zorganizowany w 1893 roku w Warszawie. Medium była Włoszka Eusapia Palladino (niedługo po wyjeździe z Kongresówki zdemaskowana jako oszustka), gospodarzem Julian Ochorowicz, najważniejszy polski badacz zjawisk tajemnych, a wśród gości znaleźli się między innymi Bolesław Prus i niedawno emerytowany były prezydent Warszawy Sokrates Starynkiewicz. Jedna z pań uczestniczących w seansie czuła się obmacywana przez ducha, więc obaj wspomniani goście zmienili miejsca. Zarówno rosyjski generał, jak i polski pisarz zachowywali dużą powściągliwość przy ocenie autentyczności medium, ale obaj ewidentnie się zafascynowali. Starynkiewicz w swoim pamiętniku, właściwie wypełnionym jedynie informacjami na temat warszawskiej kanalizacji (nikt tak ciekawie nie potrafi pisać o ściekach jak Starynkiewicz), poświęcił temu wydarzeniu kilka stron – rzecz w zasadzie bez precedensu. Seans, jak i samo medium, zaciekawiły niezmiernie Bolesława Prusa. Polska kultura zawdzięcza wiele rozemocjonowanym dyskusjom Prusa

i Ochorowicza. To właśnie wtedy Prus postanowił napisać powieść Faraon.

Należy jednak pamiętać, że zainteresowanie duchami stanowiło pewien margines parapsychologii. Dużo bardziej badaczy wiedzy tajemnej zajmowały nadzwyczajne zdolności ludzkiego umysłu: telepatia, jasnowidztwo czy telekineza. Kontakty z duchami były zatem po prostu elementem repertuaru, wcale nie największą atrakcją swego rodzaju pokazów zjawisk nadprzyrodzonych. Jeden z takich pokazów dał początek dwóm powieściom o wampirach. Jedną zna każdy, mowa o Draculi *Brama Stokera. Drugiej nie zna praktycznie nikt poza studentami filologii polskiej – to* Wampir *Władysława Reymonta.*

To była bardzo „uduchowiona" epoka. Literaturę wypełniały podania i legendy, w których wyraźnie zacierała się granica między życiem a śmiercią. Pośmiertne zemsty, upiory Tatarów czy Krzyżaków, nawiedzone dwory – wszystko to oswajało koncept obcowania ze sobą żyjących i zmarłych. Dużą rolę w Polsce odegrał w tej materii również Kościół katolicki. Księża podeszli z wielką nieufnością do spirytualizmu (i w sumie słusznie, spirytualizm w zasadzie był odrębną religią, pozostającą w sprzeczności z chrześcijańską eschatologią), a na rosnącą fascynację tymi tematami odpowiedzieli praktykami związanymi z duszami czyśćcowymi. Wielu mistyków, popularnych w belle époque, *utrzymywało, że mieli kontakt z duchami ludzi, którzy pokutują za swoje grzechy po śmierci.*

Widać zatem, że duchy przenikały polską kulturę przełomu XIX i XX wieku. Możemy wskazać, że wszyscy, od najprostszych włościan do sławnych pisarzy, musieli się zetknąć z konceptem, że śmierć to

nie kres życia, a komunikacja z tymi, co odeszli, chociaż utrudniona, jest możliwa.

DUCHY NA WILCZEJ

Aleksander Łukaszewski schował dłonie głęboko do kieszeni płaszcza. Nie dało to zbyt wiele, lodowaty wiatr przeszywał go na wskroś, zmieniając w nicość nawet te mizerne resztki ciepła, które jeszcze wydzielało jego ciało. Chłopak westchnął i wtulił głowę w ramiona, chyląc czoło przed ostrymi podmuchami. Nienawidził zimy. Ta jednak uparcie trwała już jakiś czas i nic nie zapowiadało jej końca. Czasami, kiedy zasypiał pod trzema narzuconymi na siebie kocami (i nadal zmarznięty), marzył o świecie, w którym zimy by nie było – cały rok panowałoby ciepło, co najwyżej padałby deszcz, żeby dzieci mogły się czasem pobawić w kałużach. Myśl o cieple pozwalała mu zasnąć, a być może nawet przetrwać do kolejnego dnia.

Kiedyś, kiedy jego starszy brat jeszcze żył, opowiadał mu o krajach, w których zima nie istniała. Na południu, gdzie co możniejsi wybierali się na wyprawy, z których powracali ze skórami dzikich zwierząt i wzbogacali się ponad wszelką miarę, przywożąc do kraju kość słoniową, a nawet i dziką zwierzynę, którą można było później podziwiać w ogrodach zoologicznych. Aleksander nigdy nie był w zoo ani nie dostąpił zaszczytu pobierania nauki, ale widział i wiedział wiele dzięki swojej pracy. Jako goniec bywał w domach wielu ludzi, niektórych bardzo bogatych, a oni nieraz pokazywali mu cuda ze swej kolekcji i opowiadali o dziwach z dalekiego świata. W ten sposób Aleksander dowiedział się więcej o dzikich krajach, o tym, co się opłaca w handlu, a nawet o ogrodach zoologicznych, gdzie w klatkach można było zobaczyć nie tylko małpy, ale

i ludzi o czarnym kolorze skóry, którzy w swoim zachowaniu niewiele się od tych małp różnili.

Jego ostatnia klientka uwielbiała zaś snuć opowieści o czasach swojej młodości, szalonych tańcach i libacyjach w Petersburgu. Do tego łaskawie częstowała go przedniej jakości herbatą, przywiezioną jakoby z samych Indii, chociaż dla Aleksandra o wiele bardziej liczył się fakt, że była po prostu gorąca. I że opowieści trwały zwykle długo, zaś jeszcze dłużej majętna mieszczanka pisała odpowiedź na listy, które przynosił. Później z reguły nakazywała mu donieść korespondencję jak najszybciej do nadawcy, ale w dni takie, jak ten – kiedy na zewnątrz panowały nieprzychylne warunki – potrafiła w dodatku wykazać się szczodrością, jeśli chodziło o napiwek. Grobicka, bo tak się nazywała, znana była właśnie z tego, że nie żałowała grosza. Dlatego Aleksander nawet teraz, kiedy szarość wieczoru przechodziła w czerń nocy słabo rozświetlaną gazowymi latarniami, cieszył się, że niebawem u niej zawita. Dobrze pamiętał wizytę sprzed paru miesięcy, kiedy pani Grobicka – z uwagi na szalejącą wichurę – wcisnęła mu w dłoń pół rubla. Kiedy wrócił do domu i pokazał swą zdobycz matce, ta pierwszy raz, od kiedy dowiedzieli się o śmierci Adama, jego starszego brata, przytuliła go i się rozpłakała. Czy i dzisiaj miał szansę na podobną niespodziankę?

Aleksander przyspieszył kroku, wyminął idącą z naprzeciwka grupkę chasydów, skręcił w prawo i przeszedł na drugą stronę Alei Ujazdowskich. To był błąd, w wieczornej szarówce i z głową wtuloną w kołnierz nie zauważył zbliżającego się pojazdu. Usłyszał rżenie koni. Powóz ze skrzypieniem i klekotem wyminął go o parę centymetrów. Aleksander poczuł, jak serce podchodzi mu prawie do gardła. Ktoś, pewnie woźnica, zaklął. Z wnętrza powozu dobiegł go jeszcze gardłowy okrzyk:

– *Pass auf, wie du gehst, Krüppel!*

Aleksander skrzywił się, odwrócił i ukradkiem splunął. To miasto zmieniło się na gorsze, kiedy przybyli Niemcy. Oczywiście jako Polak Aleksander w głębi duszy gardził obydwoma zaborcami – obojętne mu było, czy to Prusak, czy Moskal, ale jedno należało tym ostatnim przyznać – kiedy oni sprawowali władzę, wystawy sklepowe nigdy nie ziały pustkami, miasto wydawało się bardziej żywe i gwarne, a i napić się z kimś było można. Niemcy, chociaż dopiero co się pojawili, przynieśli ze sobą niemiecki styl życia – nakazy, zakazy, musztrę i twardość w obyciu, której Moskale przejawiać nie zwykli. Mówiąc szczerze, zwykły rosyjski żołnierz niewiele różnił się od Polaka – więc dało się z nim i pogadać, i się napić. W opinii Aleksandra nowi gospodarze Warszawy uważali się za lepszych i patrzyli na wszystkich z góry. Nie sposób się było z nimi zbratać – zawsze byli okupantami, pod dyktando historii.

Gdzieś w sercu Aleksander czuł jednak, że nadchodzą zmiany. Nie tylko dlatego, że trwała wojna – te zawsze się toczyły i w Warszawie to, co działo się w okopach, wydawało się odległe. Coś wisiało w powietrzu – kiedy Moskale wycofywali się z miasta, jeden z nich – prosty żołdak, z którym czasem Polacy pili – powiedział Łukaszewskiemu, że najpewniej nigdy się już nie zobaczą. Że nadchodzą nowe czasy – wspaniałe, kiedy tacy jak oni, młodzi i nieznaczący, będą mieli więcej do powiedzenia. W to ostatnie Aleksander nie wierzył, ale faktycznie – coś miało nadejść. Był 23 lutego 1917 roku i świat parł do przodu. Zauważyła to też sama Grobicka, która pewnego razu zaprezentowała młodemu Aleksandrowi swój nowy nabytek – automobil podobny do tych sporadycznie przejeżdżających ulicami miasta i wzbudzających sporą sensację. Również ludzie wydawali się jacyś inni, podekscytowani. Być może miały z tym coś wspólnego słowa skierowane do nich przez mieszkającego niedaleko Piłsudskiego – słowa pełne otuchy, która rozgrzewała serca.

Może być i tak – pomyślał Aleksander – *że za jakiś czas nawet taki* Krüppel, *taki kaleka jak ja, będzie mógł decydować o świecie*.

Uśmiechnął się do własnych myśli, które naraz wydały mu się nader dziecinne. Mimo wszystko może to właśnie dzięki nim (lub też nieco uśmierzającemu ból mrozowi) nie kuśtykał dzisiaj tak jak zwykle – chociaż to właśnie źle zrośnięty piszczel uratował go przed podzieleniem losu brata, czyli poborem i śmiercią. Dziwna to praca, kiedy kaleka zostaje gońcem pocztowym, ale jeśli tak mógł zarobić tyle, by stać go było na zakup chleba dla siebie i matki, to czemu by nie?

Zwłaszcza jeśli pani Grobicka znów okaże się hojna – pomyślał i uśmiechnął się szeroko. Mróz przestał stanowić problem.

Narożna kamienica na Wilczej prezentowała się tak, jak przystało na budynek, w którym mieszkają tak majętni mieszczanie – bogato. Aleksander lubił tu przychodzić, choćby i po to, by przez chwilę pobyć w takim miejscu – powyobrażać sobie, że mógłby tu zamieszkać, cieszyć oko zdobioną elewacją i ozdobami dłużej niż przez te parę godzin.

A póki co nacieszę żołądek ciepłym naparem – przeszło mu przez myśl. Jednak tego wieczora nie czekała na niego ani ciepła herbata, podana ręką starszego lokaja Grobickiej, ani też opowieść o czasach młodości lokatorki mieszkania numer 1. Tej nocy czekały na niego tylko ostre pytania milicji i strach oraz natrętne obrazy i emocje, których nie umiał się pozbyć: niepokój, kiedy kołatał do drzwi Grobickiej, i brak reakcji po drugiej stronie, mimo że przez dziurkę od klucza widać było, że świeci się światło, przyjazd milicji i ślusarza, zwłoki powieszonego na drzwiach lokaja, jego posiniałe wargi i wyłupiaste oczy czy wreszcie właścicielka lokalu – leżąca wśród rozwalonych ubrań, powyrzucanych z szuflad rzeczy, półnaga, z piersiami rozlanymi na boki i sinymi, niemal czarnymi plamami na szyi oraz grymasem przerażenia na twarzy i pustką w szeroko otwartych oczach.

Był piątek 23 lutego 1917 roku i świat, który Aleksander Łukaszewski znał, właśnie się skończył.

* * *

Przedzieramy się przez miasto w stronę kamienicy przy Wilczej dokładnie tą samą drogą, którą w mojej wyobraźni przemierzał Aleksander Łukaszewski ponad sto lat wcześniej. Mówię „idziemy”, bo podczas swojej pierwszej wizyty w warszawskiej kamienicy nie jestem sam – towarzyszy mi A., który – jak już wspomniałem – chce pozostać anonimowy.

To dzięki A. i jego wiedzy na temat bytów paranormalnych, czy też – jak by on powiedział – przenikających do nas z innych gęstości, łatwiej zrozumieć zjawiska, z którymi się spotykam. Chociaż A. nie może mi towarzyszyć podczas każdej sprawy, z jaką przychodzi mi się mierzyć (sam bowiem często wzywany jest w różne rejony świata), mogę śmiało powiedzieć, że tworzymy zgrany duet: badacz i egzorcysta. Do moich zadań należą rozpracowanie historii, dotarcie po nitce do kłębka oraz odnalezienie prawdy i jednej spójnej wizji – w pewnym sensie pracuję jak śledczy ze wspominanego wcześniej Archiwum X, z kolei A. jest jak dodatkowy zmysł, dzięki któremu mogę sięgnąć tam, gdzie innym się nie udało. Na pewno pomaga też fakt, że A. ma za sobą lata doświadczenia w swoim fachu i dysponuje wiedzą niezbędną do wytłumaczenia niektórych zjawisk.

Również w przypadku mieszkania Grobickiej A. jest niemal pewien, że nie zostaniemy z pustymi rękoma – nawet jeśli ducha Grobickiej już tam nie ma, pozostał po niej energetyczny ślad. Ślady pozostawiło po sobie też morderstwo – smutek, żal, strach i panika dosłownie przeniknęły mury starej kamienicy, osadziły się na nich i można je wyczuć. Nierzadko to właśnie te emocje – nie zaś sama obecność ducha – wpływają na

mieszkające w takim miejscu osoby, rezonując z ich energią. Ludzie czują to podświadomie, dlatego domy, w których dokonano morderstwa, i takie, w których ktoś się zabił, nie są zbyt popularne i często ukrywa się to, co się tam wydarzyło. Nieszczęścia, jakie by nie były, lubią chodzić parami czy grupami – ich energia rezonuje ze sobą i się łączy. Być może po części wyjaśnia to tajemnicę miejsc, które zdają się przyciągać kłopoty – sprawę jednego z nich, bloku samobójców w Tarnowie, zbadam zresztą niebawem. Tymczasem skupiam się na widocznej z daleka narożnej kamienicy mającej dwa adresy: Wilcza 2/4 oraz Aleje Ujazdowskie 43 – jest to szczególnie ważne w kontekście mojego śledztwa, ponieważ przypadek Grobickiej opisywany był nierzadko raz pod jednym, raz pod drugim adresem – często więc zajmujący się nim badacze nawiedzonych miejsc docierali tylko do części związanych ze sprawą dokumentów i informacji, co fałszowało ogląd na sprawę.

A jeśli już o tym mowa – gdy pierwszy raz idę na Wilczą, obraz historii, którym dysponuję, przypomina z grubsza ten przedstawiony przez wykreowanego w mojej wyobraźni Aleksandra Łukaszewskiego: Grobicka, majętna wdowa, zameldowana w kamienicy przy Wilczej 2/4 jako kapitalistka, zostaje znaleziona martwa w piątek 23 lutego 1917 roku. Makabrycznego odkrycia dokonuje goniec pocztowy, zatrudniony przez Grobicką do obsługi korespondencji pomiędzy nią a jej licznymi znajomymi, których często gościła w swoim mieszkaniu. Oprócz zwłok Grobickiej w jej mieszkaniu znajduje się też ciało pięćdziesięciosześciecioletniego lokaja Władysława Czapikowskiego – powieszone na klamce drzwi. Kobieta jest w połowie ubrana, a na jej szyi widać ślady duszenia. Sprawca ukradł biżuterię, którą miała na sobie Grobicka, i znaczną sumę pieniędzy. Ktokolwiek to był, wyraźnie się spieszył, gdy przeszukiwał szafy i szuflady. Ostatecznie okazuje się, że

z mieszkania zniknęło parędziesiąt tysięcy rubli. Aby dobrze zilustrować, o jakiej sumie mowa, dodam tylko, że w tamtym czasie przeciętna pensja miesięczna oscylowała w okolicach czterdziestu rubli. Samo to nie powie jeszcze zbyt wiele o tamtym świecie, dlatego warto przyjrzeć się ówczesnym cenom (w rublach oczywiście):

funt (0,4 kg) mąki pszennej – 0,08 rb.
funt ryżu – 0,12 rb.
funt herbatników – 0,60 rb.
butelka mleka – 0,08 rb.
funt pomidorów – 0,22 rb.
funt sandacza – 0,25 rb.
funt winogron – 0,16 rb.
funt jabłek – 0,03 rb.

Osoba, która – tak jak Grobicka – mogła pozwolić sobie na to, by trzymać w domu parędziesiąt tysięcy rubli, musiała być majętna. Tu pojawia się pytanie – skąd nasza bohaterka miała tyle pieniędzy, jak je pozyskiwała? Do tego jeszcze dojdę w trakcie swojego śledztwa.

Na temat śmierci Grobickiej czytam różne teorie – istnieje taka (najbardziej rozpowszechniona), w której to lokaj zabija swoją panią. Mówi się też o dwóch nieznajomych mężczyznach, którzy nad ranem wychodzili z mieszkania kobiety. Docieram ponadto do historii o zwłokach studenta, którego duch przechadza się po Wilczej w towarzystwie białego psa. Jakby tego było mało, niektórzy twierdzą, że w czasie procesji Bożego Ciała wszystkie kwiaty ustawione przy tej ulicy uschły, zaś każdy kolejny lokator narożnego mieszkania kamienicy bardzo szybko z niego uciekał. Relacje te brzmią jak każde inne opowieści o nawiedzonym domu w dowolnym

regionie kraju, docieram jednak do bogatej w szczegóły historii spisanej przez nieżyjącego już aktora i gwiazdę polskiego kina Andrzeja Łapickiego:

> *Jeszcze przed wojną krążyła legenda, że w mieszkaniu pierwszego piętra na rogu Wilczej i Ujazdowskich straszą duchy. Ktoś podobno usiłował tam nocować – umarł. Kiedy zostałem prezesem ZASP, który mieścił się w sąsiednim domu (Aleje Ujazdowskie 35), poprosiłem dozorcę – byłego garderobianego Teatrów Rządowych – żeby pokazał mi wszystkie zakamarki lokalu. Pan Franio spojrzał na mnie krzywo, wziął małe kluczyki, z ciemnego, wąskiego przejścia wprowadził mnie do „mieszkania duchów". Sam uciekł do biblioteki.*
>
> *Zaciekawiony wszedłem. W pustym mieszkaniu na podłodze leżał kształt przypominający człowieka we fraku. Biały gors lśnił w świetle latarni ulicznej. Zjeżyły mi się włosy na głowie i uciekłem do pana Frania. „No i co, widział go pan?" – zapytał przerażony. „Leży, chodźmy tam". Raz jeszcze weszliśmy do mieszkania – tym razem dla odwagi we dwójkę. Na podłodze nikogo nie było. Może przedtem widziałem cienie latarni? Dość, że teraz pokój był pusty. Zamknęliśmy drzwiczki na kluczyk i wróciliśmy do rzeczywistości domu Ujazdowskie 35. I Franio się rozgadał. Podobno za cara zamordowano tam bogatego bankiera. Od tego czasu, a więc z górą 50 lat, nikt nie chciał wynająć tego mieszkania. Narożny lokal, róg Wilczej i Ujazdowskich, stał pusty kilkadziesiąt lat. Czasem jakiś śmiałek usiłował tam nocować. Źle się to dla niego kończyło. Ale przecież sam widziałem trupa we fraku... A może to rzeczywiście były refleksy świateł ulicznych? No i do tego ta legenda. Jeszcze przed wojną rzecz była opisywana w „Expressie Wieczornym".*

Franio opowiedział mi do tego szereg mrożących krew w żyłach historyjek.

Wczoraj przejeżdżałem tamtędy. Okna brudne – widać, że wciąż nikt tam nie mieszka.

Ciekawe, że w czasie okupacji na maszerującą alejami pod tym domem kompanię SA posypał się grad granatów. Było kilkunastu zabitych. Sprawców nigdy nie znaleziono. „A jak pan myśli, kto rzucał te granaty?" – pytał mnie z chytrym uśmieszkiem pan Franio. Ponieważ był garderobianym w Teatrach Rządowych – ubierał Bolesława Leszczyńskiego!!! – więc bardzo dbał o swoją godność. Przez pewien czas był też garderobianym w Teatrze Współczesnym. Miał wtedy chyba 80 lat. Objechany przez aktora ze średniej półki, że ręcznik brudny, nachylił się do mnie i szepnął: „A jak mu dam czysty, to będzie lepiej grał?". X nie grał lepiej. Pana Frania już dawno nie ma. Ileż musiał mieć anegdot do opowiedzenia – o baletnicach, o generałach, ale nic nie przebije ducha we fraku na podłodze, którego sam widziałem. A może tylko mi się zdawało?[6]

Informacja o zabitym bankierze to coś zupełnie nowego. Jeszcze jedna ofiara kamienicy na Wilczej? Domyślam się, że najprawdopodobniej właśnie w ten sposób ewoluowała historia o lokaju Grobickiej. Po prostu gdzieś w trakcie formowania się historii o nawiedzonym mieszkaniu bogata mieszczanka poszła w odstawkę, a lokaj stał się „bankierem".

Zastanawia mnie też fakt, że Łapicki nic o lokaju nie wiedział – a i o plotce o bankierze dowiedział się już po tym, jak zobaczył leżącego w pustym mieszkaniu trupa. Coś dzieje się w mieszkaniu Grobickiej. Utwierdza mnie w tym przekonaniu nie tylko lektura historii Łapickiego,

ale i rozmowa z jedną z lokatorek kamienicy podczas mojej drugiej wizyty na Wilczej.

Kobietę spotykam w trakcie próby wejścia do budynku – akurat wraca ze sklepu, niesie jakieś siatki z zakupami. Jest w średnim wieku, obwieszona koralikami, na dłoniach błyszczy się biżuteria.

– Nie słyszałam o duchu – mówi. – A mieszkam w tej kamienicy już wiele lat.

Po tym wstępie jestem niemal pewien, że rozmowa szybko dobiegnie końca, ale rzeczywistość mnie zaskakuje.

– O samej historii kamienicy też niewiele wiem – przyznaje moja rozmówczyni – ale czasami słyszę różne rzeczy. Wie pan, mieszkam sama i wieczorami zdarza się, że same otwierają się okna, czasem słyszę kroki, trzeszczy podłoga. Może to parkiet, bo stary jest. Ale czasami budzę się w środku nocy i mam wrażenie, że przed chwilą ktoś do mnie coś mówił. Albo czasami że ktoś stoi w drzwiach do pokoju i patrzy na mnie. Parę razy coś widziałam, ale wie pan, przychodzi poranek i człowiek myśli sobie, że to tylko sen był…

Rzeczywiście – to mógł być sen. Nauce znane są przypadki „paraliżu sennego" – uśpiony człowiek przebudza się nagle, ale jego ciało ciągle jest sparaliżowane – wtedy, na pograniczu snu i jawy, można zobaczyć różne (i niepokojące) rzeczy, często doznaje się halucynacji. Antropologowie zgadzają się, że przypadki paraliżu sennego mogą odpowiadać za powstanie opowieści o niektórych demonach, takich jak Mara (lub też Zmora) czy Sukub. Tak to opisują naukowcy. Patrząc z drugiej strony, można zadać sobie pytanie, czy „halucynacje" nie wynikają przypadkiem z tego, że pomiędzy jawą a snem jesteśmy bardziej otwarci na dostrzeganie różnego rodzaju zjawisk. Jeśli nawet wierzyć nauce, to i tak trudno znaleźć wytłumaczenie dla tego, co kobieta z Wilczej powiedziała potem:

– Raz wydarzyło się coś dziwnego. Gotowałam późny obiad, było już ciemno. Wyszłam na chwilę z kuchni, kiedy wróciłam, wszystkie szafki i szuflady były otwarte. Ale pomyślałam sobie, że to może był jakiś przeciąg.

Więcej nie udało mi się dowiedzieć, ale na tym etapie ciągle mam więcej pytań niż odpowiedzi – kim była Grobicka? Co tak naprawdę stało się w noc jej śmierci? Kto i dlaczego ją zabił? Czy chodziło tylko o kosztowności? Brak śladów włamania sugeruje, że mordercą była osoba, którą mieszczanka znała i której ta ufała. Miejsce, którym się zajmuję, wydaje się ciągle aktywne – w udzieleniu odpowiedzi na pytanie jak bardzo może mi pomóc tylko badanie przeprowadzone przez A.

* * *

Kamienica na Wilczej różni się od stereotypowego nawiedzonego budynku – jest zamieszkana, a kiedy razem z egzorcystą docieramy na miejsce, właśnie trwa jej renowacja. Poprzez siatki i rusztowania udaje mi się jednak zauważyć, że nie przypomina już budowli, którą podziwiałem na zdjęciach zrobionych na początku XX wieku. Kamienica została wzniesiona w 1882 roku według projektu Jana Kacpra Heuricha. Nie mam pewności, kto był pierwszym inwestorem, ale budynek nazywany jest kamienicą Władysława Umiastowskiego, hrabiego i zamożnego ziemianina, który w tamtym czasie posiadał wiele nieruchomości, tak na Litwie oraz terenach dzisiejszej Białorusi, jak i na terenach Polski. Za czasów swojej świetności budynek zwieńczony był spiczastym dachem z narożnym hełmem, zaś elewację przecinały liczne zdobienia – wszystko to zostało zniszczone w trakcie wojny przez bombardowania oraz później w trakcie odbudowy Warszawy i w erze komunizmu. Dzisiaj – nadal piękna – kamienica stanowi jednak tylko cień dawnej świetności.

Ponieważ trwa remont, bez problemu dostajemy się na podwórze, a stamtąd do ciasnego piwnicznego korytarza. W obu tych miejscach A. wyjmuje wahadełko i bada energię tej przestrzeni. To trudne. Jak wspomniałem wcześniej, każda emocja – miłość, strach, złość – pozostawia swego rodzaju ślad. Energetyczny odcisk, który utrzymuje się przez długie lata. Mój współpracownik wyczuwa je wszystkie – a w miejscu takim jak to aż się roi od silnych emocji. Ile się ich nagromadziło od 1917 roku? Trwała wojna, potem przyszła kolejna – bombardowania, prześladowania niemieckie, powstanie warszawskie. Później nędza i brak nadziei na lepsze jutro, maskowane propagandą PRL-u.

Wyobrażam sobie, jak mój towarzysz przedziera się przez to wszystko, szukając jednego jedynego śladu sprzed ponad stu lat. Śladu morderstwa i wiodącej od niego ścieżki czegoś, co może, ale nie musi być Aleksandrą Grobicką.

A. tłumaczył mi kiedyś, jak to działa – według jego wiedzy na innych gęstościach (nazywanych również zaświatami lub przez niektóre grupy okultystów „autostradą”) istnieją byty, które żywią się energią. Najpopularniejsze określenie, jakiego się wobec nich używa, to demony. Niektóre z nich, jak mówi A., są zdolne do wędrowania pomiędzy swoim światem a naszym. Niektóre w ogóle nie dysponują rozumem, to w pewnym sensie pasożyty, które potrafią przyczepić się do człowieka i ściągać z niego energię, wysysać ją, powodując koszmary, depresję, coraz gorsze samopoczucie. Inne przypominają raczej drapieżniki. Urządzają zasadzkę na… nazwijmy to, „nieostrożnych”, którzy lubią eksperymentować – na przykład z wychodzeniem z ciała, znanym jako OOBE. Wykorzystują nasze wierzenia i religie – co zrobisz, jeśli w trakcie takiej przygody ukaże ci się Jezus albo zmarła ciocia? Innym – i te są najczęściej spotykane w nawiedzonych miejscach – wystarczy strach, bo

właśnie nim się żywią. Nie mają problemu z dostosowaniem swojego wyglądu do konkretnej legendy. Dlatego właśnie to, co objawia się w tej kamienicy, wcale nie musi być duchem Grobickiej.

Patrzę więc z uwagą na mojego towarzysza, kiedy w dłoni wiruje mu wahadełko.

– Tu jest bardzo dużo śladów – mówi wreszcie A. – Dużo różnych energii, które się wzajemnie zakłócają. Coś tutaj na pewno było, ale nie jestem pewien, czy jest nadal. A jeśli nawet, to w tej chwili uśpione – na pewno nie ma tu ducha tej pani.

Czy to oznacza, że kamienica na Wilczej nie jest nawiedzona? Niekoniecznie, o czym wkrótce opowiedzą mi kolejne osoby. Nim jednak do tego dojdzie, postaram się dowiedzieć czegoś więcej o samej Grobickiej i niezwykłym ciągu zdarzeń, który doprowadził do jej morderstwa. Morderstwa, które – jak się ma okazać – wcale nie oznacza końca historii.

* * *

Nie przebrzmiały jeszcze ponure echa zbrodni, dokonanej na osobie Ireny Ferensówny, gdy oto znów ujawniono morderstwo, dokonane w celach rabunku w uprzywilejowanej dzielnicy miasta, a mianowicie: w Al. Ujazdowskich.

W domu nr. 4. w Al. Ujazdowskiej róg Instytutowej zajmowała od kilku miesięcy apartament złożony z 6-ciu pokojów niejaka Zofja Aleksandra Grobicka, zameldowana jako kapitalistka. Nazwisko to obiegło już szpalty pism przed kilku laty, gdy w mieszkaniu Grobickiej dokonano tajemniczej kradzieży biżuterji. Podejrzana o kradzież służąca popełniła wówczas samobójstwo, organy zaś śledcze powzięły podejrzenie, iż kradzieży dopuścił się „masażysta". Ujęto go we Lwowie i choć skradzionej biżuterji nie odzyskano,

obciążały go poważne poszlaki. Śledztwo jednak musiano przerwać i wypuścić masażystę zpod klucza, gdyż Grobicka złożyła usprawiedliwiające go zeznania.

Oprócz tego dwukrotnie jeszcze okradziono G. na sto przeszło tysięcy rb., ale poszkodowana nie meldowała wcale o tem władzom policyjnym. Widać z tego, że Grobicka była bardzo majętną[7].

Tak sprawę Grobickiej zrelacjonowano w „Kurierze Poznańskim" z 27 lutego (a więc cztery dni po morderstwie) 1917 roku. Odnoszę wrażenie, że moją bohaterkę męczył jakiś „pech" – morderstwa dokonano co prawda na tle rabunkowym, ale nie pierwszy raz skradziono jej pokaźną sumę pieniędzy. Opisywany przez redaktora „Kuriera Poznańskiego" przypadek masażysty ujętego we Lwowie opisano też na łamach prasy z września 1912 – nie zgadzają się jednak szczegóły. Znajduję informację o tym, że to Grobicka nie stawiła się na przesłuchanie, by złożyć niezbędne zeznania – w konsekwencji dalsze śledztwo zostało umorzone. Kto tak postępuje? Na pewno nie osoba, która chce odzyskać swoje dobra i ukarać sprawcę. To brzmi bardziej, jakby Grobicka czegoś się bała… lub próbowała coś ukryć.

Co ukrywała mieszczanka? Poszukiwania zabierają mi dużo czasu. Odwiedzam większość bibliotek i archiwów w Warszawie, wiedziony niegasnącym przeczuciem, że w tej całej historii jest coś więcej – nie wiem, czy natury paranormalnej, ale na pewno równie zagadkowej. W końcu docieram do małej wzmianki z rubryki „Wypadki", w 476 numerze „Nowej Gazety" z 15 października 1912 roku. Prawdopodobnie bym ją przeoczył, gdyby nie tytuł, który po prostu mnie zaciekawił:

X Samobójstwo w cyrkule.

Przed dwoma dniami pisaliśmy, że w mieszkaniu Zofii Grobickiej przy ul. Wilczej No 2 dokonano znacznej kradzieży

biżuteryi i że o kradzież tę między innymi poszlakowany jest współlokator Grob., Michał Zwoliński. Otóż dziś o g. 11½ rano Zwoliński, który zamieszkał czasowo w Grand Hotelu, przyszedł do kancelaryi cyrkułu XIII-go w celu wytłomaczenia się. Po spisaniu protokołu, komisarz oświadczył Zwolińskiemu, że jest aresztowany. W tej chwili Z. wyjął z kieszeni rewolwer i, zanim zdołano mu przeszkodzić, strzelił sobie w głowę. Zgon nastąpił natychmiast.

Zwłoki odesłano do gabinetu medycyny sądowej[8].

Podsumuję fakty: w piątek 23 lutego 1917 roku Grobicka i jej współlokator zostają zamordowani, a z mieszkania znika znaczna suma pieniędzy. Już wcześniej jednak sama Grobicka jest kilkukrotnie okradana. Najpierw – we wrześniu 1912 roku – kradzieży dokonuje prawdopodobnie masażysta, którego policja ujmuje, lecz sama ofiara nie jest zainteresowana dochodzeniem sprawiedliwości i złożeniem zeznań – masażysta zostaje więc wypuszczony. Zaledwie parę miesięcy później oskarżenie o kradzież słyszy Zwoliński, który jest również współlokatorem Grobickiej. Dobrowolnie udaje się do cyrkułu, by złożyć zeznania, gdzie wyjmuje rewolwer i strzela sobie w głowę.

Na tę chwilę mam parę konkluzji: po pierwsze, bohaterka mojej opowieści była osobą niezwykle wręcz majętną – nie mogę jednak znaleźć żadnych informacji o tym, by gdziekolwiek pracowała lub była spokrewniona z kimkolwiek możnym, kto mógłby ją utrzymywać. Po drugie, sprawa staje się coraz bardziej zagadkowa, po trzecie zaś, Grobicką prześladował niezwykły „pech”. Ogromny wręcz, bo wkrótce znajduję kolejne informacje. Obok sensacyjnej wiadomości o wyprawie eksploracyjnej paryskiej hrabiny Kamili du Gast do wciąż nieznanego Maroka (hrabina na polecenie rządu Francji stanęła na czele trzydziestu ludzi i przez następne pięć miesięcy miała badać marokańską faunę i florę,

a także nawiązywać stosunki ekonomiczne), po raz kolejny dostrzegam dobrze znane mi już nazwisko:

> *Zamieszkała przy ul Szopena pod nr. 17 p. Zofia Grobicka, kapitalistka, zameldowała w policji, iż sublokator jej, Bazyli syn Tymoteusza Dzikij, lat 25 liczący, skradł jej z pod zamknięcia 55,000 rubli w rencie państwowej i z łupem ulotnił się. Odszukaniem przyjemnego współlokatora zajęła się policja*[9].

Chociaż Grobicka nie mieszka jeszcze na rogu Alei Ujazdowskich, schemat jest podobny jak w znanych mi już przypadkach – współlokator kradnie znaczną sumę pieniędzy. W tym przypadku współlokator okazuje się dużo młodszy od mieszczanki… co daje mi do myślenia. Wracam więc do incydentu z „masażystą" – czego mogła bać się osoba pokroju Grobickiej tak bardzo, że zaniechała wymierzenia sprawiedliwości? Kiedy docieram do informacji, że masażysta zeznał, że był kochankiem kobiety, częste zmiany „współlokatorów" zaczynają nabierać sensu. Tylko skandal mógł napsuć krwi majętnej kobiecie w średnim wieku. A taki niewątpliwie by wybuchł, gdyby potwierdzono, że bogata mieszczanka bawiła się w towarzystwie coraz to kolejnych kochanków… którzy jednak po pewnym czasie ulatniali się z jej pieniędzmi.

Czy przybliża mnie to do rozwiązania zagadki śmierci Grobickiej? Możliwe, ale pozostaje jeszcze jedno pytanie – jak to się stało, że kobieta dysponowała tak znacznym majątkiem?

Niestety, nie trafiam na potwierdzone informacje, lecz na plotki – ale po zebraniu do kupy wszystkiego, co na początku XX wieku mówiło się o Grobickiej na warszawskim bruku, moim oczom ukazuje się dosyć spójny obraz.

Przeniosę się w czasie o dwadzieścia lat wstecz – kończy się wiek XIX. Na deskach najprzedniejszych scen kabaretowych Petersburga występuje Zofia Aleksandra Miłkowska – jest sławna, chociaż nie z powodu talentu, a urody i zalotności. Niebawem młodą dziewczyną zaczyna się interesować pewien dygnitarz wojskowy, który zabiera ją ze sobą w podróż po Europie – kiedy ta się kończy, wypłaca jej pół miliona rubli i każde z nich idzie w swoją stronę. Majętną już wówczas i piękną Zofią zaczyna interesować się pewien bankier, który otacza ją „opieką" – a kiedy mijają lata i uroda niegdysiejszej gwiazdy kabaretu zaczyna powoli gasnąć, stara się o wydanie jej za nieznanego bliżej (lecz równie majętnego) Grobickiego. Innymi słowy – dobrą partię. Pożycie nie jest jednak szczęśliwe, dochodzi do separacji – z której to Zofia, już pod nowym nazwiskiem, wychodzi z kolejnym zapasem pieniędzy. I wtedy nasza mieszczanka przeprowadza się do Warszawy.

O jej życiu w stolicy wiadomo sporo – była znana z ekscentrycznego i rozrzutnego sposobu życia – uwielbiała klejnoty, biżuterię, kilka razy do roku zmieniała powozy, w końcu nabyła nawet samochód, przebierała w sukniach i bywała na wszystkich głośnych teatralnych premierach. Utrzymywała liczne kontakty towarzyskie – tak z inteligencją rosyjską, jak i coraz bardziej podejrzanym towarzystwem – sąsiedzi często skarżyli się na hałasy spowodowane przedłużającymi się libacjami, zaś Grobicka często sama wzywała policję, aby ta pomogła jej się pozbyć niechcianych gości – tak było nawet parę dni przed jej zabójstwem.

Maluje mi się coraz pełniejszy obraz Grobickiej – samotna, majętna kobieta w okolicach pięćdziesiątki, żyjąca rozrzutnie, spraszająca sobie młodych kochanków, którzy ją następnie okradają – szanse na to, że takie postępowanie skończy się tragedią, są spore.

Można nawet powiedzieć, że Grobicka sama zaprosiła śmierć do swojego życia.

* * *

Kto zabił Aleksandrę Zofię Grobicką? Do dzisiaj pytanie to pozostaje bez odpowiedzi – część ze zrabowanych dóbr zmarłej została odzyskana, jeszcze w 1917 roku niektóre kosztowności znalazły się u warszawskich paserów. Z kolei w 1928 roku, ponad dziesięć lat po zabójstwie, warszawską prasą wstrząsnęły doniesienia o głośnej sprawie fałszerstwa testamentu zmarłej. Oszustwa miał się dopuścić członek jej rodziny w piątym stopniu spowinowacenia.

Można oczywiście snuć domysły na temat tego, kto zamordował Grobicką i jej służącego tamtej nocy z czwartku na piątek 23 lutego 1917 roku. Do tych inspiruje mnie wzmianka, którą znajduję w „Kurjerze Warszawskim" z dnia 28 grudnia 1935 roku. Tekst zdaje się stanowić swoisty epilog zagadki morderstwa Grobickiej:

> *Echa tajemniczej zbrodni.*
>
> *W domu noclegowym w t. zw. „Cyrku" miał schronienie wykolejeniec, człowiek wykształcony i zamożny, który dawniej słynął z wesołego trybu życia. Podczas wojny stoczył się na dno, został nałogowym alkoholikiem, kokainistą i morfinistą. Nazywał się Antoni Świerkowski, a w przytułku miał przezwisko „Antoś oliwa". Zmarł niedawno i ciało jego przesłano do zakładu anatomicznego.*
>
> *W związku z jego śmiercią, przypominają, że w chwilach „szczerości alkoholowej", przyznawał się, iż nie daje mu spokoju zabita za okupacji niemieckiej w Warszawie bogata wdowa Grobicka, która posiadała apartament w Al. Ujazdowskich*

i prowadziła wystawny tryb życia. Morderstwo to osłonięte jest dotychczas tajemnicą, gdyż dochodzenia ówczesnej okupacyjnej policji niemieckiej nie dały wyniku. Stwierdzono tylko, że morderca obrabował ofiarę, zabierając dużo kosztowności. W zawierusze wojennej o sprawie zupełnie zapomniano i śledztwo nie było wznowione.

Z osobą Świerkowskiego wiąże się pytanie, czy brał on udział w zabójstwie, ale ponieważ już nie żyje, ponawianie śledztwa byłoby niecelowe[10].

Późniejsze wydarzenia, które przetoczyły się przez Europę i świat – wojna, okupacja III Rzeszy czy wreszcie komunizm – całkowicie przesłoniły i pogrzebały zagadkę mordu dokonanego na Grobickiej. Wkrótce zaczęto mówić o tym, że zamordował ją lokaj, po pewnym czasie lokaj przerodził się w martwego bankiera i te dwie historie nieustannie się ze sobą mieszały.

Coś jednak pozostało – niepokój i strach, mącące spokój okolicznych mieszkańców i przyjezdnych – nawet wtedy, kiedy (tak jak Andrzej Łapicki) nie mieli pojęcia o historii tego miejsca.

* * *

Fakt, że świadkami niewytłumaczalnych zjawisk – stanowiących dowód na obecność zmarłych na Wilczej – były także osoby, które nie wiedziały nic o przeszłości kamienicy, zastanawia mnie najbardziej. Można przecież mówić o autohipnozie, efekcie placebo, zasugerowaniu się daną opowieścią – wtedy wyobraźnia nierzadko podsuwa nam niepokojące obrazy i bardzo łatwo doszukujemy się rzeczy, które nie istnieją.

Zupełnie inaczej ma się sytuacja, kiedy widzimy coś niezwykłego mającego związek z historią, którą poznajemy dopiero wtedy, kiedy zaczynamy dociekać, co tak naprawdę widzieliśmy. To urealnia doświadczenie, które tym samym trudniej jest logicznie zanegować.

O takich okolicznościach opowiada mi staruszka wyprowadzająca na Wilczej niepełnosprawnego pieska. Piesek to kundelek bez tylnych nóżek, zastępuje je coś w rodzaju nakładki, do której przytwierdzone są kółka. To umożliwia mu chodzenie. Przez chwilę rozmawiam z kobietą o nieszczęsnym losie zwierzęcia, potem nakierowuję rozmowę na interesujące mnie tory. Spodziewam się raczej tego, że zostanę zwyzywany, tymczasem staruszka po prostu się śmieje.

– To taka lokalna legenda – mówi. – Mało kto jeszcze o niej pamięta. Moja siostra ją kiedyś spotkała. Miała amanta, no i ten odprowadzał ją pod dom. Była noc, więc ulice puste. Idą sobie tak ulicą, trzymają się pod rękę, siostra czuje, że on idzie coraz bliżej, więc ona też się przybliża. No i nagle za nimi staje kobieta, ubrana w bogatą suknię. Smutna na twarzy. Siostra mówiła, że pojawiła się dosłownie znikąd. Siostra pomyślała, że może się zgubiła i chce ich zapytać o drogę albo coś. A ta popatrzyła się na nich i naglę zaczęła krzyczeć, jakby z bólu. Ogłuszająco. Ten facio, zamiast ją bronić, to zaczął uciekać, a siostra została jak wrośnięta w ziemię, a tamta kobieta ciągle krzyczała. I dopiero po chwili siostra obróciła się i pobiegła do bramy naszej kamienicy. Jak była już obok, to krzyk nagle się urwał, i kiedy się obróciła, to ulica była zupełnie pusta. A ten facet to nie pokazał się nigdy więcej. Później wyszło, że był poszukiwany przez policję za gwałt. Może to był, wie pan, rodzaj ostrzeżenia?

Czy to oznacza, że to, co nawiedza Wilczą, może być dobrym bytem? Magda, kolejna osoba, którą udało mi się przepytać, ma chyba inne zdanie. Magda odwiedzała kiedyś mieszkanie po drugiej stronie Alei

Ujazdowskich, z którego okna roztacza się widok dokładnie na apartament, w którym niegdyś żyła Grobicka.

Skontaktowała się ze mną przez Facebooka, po tym, jak zobaczyła któryś z moich licznych postów na grupach mieszkańców miasta – prosiłem w nich o kontakt wszystkie osoby, które wiedzą cokolwiek tak o badanej przeze mnie sprawie, jak i miejscu.

Magda nie chce, abym podawał jej prawdziwe imię i nazwisko, jak i inne fakty pozwalające ją rozpoznać (jak zresztą większość moich rozmówców – kto „poważny" chciałby w końcu, aby jego znajomi dowiedzieli się, że wierzy w zjawiska paranormalne?). Za to kiedy udaje nam się zdzwonić, opowiada mi swoją historię:

> – *Nie wiem, czy ci pomogę, ale jak byłam mała, może miałam dziesięć lat, to chodziłam do ciotki z rodzicami na obiady. Ciocia miała mieszkanie niedaleko tego miejsca, o którym pisałeś, i często się nudziłam. Wiesz, dorośli gadają przy stole, dziecko nie ma co ze sobą zrobić. No i kiedyś siedziałam na parapecie i gapiłam się przez okno, i w pewnym momencie zobaczyłam, że w mieszkaniu naprzeciwko otworzyło się okno i stanęła w nim jakaś pani. Była śmiesznie ubrana, pomyślałam wtedy, że bardzo staromodnie, ale bardzo podobała mi się jej suknia i biżuteria. No i wiesz, samo to jeszcze by mnie nie zdziwiło, ale ona wyraźnie się na mnie patrzyła i uśmiechała się tak bardzo szeroko. Pokiwała mi. Nie wiem czemu, ale wtedy zaczęłam się bać. Byłam dosłownie jak zamrożona. Wyglądała zupełnie normalnie, nie jak duch czy coś, po prostu człowiek. A potem jak tak się uśmiechała i mi kiwała, to ten jej uśmiech dosłownie rozszerzył się na całą twarz, od skroni do skroni. I wtedy uciekłam i się rozpłakałam. Potem jeszcze przez parę lat mi się śniła.*

Dzisiaj jednak próżno szukać opowieści o tym, że widmo z Wilczej ukazuje się nadal. Być może mieszkanie jest już po prostu mieszkaniem jak każde inne, a cała historia przerodziła się w kolejną miejską legendę. Nie można też wykluczyć tego, że to, co przebywa w tym miejscu, pozostaje w uśpieniu i czeka na kolejną okazję – przesłankę mogłaby stanowić opowieść o otwierających się szafkach, którą przybliżyła mi wcześniej mieszkanka kamienicy. Póki co miejsce to jest jednak spokojne, w przeciwieństwie do kolejnej bohaterki mojego śledztwa – położonej parę ulic dalej opuszczonej kamienicy, w której z końcem XIX wieku mieszkała Maria Wisnowska, *femme fatale* Warszawy, gorsząca starszych i mamiąca młodszych, aktorka warszawskiego teatru dramatycznego.

Sprawa burzliwego zakazanego romansu między nią a carskim oficerem oraz tajemniczego morderstwa Wisnowskiej zainspirowała Iwana Bunina, laureata Nagrody Nobla, do napisania powieści *Sprawa korneta Jełagina*. W 1974 roku Władysław Terlecki stworzył inspirowany tą historią *Czarny romans*, zaś w 2003 roku powstał film *Igra v modern* w reżyserii Maksima Korostyszewskiego i Igora Efimowa.

Dziś w centrum Warszawy znajduje się opuszczona, zamknięta kamienica, do której mało kto ma dostęp. W jednym z jej mieszkań zastrzelona została Wisnowska.

Czasami, kiedy zapada noc, na korytarzach starego budynku ukazuje się niewyraźna postać płaczącej młodej kobiety. Kto ją widuje, jeśli kamienica jest opuszczona?

Bezdomni. Jak sami mi opowiadają – przychodzą tutaj, żeby umrzeć.

---

[6] A. Łapicki, *Duchy na Wilczej*, „Rzeczpospolita” nr 5/07.01, dodatek z 9 stycznia 2012 r.

[7] „Kurier Poznański”, R. 12, nr 46, 27 lutego 1917 r.

[8] „Nowa Gazeta”, nr 476, 15 października 1912 r.

[9] „Słowo Warszawa”, nr 45, 15 lutego 1912 r.

[10] „Kurjer Warszawski”, nr. 355 – wyd. wieczorne, 28 grudnia 1935 r.

ŚMIERTELNA GRA WARSZAWSKIEJ AKTORKI

Czymże być – kobietą? Nie, to za mało. Aniołem? Nie, boć są i upadłe anioły. Warto być Bogiem albo niczem.

– z pamiętnika Marii Wisnowskiej

Rankiem 19 czerwca 1890 roku[11] w mieszkaniu rotmistrza Grodzieńskiego Pułku Huzarów Lejbgwardii Aleksandra Lichaczowa rozległo się donośne pukanie. Leżący w łóżku mężczyzna z początku nie reagował – chociaż w carskiej armii wczesne pobudki nie były rzadkością, z racji swojego stanowiska Lichaczow mógł sobie pozwolić na luksus wysypiania się – szczególnie po długiej, uciążliwej nocy w towarzystwie kompanów i przyniesionych przez nich butelek. A przynajmniej tak to sobie tłumaczył.

Na luksus tłumaczenia sobie tego typu rzeczy Lichaczow również mógł sobie pozwolić. Gdyby miejscem, w którym rozkazano mu stacjonować, była Moskwa, Sankt Petersburg czy choćby Wilno, niewątpliwie przykładniej przestrzegałby musztry– w końcu bliżej domu. Ale Warszawa, chociaż przez niektórych nazywana „Paryżem północy" i będąca jednym z najludniejszych miast Imperium, przy bliższym poznaniu okazywała się nudną, przepełnioną biedotą dziurą. Dni mijały tu powoli, jeden za drugim, mniej lub bardziej zakrapiane alkoholem. Na ulicach rozlegał się ciągle ten sam polsko-żydowski jazgot i chyba jedyną rozrywką mogącą sprawić, by serce zabiło nieco szybciej, były wyjścia do teatrów, których Lichaczow szczerze jednak nienawidził. Nie rozumiał, co ciekawego można widzieć

w ludziach udających innych ludzi. Niektórzy jego podkomendni gnali do warszawskich teatrów na każdą z omawianych w prasie premier jak psy, które zwietrzyły samiczkę w rui. Ale czy chodziło o sztukę? Lichaczow szczerze powątpiewał, bardziej chyba o tę suczkę właśnie, bo aktorki, które można było zobaczyć na scenie, często zniewalały samym jednym spojrzeniem. Co się zaś tyczy dramatów – większe Lichaczow przeżywał w swych snach, dlatego też nie lubił, kiedy się mu je przerywało.

Natarczywe pukanie, teraz już walenie pięścią, przywróciło go jednak do rzeczywistości, w której głowę dręczył lekki kac, a i pęcherz dokładał swoje. Lichaczow przetarł oczy i skonstatował, że zza okna wlewa się do wnętrza jedynie blade światło świtu – musiało więc być naprawdę wcześnie. Stęknął zatem, pierdnął i usiadł na łóżku, czując, że jego błędnik nie nadąża za tym zbyt szybkim ruchem.

Ktoś walił w drzwi. To wiedział na pewno. Wiedział również, że jeśli ten ktoś nie przychodzi ze sprawą życia i śmierci, marny będzie jego los.

– Gdzie jest ten Kapnist… – wymamrotał, podnosząc się.

Zaraz też przypomniał sobie, że to właśnie z adiutantem zeszłej nocy wychylili gorzałkę. Wspomniany Bazyli Kapnist, kornet Grodzieńskiego Pułku Huzarów Lejbgwardii oraz hrabia, sądząc po stanie, w jakim był wczorajszej nocy, w tej chwili albo leżał w kałuży wymiocin, albo też leżał nieżyw tuż przed tym procederem. W każdym razie nie mógł teraz pomóc rotmistrzowi, wobec czego musiał on sam, chociaż niechętnie, przejść przez mieszkanie i otworzyć drzwi.

Zza nich wypadł zziajany kornet Aleksander Barteniew. Rzut oka na jego twarz wystarczył, by Lichaczow od razu wytrzeźwiał. Barteniew był blady, miał podkrążone oczy i sine usta. Dygotał cały, jakby w febrze, z jego oczu ciekły łzy.

– Cóż się stało…?

Barteniew nie odpowiedział. Zamiast tego siadł ciężko na kanapie i schował twarz w dłoniach. Potem zerwał się nagle i zrzucił z siebie wojskowy płaszcz.

– Oto i moje szlify – rzekł łamiącym się głosem.

Rotmistrz Lichaczow stał jak wrośnięty w ziemię. Co mogło się stać, że Barteniew, do tej pory przykładny (chociaż może zbyt dużo pijący) oficer, właśnie rezygnował ze swej służby? Postąpił krok ku niemu, lecz nim zdążył cokolwiek powiedzieć, kornet znów się odezwał.

– Zabiłem ją – oświadczył.

Powiedział to tak spokojnie, że Lichaczow poczuł, jak włoski na jego karku unoszą się ze zgrozy.

– Zabiłem Manię.

– Manię? – powtórzył za nim bezmyślnie Lichaczow.

Barteniew popatrzył prosto na niego, jakby widział go po raz pierwszy. Źrenice miał tak rozszerzone, że tęczówki stały się niemal niewidoczne. Uśmiechnął się szeroko, chociaż nie było w nim żadnej wesołości. Zacisnął pięści.

– Zabiłem Marię Wisnowską.

* * *

Sztabsrotmistrz Julian Jelec ponuro wpatrywał się w zmierzającego ku niemu hrabiego Kapnista. Bazyli stąpał ciężko, jakby – mimo porannej godziny – bardzo zmęczony. Zgięty i przytłoczony smutkiem wydawał się niknąć w perspektywie ulicy Nowogrodzkiej.

Cóż za dzień… – pomyślał Jelec. *Wisienka nie żyje… tak coś żem czuł, że tak będzie.*

Miał oczywiście na myśli Marię Wisnowską, którą pieszczotliwie przezywano właśnie „Wisienką”. Ona godziła się na to i wydawało się, że

jej to nawet schlebia. Jednak z Wisnowską nigdy nic nie było wiadomo – równie dobrze mogła żywić wewnętrzną urazę i tylko dla niepoznaki kokietować mężczyzn w swoim otoczeniu, tak jak to czyniła zawsze. Barteniew nie stanowił wyjątku. Jelec przypominał sobie, że nie raz i nie dwa prosił ją i błagał, żeby nie bałamuciła wrażliwego serca jego przyjaciela. On przecież szczerze był zakochany, a ona tylko… bawiła się nim jak lalką.

Jelec zaklął i splunął na chodnik. Stojący obok niego stróż Cuglewski drgnął nerwowo i popatrzył błagalnie w stronę opierającego się o ścianę rewirowego Borkowskiego. Ten tylko wzruszył ramionami.

Tymczasem Kapnist doszedł wreszcie do nich, westchnął i bez słowa spojrzał na bramę, obok której widniał numer 14.

– Więc tutaj – powiedział. – Na Złotej nic nie wiedzą.

Jelec kiwnął głową.

– Panie stróżu, niech pan otwiera. Miejmy to już za sobą.

Cuglewski się zgarbił, wyjął z kieszeni pęk kluczy i podszedł do bramy. Skrzypnęły drzwi. Kapnist i Jelec popatrzyli na siebie, jakby chcieli nawzajem dodać sobie otuchy. Potem weszli w wiejącą chłodem czerń kamienicy przy Nowogrodzkiej 14.

Nie musieli iść długo. Mieszkanie numer 1 było małą kawalerką mieszczącą się na parterze budynku, po lewej stronie od bramy. Wystarczyło pokonać parę schodów, szczęknął zamek przy drzwiach i Cuglewski zatrzymał się, by puścić oficerów przodem.

Zajrzeli w głąb ciasnego korytarza. Było tu tak ciemno, że wydawało się, jakby zmieniał się on w tunel bez końca. Kapnist zaklął i zapalił przyniesioną ze sobą lampę naftową. Wyciągnął ją przed siebie i oświetlił znajdujące się po lewej drzwi, prowadzące do sąsiedniego mieszkania. Po prawej stał mały stolik, na którym (tak jak i obok niego) walały się brudne

naczynia z resztkami kolacji, opróżniona butelka po szampanie i druga, do połowy jeszcze pełna, oraz szklanka zapełniona do połowy jakimś ciemnym płynem.

Przeszli dalej, a parkiet skrzypiał pod ich obcasami. Po prawej w głębi znajdowały się drzwi do pokoju, w którym Barteniew i Wisnowska odbywali swoje schadzki. Mimo że wszyscy podejrzewali, co zobaczą, po otwarciu drzwi i tak zastygli na moment w zaskoczeniu.

Pokój, chociaż skromny, udekorowany był na wschodnią modłę. Ściany obleczono fałdowaną lekko draperią, wystająca połowa kaflowego pieca również została nią osłonięta. Na podłodze spoczywał miękki dywan, zaś z sufitu zwisał olbrzymi parasol, do którego – w samym środku – przymocowano nocną lampę. Wnętrze sprawiało wrażenie przytulnego, chociaż jedynym meblem była turecka otomana, ustawiona między drzwiami a zamurowanym na rozkaz Barteniewa oknem. Na niej właśnie leżał trup.

Wisnowska na sobie miała tylko lekko podwiniętą koszulę nocną. Zdawało się, że patrzy na nich spod wpółotwartych powiek, jednak brocząca krwią rana pod lewą piersią aktorki nie pozostawiała złudzeń. Mimo to Kapnist podszedł i – chyba z obowiązku – przytrzymał przez chwilę jej lewy nadgarstek.

Jelec tymczasem rozejrzał się uważnie po pomieszczeniu. U stóp aktorki spoczywała huzarska szabla – jeszcze jeden dowód na to, że to Barteniew był mordercą. Prócz tego w okolicy pępka kobiety leżały dwa bilety wizytowe podpisane inicjałami A.B., a obok nich równolegle ktoś – zapewne podejrzany kornet – ułożył trzy wiśnie. Hrabia Kapnist kręcił się po pokoju i oświetlał coraz to więcej jego sekretów – rozrzuconą bieliznę, butelkę niedopitego portera, szklany słoik z napisem *Opium-pulv* – trucizna.

Na podłodze leżały strzępy pozapisywanych kartek, a pomiędzy nimi wszędzie zalegały niedopałki świec.

Jelec z zaciekawieniem podszedł do trupa i podniósł jeden z pobazgranych biletów. Odwrócił go i zmrużył oczy, żeby rozczytać charakterystyczne kobiece pismo:

> *Do Jenerała Palicyna!*
>
> *Przyjacielu mój – dziękuję za przyjaźń szlachetną lat tylu… Przesyłam ostatnie pozdrowienie i prośbę o wydanie wszystkich pieniędzy, które mi się jeszcze należą z teatru – za „Posąg” 200 rs. – składki z kasy: feu, i pensyi, – proszę, błagam*[12].

Ostatnie rozporządzenie. Ostatnie myśli, nim – już wiedział na pewno – Wisnowska kazała Barteniewowi się zabić. Nie był on więc mordercą! To sprawiło, że sztabsrotmistrz poczuł ulgę. Lecz Aleksander pozbawił przecież Marię życia i na to, mimo łączącej go z nim zażyłości, Jelec nie miał wpływu.

Czując suchość w ustach, odłożył skrawek papieru i sięgnął po następny.

> *Człowiek ten postępuje sprawiedliwie, zabija mnie… Ostatnie pożegnanie ukochanej i świętej matce i Aleksandrowi… żal mi życia i teatru… Matko ty biedna, nieszczęśliwa, nie proszę o przebaczenie, gdyż umieram nie z własnej woli… Matko! My się jeszcze zobaczymy tam w górze, czuję to w ostatniej chwili. Nie igra się z miłością*[13].

Co miały znaczyć te słowa? Barteniew postępował sprawiedliwie, ale Wisnowska nie umierała z własnej woli? Jelec wiedział, że mimo wszystko

było tak, jak mówił jego przyjaciel między jednym a drugim łkaniem – zabił, nie zamordował. Być może więc doczeka się litości, kiedy nadejdzie czas na sąd.

Pokrzepiony tą myślą sztabsrotmistrz skierował się w stronę wyjścia. Sprawę szerszych oględzin należało teraz zostawić pracownikom policyjnym, stanął jednak w miejscu zatrzymany twardym, chrapliwym rozkazem:

– Czekaj!

Kapnist już od dłuższej chwili klęczał na podłodze wśród skrawków papieru, Jelec zarejestrował ten fakt, lecz zaintrygowany testamentem Wisnowskiej nie zwrócił nań większej uwagi. Teraz, nawet pośród mroku, widział pobladłą twarz hrabiego.

– Popatrz… – wyszeptał Kapnist.

Jelec podszedł parę kroków i pochylił się, by w bladym świetle lampy odczytać zdania ułożone ze strzępów:

> *Człowiek ten groził mi swoją śmiercią – przyszłam, żywą wyjść mi nie da*[14].

* * *

Nie igra się z miłością. To zdanie, które w noc swojego zabójstwa napisała Wisnowska, będzie mnie prześladować nieustannie podczas badania sprawy ducha pojawiającego się na Nowogrodzkiej 14 oraz tajemnicy zabójstwa aktorki. Te dwa zdarzenia pozostają ze sobą nierozerwalnie związane – tak jak nie ma dymu bez ognia, tak i nie ma duchów bez ludzi. W każdym rozumieniu tego słowa zresztą; nie byłoby ducha, gdyby wcześniej ktoś nie umarł – to oczywiste. Nie byłoby zjawiska paranormalnego, gdyby nie zostało zaobserwowane – to też jest raczej jasne. Ale wielu badaczy zjawisk

określanych jako paranormalne zapomina, że historie duchów, zjaw i widziadeł czy nawet demonów to tak naprawdę historie ludzi. Historie morderstw, maltretowania, tortur, smutku, rozpaczy i śmierci.

Kiedy zajmowałem się wcześniej sprawą związaną ze sławnym nawiedzeniem z Turzy Wielkiej, tak samo ważne jak sam duch (czy też raczej demon lub poltergeist) było to, z jakimi problemami borykała się rodzina, w domu której doszło do manifestacji tajemniczych wydarzeń, jak na to wszystko zareagowali sąsiedzi i w końcu dlaczego właśnie w taki, a nie inny sposób – te wątki sprawiły przecież, że odkryłem całkiem nowe fakty.

Nie da się z historii o duchu wykreślić ludzi. A przynajmniej w mojej opinii nie powinno się tego robić, bo opowieść staje się niepełna, okoliczności niezrozumiałe. Nie ma wtedy niemal żadnych szans na odnalezienie prawdy.

W przypadku historii o duchu z Nowogrodzkiej 14 ten związek między duchem a człowiekiem jest szczególnie istotny – zrozumienie tak motywów zabójstwa, jak i tego, co się stało w tamtą czerwcową (bądź też lipcową, w zależności od kalendarza, którym się posługujemy) noc, stanowi esencję całej tej sprawy. Bez tej wiedzy pozostają tylko smutny duch przechadzający się po pustych korytarzach opuszczonej kamienicy oraz zagadkowe, nikogo nieobchodzące śmierci bezdomnych, o których mówią niektóre z historii, jakie usłyszałem o tym miejscu.

Kiedy stoję przed bramą wejściową kamienicy na Nowogrodzkiej 14, po raz pierwszy w swojej głowie słyszę właśnie: *Nie igra się z miłością*. To zastanawiające, dlaczego w rozwijającej się prężnie stolicy – w samym jej centrum – właśnie ta jedna kamienica od lat stoi pusta i zabita deskami. Dosłownie, bo na Nowogrodzką 14 wejść się nie da. Przynajmniej oficjalnie – drzwi zostały zamknięte na kłódkę i zabite sklejką i deskami.

Już sam ten fakt każe mi się zastanawiać, czy nad danym miejscem może wisieć klątwa, która odstraszałaby potencjalnych mieszkańców. Nie muszę jednak długo szukać, by stwierdzić, że w tym przypadku problem leży po prostu w ludzkiej naturze.

> – *W ostatnich latach kilkukrotnie usiłowaliśmy przeprowadzić kontrolę w tym budynku, jednak żadna nie doszła do skutku ze względu na uchylanie się właściciela od udziału w niej. Chodziło o nieodbieranie korespondencji, czy unikanie oględzin – wyjaśnia Michał Krasucki, stołeczny konserwator zabytków*[15].

Nieruchomość przy Nowogrodzkiej 14 jest na tyle ważnym zabytkiem, że stosunkowo łatwo mi jest znaleźć o nim niemal wszystkie interesujące mnie informacje. Ale tego, co mnie najbardziej nurtuje, z pewnością nie znajdę na oficjalnych stronach prasowych – muszę się dostać na Nowogrodzką, obejrzeć mieszkanie, w którym zabita została Wisnowska.

Wchodzę przez jedno z podwórek od strony Alei Jerozolimskich. Prowadzi mnie jeden z mieszkających tutaj bezdomnych, który zauważył, jak nieporadnie krążę koło krzyżujących się między działkami kamienic płotów.

– Pan nietutejszy? – zagaja kurtuazyjnie.

Kiedy potwierdzam, pyta prosto z mostu:

– A gdzie to się pan próbuje dostać?

Wyjaśniam i widzę zrozumienie malujące się na jego twarzy.

– Proszę za mną – mówi. – Dawno nie mieliśmy gości.

* * *

Wisnowska zyskała sobie wiele przydomków – Carmen z Nowogrodzkiej, Wisienka, warszawska *femme fatale*. Ten ostatni najpewniej z powodu ról,

jakie grywała w teatrze. Bywali i tacy, którzy twierdzili, że nie musiała się do nich wcale przygotowywać – po prostu była sobą. I coś w tym jest, bo – jeśli wierzyć relacjom – szalało za nią pół miasta.

Stefan Krzywoszewski, dziennikarz i międzywojenny dyrektor teatrów miejskich w Warszawie, tak ją wspominał:

> *Wzrostu średniego.* […] *Owal jej twarzy był doskonały, usta nieco szerokie, o pełnych wargach, włosy popielate. Największy urok tkwił w oczach o barwie i blasku akwamaryny, gdy były pogodne, a które ciemniały w podnieceniu*[16].

Patrzę na jej zdjęcie i z początku nie rozumiem – nie jest szczególnie urodziwa. To prawda, o gustach się nie dyskutuje, jednak trochę zbyt szeroka twarz, masywna żuchwa – co powodowało, że Wisnowska była aż tak popularna? Trudno mi uwierzyć w opowieści, w których pomiędzy jej wyjściem z teatru a powrotem do mieszkania na Złotej 3 eskortował ją tłumek adoratorów. Mówi się nawet o przypadku, kiedy zabrakło dla Wisnowskiej powozu i niektórzy z tych młodzieńców sami przypięli się do karocy i w ten sposób przetransportowali aktorkę tam, gdzie im kazała. Ale moja niewiara to jedno, zaś fakty – zupełnie co innego. A fakty i zeznania jej znajomych i świadków jednoznacznie świadczą o tym, że życiem Wisnowskiej rządziły trzy namiętności: teatr, seks i śmierć. Jak sama wyznała swojemu dobremu przyjacielowi Mieszkowskiemu, jej zasadą było „żyć i używać”.

Taką właśnie kobietę w lutym 1889 roku Barteniew poznał przy kasie warszawskiego teatru. Przedstawił ich sobie wspólny znajomy. Młody carski oficer miał wtedy dwadzieścia jeden lat, brał świat garściami i właśnie przeżywał przygodę swojego życia w armii. Trzydziestoletnia wówczas Wisnowska była już uznaną aktorką, unoszącą się na fali

popularności i marzącą o występach za granicą – może gdzieś dalej, w Anglii lub Ameryce. Nie był to jej pierwszy przełom – zaczynała w 1878 roku we Lwowie, gdzie już po pierwszym występie została nagrodzona oklaskami na stojąco. Echa jej sukcesu były tak wielkie, że już trzy lata później zaproszono ją do Warszawy. To chyba tutaj zaczęła wieść nieco bardziej rozrywkowe życie – wiadomo przynajmniej o dwóch jej kochankach, Myszudze oraz Klobasie, chociaż z pewnością było ich więcej. Szczególnie po powrocie z tournée po Europie zakończonym w Paryżu, to właśnie wtedy Wisnowska stała się rozwiązłą *femme fatale*, która mamiła i oddalała kolejnych adoratorów.

Nie można się więc dziwić, że aktorka nie zwróciła na Barteniewa większej uwagi – dla niej był po prostu kolejnym mężczyzną, który zwariował na jej punkcie. Tym, co ich zbliżyło, okazała się jego nieustępliwość.

Z początku bukieciki nieśmiało dostarczane do mieszkania, potem większe wiązanki, które aktorka dostawała zaraz po swoich występach, na scenie. W końcu drobne upominki, bransoletki, biżuteria. Barteniew nie zaliczał się do bogaczy – to prawda, był szlachcicem z urodzenia i oficerem w carskiej armii, zaś jego ojciec przesyłał mu ustaloną wcześniej sumę pieniędzy, ale nie była to jakaś znaczna kwota, mimo wszystko Barteniew uparł się żyć ponad stan i wydawał na Wisnowską coraz więcej i więcej. I to ją zaciekawiło.

Jesienią 1890 roku pozwoliła mu się ze sobą spotykać. Już w październiku Barteniew raz jeszcze udowodnił swoje oddanie – oświadczając się jej. Co było dalej? Pozwolę wypowiedzieć się samemu Barteniewowi, który dokładnie opisywał całą historię podczas swojego procesu:

Oświadczyny te nie były przyjęte; ale też i odrzucone nie zostały. Wszystko zależało od zezwolenia rodziców moich, z którymi miałem pomówić, wyjeżdżając na urlop podczas świąt Bożego Narodzenia. Będąc na wsi nie mówiłem rodzicom o zamierzonem małżeństwie z Wisnowską, wiedząc z góry, że zezwolenia nie otrzymam. Po powrocie do Warszawy, powiedziałem Wisnowskiej, że rodzice nie zgadzają się na me ożenienie. Potajemnie ożenić się nie mogłem, gdyż w takim razie ojciec odmówiłby mi zasiłku, jaki od niego otrzymywałem w kwocie rsr. 3000 rocznie, mieszkać zaś z nią razem nie wypadało, ani jej, jako artystce, ani mnie, jako oficerowi. Taki stan rzeczy zrodził we mnie myśl samobójstwa.

Wisnowska tymczasem nie zmieniła ani sposobu postępowania, jak przedtem otaczając się adoratorami, ani też stosunków swych do mnie. Nadzieja wzajemności to powiększała się, to znów zmniejszała się; odwiedziny stały się coraz częstsze, a bukiety nadsyłane prawie codziennie na scenę i do domu, także drobne podarunki w rodzaju medaljonu, lub bransolety, podtrzymywały dobre stosunki między mną, a Wisnowską.

Stosunek ten zwykłej znajomości zmienił się radykalnie d. 7 Kwietnia 1890 r. Wieczorem tego dnia po kolacyi, Wisnowska w swoim gabinecie japońskim po raz pierwszy mi się oddała. Na pamiątkę tego wypadku, kazałem zrobić 2 obrączki z russkim i polskim napisem; jedną pozostawiłem dla siebie, drugą zaś podarowałem jej. Szczęście moje zupełnem jednak nie było. Wielkie powodzenie sceniczne, piękna powierzchowność i silnie rozwinięta kokieterya Wisnowskiej, pociągały ku niej mężczyzn, a odwiedzanie przez nich ukochanej kobiety, wzbudziło we mnie uczucie zazdrości[17]*.*

Zazdrość Barteniewa była tak wielka, że co chwilę albo pisał Wisnowskiej w listach, albo też mówił, że chce się zabić i że zabije się niebawem ze smutku. Być może próbował ją również zdobyć w ten sposób – litością. Zwłaszcza że rozmowy te bardzo działały na aktorkę, która lubiła tematykę śmierci. Często wyobrażała sobie, jak to będzie, kiedy umrze, kiedy sama popełni samobójstwo, zastanawiała się, kto po niej zapłacze. W swoim posiadaniu miała truciznę i rewolwer, a na samym Barteniewie wymogła (cokolwiek kuriozalną) obietnicę, że jeżeli naprawdę będzie chciał się zabić, to najpierw jej powie, aby mogła się z nim pożegnać.

Poza rozmowami o śmierci niewiele ją bawiło podczas spotkań z Barteniewem. Zaczynam rozumieć, czemu ten wymyślał dla niej tak „romantyczne" atrakcje jak chociażby wspólne oglądanie trupa:

> *Pewnego razu, wracając ze spaceru po Łazienkach, powiedziałem jej, że umarł wachmistrz z naszego pułku i zaproponowałem obejrzenie nieboszczyka. Widok trupa mocno przeraził Wisnowską. Nazajutrz był pogrzeb tegoż wachmistrza. Kondukt przechodził przez Złotą ulicę koło mieszkania Wisnowskiej; ona patrzała przez okno i widok tego pogrzebu sprawił na niej smutne wrażenie*[18].

Co ciekawe, okazuje się, że kondukt pogrzebowy nigdy nie miał przechodzić koło mieszkania Wisnowskiej. Czyżby Barteniew przekonał wyżej postawionych, by ci zmienili trasę?

Próbuję przyjąć perspektywę naiwnego i kochającego się w Wisnowskiej mężczyzny i zastanawiam się, jak to było być z nią w związku. To jak próba uchwycenia płomienia świecy – jeśli poruszysz się zbyt gwałtownie, może uciec przed twoimi dłońmi, jeśli zbyt głośno westchniesz, zgaśnie. Gdy zbliżysz się zanadto – poczujesz ból, a gdy zbytnio się oddalisz – zamarzniesz.

Tak to właśnie wyglądało – albo rozmawiali o śmierci, albo się kłócili, bo Wisnowska ciągle była „na nie” – to przyszykował za dużo jedzenia (a ona przecież musiała dbać o sylwetkę), to znów za mało. Innym razem znowu zbyt krzywo spojrzał, więc była zła. Wieczne wymówki – także w sferze powracającego co chwilę tematu zamążpójścia. Stosunek aktorki do tej kwestii najlepiej oddają zeznania jej wieloletniej przyjaciółki Julii Kruziewicz:

> **Pr.** *Co mówiła o Bartenjewie?*
>
> **Sw.** *Bartenjewa widziałam u Wisnowskiej dwa lub trzy razy wieczorem.*
>
> **Pr.** *Jakie na panią wrażenie wywarła ta znajomość?*
>
> **Sw.** *Zdawało mi się, że to tylko zwykła znajomość, Wisnowska mówiła mi, że chciała by go się pozbyć, gdyż oficerowie ją kompromitują. Za mąż za niego nigdy by nie wyszła, bo niewykształcony. W jednej kartce francuskiej trzywierszowej zrobił aż trzy błędy. (śmiech na sali). Pokazywała Krzywoszewskiemu te błędy Bartenjewa. Opowiadała, że Bartenjew zmusił ją do wzięcia obrączki, grożąc samobójstwem*[19].

Szczerze mówiąc, zaczyna mi być żal Barteniewa – to jasne, że Wisnowska się nim bawiła i robiła z niego pośmiewisko. Pociągało ją w nim to, że się starał, że mu na niej zależało. Był też pewnie dobrym, jurnym kochankiem, oszalałym na jej punkcie. Ale kiedy on myślał o życiu z nią, pewnie również o dzieciach, ona zabawiała go opowieściami o innych swoich kochankach i adoratorach, którzy w tym samym czasie się do niej zalecali. Kiedy on, zrozpaczony, mówił, że w takim razie się zabije, ona zastanawiała się głośno, czy starczyłoby mu odwagi, by dla niej odebrać sobie życie.

Na każdym kroku Barteniew przekonywał się, że nie jest dosyć dobry. A mimo to, z uporem maniaka, popadając w coraz większe szaleństwo, brnął w ten związek dalej i dalej.

Ostatecznie w maju Wisnowska zażyczyła sobie, by Barteniew znalazł osobne miejsce na ich schadzki, ponieważ jego wizyty ją kompromitują. Usłużny oficer jeszcze tego samego dnia rozpoczął poszukiwania mieszkania i już w czerwcu kawalerka na Nowogrodzkiej 14 była gotowa – lecz kiedy tylko Barteniew zameldował o tym fakcie swojej ukochanej, ta zbyła go krótkim „teraz za późno" i wyjechała z Warszawy do swojej matki. Barteniew, sądząc, że właśnie zakończył się ich związek, napisał list, w którym oznajmił, że się zabija, odesłał aktorce jej rzeczy i poszedł zrobić to, co większość młodych mężczyzn czyni po rozstaniu – sponiewierać się aż do utraty zmysłów.

Parę dni później do pijanego Barteniewa podeszła służka Wisnowskiej i poinformowała go, że w karocy czeka na niego jej pani. Kiedy młody szlachcic wsiadł do powozu, aktorka oznajmiła mu, że ich następna schadzka będzie ostatnią – nie dlatego, że chce się z nim rozstać, ale z powodu planowanego wyjazdu do Galicji, później zaś do Ameryki.

Oddam znów głos Barteniewowi, który najlepiej opisze to, co działo się w trakcie tej zaplanowanej randki – w noc, kiedy zabił swoją ukochaną:

> *Przez pierwszą chwilę znajdowaliśmy się oboje pod wpływem nieporozumień ostatnich dni, później rozmowa weszła na czulsze tory; ja rozpowiadałem o swej miłości, o tem, że nie przeżyję jej wyjazdu i wkrótce na nowo zawiązał się poprzedni stosunek. W trakcie rozmowy, Wisnowska opowiadała koleje swego życia i między innemi powiedziała, że przeszłość dla niej jest ciężarem, że mając 7 lat straciła niewinność, że w Konstantynopolu jakiś turek*

pokazywał jej harem i spoił haszyszem. Około godz. 10 wieczorem Wisnowskiej jeść się zachciało, po upływie pół godziny stała na stole zimna kolacya, porter i wino szampańskie, wcześniej przezemnie przyniesione. Po zjedzeniu kolacyi Wisnowska zwróciła mi uwagę, żem za wiele przygotował jedzenia i położyła się na otomanie. Po jakich dwóch godzinach, Wisnowska spytała mnie, która godzina. Okazało się, że już po 12. „Czas do domu,“ powiedziała Wisnowska i zaczęła się ubierać, lecz na moje żądanie położyła się i zamyśliła. „Jakaż cisza, rzekła po niejakim czasie, jak w grobie.“ Później po krótkiem milczeniu dodała „czas już na mnie, ale tak mi się odchodzić nie chce czuję, że ztąd nie wyjdę.” Nic na to nie odpowiedziałem i rozmowa się urwała. „Alboż ty mnie kochasz, wszczęła po chwili Wisnowska, gdybyś mię kochał, nie groził byś mi swoją śmiercią, ale zabiłbyś mnie.” Dowodziłem, że mogę pozbawić siebie życia, lecz zabraknie mi sił do zabicia jej. Mówiąc to przykładałem do siebie rewolwer z odwiedzionym kurkiem. „Nie, to okrutnie zabijać siebie w mych oczach; cóż ja pocznę wtedy?” zawołała Wisnowska. Po tych słowach wyjęła z kieszeni ubrania, dwa słoiki; jeden z opium, a drugi z chloroformem, które na jej prośbę otrzymałem z apteki pułkowej i zaproponowała mi wspólne wypicie trucizny, a następnie, gdy ona będzie w stanie nieprzytomnym, abym zabił naprzód ją, później siebie. – Zgodziłem się na to. Zaczęliśmy oboje pisać kartki. Wisnowska pisała długo, darła kartki i na nowo pisać zaczynała. Ukończywszy kartki swe prędzej, zacząłem ją naglić[20].

W kolejnych minutach Wisnowska moczy dwie chustki w chloroformie, układa się na kanapie i kładzie je sobie na twarzy. Kiedy zasypia, Barteniew

przykłada swój rewolwer pod jej lewą pierś – zwalnia kurek. Kula przechodzi przez serce i trafia w kręgosłup.

– *Adieu, je t' aime!* – krzyczy jeszcze Wisnowska i umiera.

Barteniew, który teraz miałby się zabić, siedzi przez parę minut nad jej stygnącym ciałem, po czym wychodzi z mieszkania i gna prosto do koszarów mieszczących się w okolicy warszawskich Łazienek. Jest nieco po trzeciej w nocy.

W tej chwili rysuje mi się następujący obraz zbrodni: uwielbiająca seks aktorka wykorzystuje młodego i wrażliwego cesarskiego oficera. On ją kocha, ona się nim bawi – być może czasami nawet nim gardzi. Opowiada mu często o swoich innych kochankach, rani go i patrzy, jak ten mimo wszystko się do niej zaleca. To nie jest nieprawdopodobny scenariusz – sam znam podobne sytuacje z życia osób, z którymi pozostaję w bliskich relacjach. O kobietach takich jak Wisnowska kiedyś mówiło się, że mają symptomy „histerii" – dziwnej choroby, pod którą wszystko można było podciągnąć, dzisiaj zależnie od narracji będzie to kobieta wyzwolona albo też taka, która boryka się z problemami psychicznymi – na przykład borderline (nie oznacza to oczywiście, że kobiety wyzwolone cierpią na borderline – to Wisnowską trudno jednoznacznie zdiagnozować).

I najłatwiej byłoby się zatrzymać w tym miejscu – bardzo wiele osób, które zajmują się sprawą ducha na Nowogrodzkiej 14, właśnie w ten sposób to widzi: zbrodnia zrodzona z namiętności, Wisnowska, *femme fatale*, która ostatecznie sama jest udręczona sytuacją i prosi swojego kochanka, by ten ją zabił. Barteniew ją zabija, siebie nie potrafi – trafia przed sąd, ponosi karę, zaś duch jego kochanki do dziś nawiedza przeklętą kamienicę.

Tak też próbował ukazać sprawę zabójstwa Wisnowskiej obrońca Barteniewa, adwokat Plewako, którego mowa przeszła do historii rosyjskiego sądownictwa – stara się w niej pokazać carskiego oficera nie

jako mordercę, ale jako ofiarę, zmanipulowaną i gnębioną ciągłymi informacjami o coraz to nowszych kochankach.

Coś mi tu jednak nie pasuje – po pierwsze, kłamstwo Barteniewa w kwestii błogosławieństwa rodziców. Po drugie – kolejne kłamstwo na temat słów wypowiedzianych przez Wisnowską na łożu śmierci. Otumaniona trucizną i chloroformem, z kulą, która przebiła jej serce?

Ciekawi mnie protokół z przesłuchania ekspertów, doktora Szumlańskiego i doktora Trzcińskiego, którzy badali ciało zmarłej:

> *Wisnowska była kobietą zdrową. Przed śmiercią dużo jadła i miała stosunki płciowe. Wyłączną i jedyną przyczyną śmierci była zadana jej rana.*
>
> **Prez.** *Czy mogła ona po otrzymaniu tej rany wypowiedzieć jakiś frazes?*
>
> **Eks.** *Mogła.*
>
> **Prez.** *Czy ilość trucizny, zażyta przez Wisnowską mogła wywołać śmierć?*
>
> **Eks.** *Nie.*
>
> **Prez.** *Czy organy płciowe Wisnowskiej mogły oddziaływać na charakter jej?*
>
> **Eks.** *Tak, jajniki i powiększona macica wpływały na popędliwość.*
>
> **Plewako.** *Jeżeli popędliwość płciowych organów nie będzie nasyconą w przeciągu mniej więcej dłuższego czasu, czy może wpłynąć na zmianę charakteru?*
>
> **Eks.** *U słabego człowieka tak*[21].

Myliłem się więc co do tego, że Wisnowska nie mogła wypowiedzieć paru słów przed śmiercią (chociaż nadal wydaje mi się to mało

prawdopodobne – ustalenia dzisiejszej medycyny także temu przeczą, więc albo kula nie przeszła przez samo serce, albo umierająca jednak nic nie wyrzekła). I chociaż dzisiaj informacje o korelacji między powiększoną macicą a popędliwością mogą brzmieć kuriozalnie, to okazuje się, że ilość trucizny, jaką Wisnowska zażyła, nie była znacząca. W rzeczy samej – w 12,9 g opium znajdowało się tylko 5,21% morfiny – o wiele za mało, by miała ona wpływ na organizm. To, że w słoiczku była trucizna, okazuje się więc kłamstwem samej Wisnowskiej, która grała kolejną ze swych ról.

Istnieją też rozbieżności czasowe pomiędzy tym, kiedy Barteniew zabił swoją ukochaną (czyli około trzeciej nad ranem), a kiedy pojawił się w koszarach – czyli około szóstej rano. Co robił przez ten czas? Czy istotnie wyszedł z mieszkania? A jeśli nie – siedział tam cały czas sam na sam z trupem Wisnowskiej? Co robił? Przypominam sobie wiśnie, ułożone jedna obok drugiej na ubraniu aktorki. I podarte liściki, które kobieta pisała wcześniej. Co było na nich napisane?

> *Człowiek ten groził mi swoją śmiercią – przyszłam, żywą wyjść mi nie da*[22].

Ten znam. Ale oprócz niego na podłodze znaleziono jeszcze parę innych:

> *A zatem ostatnia moja godzina wybiła. Człowiek ten żywą mnie nie puści. Boże, nie opuszczaj mnie! Ostatnia moja myśl: Matka i sztuka. Śmierć ta nie z woli mojej*[23].

Oraz:

> *Zasadzka… mam umrzeć; ten człowiek jest sprawiedliwością!... Boję się – drżę. Matce ostatnia moja myśl i sztuce. Boże wybaw*

mnie – wyratuj – wciągnęli mnie, to była zasadzka. Wisnowska[24].

I jeszcze jeden, tym razem pisany przez samego Barteniewa:

Do jen. Palicyna. Cóż, nie będziesz więcej jej miał[25].

Jenerał Dymitr Palicyn był warszawskim dyrektorem teatrów i – w narracji Wisnowskiej oraz mniemaniu Barteniewa – największym konkurentem oficera w walce o serce aktorki. Kimś, kogo Barteniew szczerze nienawidził.

* * *

Przedzieram się, za moim przewodnikiem, przez wysokie zarośla i poplątane drzewa na podwórku kamienicy przy Nowogrodzkiej 14. Bezdomny prowadzi mnie niewidoczną dotąd ścieżką – niemal tunelem wśród gęstej roślinności. Wprost nie chce mi się wierzyć, że tak naprawdę jestem w środku miasta i Pałac Kultury i Nauki mieści się zaledwie paręset metrów stąd. To miejsce przypomina bardziej dziki las, z którego wyrastają zabudowania jakiejś starej, dawno już wymarłej cywilizacji.

Mijamy rozwieszone pod liściastym sufitem choinkowe światełka na baterie – błyskają wesoło. Za nimi z drzew i liści zwisają różnokolorowe ozdoby karnawałowe. Dalej gęstwina się kończy i moim oczom ukazują się ruiny starej kamienicy – to jednak nie jest Nowogrodzka 14. To zniszczona przybudówka jednego z sąsiednich budynków – nie widać jej z ulicy, dlatego nie musi „wyglądać” – po prostu rozsypuje się pomału, od lat grożąc katastrofą budowlaną. Tu od długiego czasu niewiele się zmieniło, poza odrapanym tynkiem. Widać zdobienia, które na początku XX bądź też z końcem XIX wieku musiały robić wrażenie. Dzisiaj mieszkają tutaj bezdomni, tacy jak Mariusz, który streszcza mi swoją historię:

– Wie pan, ja właśnie z więzienia wyszedłem – chwali się.

W głowie mam totalny zamęt. Z kim ja właściwie idę? Złodziej? Morderca? Gwałciciel?

– Firmę miałem – ciągnie, a ja zaczynam się wstydzić własnych myśli. – Nawet dobrze ciągnęła, póki mnie nie złapali, malwersacje robiłem, zaniżałem składki. Bo, kurwa, inaczej się nie dało, inaczej tobym nie pociągnął i splajtował.

– A nie próbował pan zacząć wszystkiego od nowa? – pytam.

– A, daj pan spokój z tym panem. Mariusz jestem.

Ściskamy sobie dłonie.

– No więc próbowałem pracować, ale mnie kurwica wzięła, bo co zarobiłem, to mi państwo brało. Kumpel mi załatwia pracę w UK, na budowie. Tam przynajmniej da się, wiesz… godnie żyć. A nie bić się ciągle o swoje i jeszcze dostawać po dupie. Teraz czekam tutaj, z resztą, zbieram puszki i składam sobie na wyjazd.

– A reszta też jedzie z tobą?

Mariusz krzywi się i spogląda gdzieś nad moim ramieniem, w pustkę.

– Nie. Tu się albo przychodzi przeczekać, albo umrzeć.

Prowadzi mnie w głąb budynku, gdzie na materacach i gazetach kulą się śpiące postacie. Na nasz widok część z mężczyzn wstaje, inni śpią dalej – może są nieprzytomni albo pijani, w każdym razie nie dają znaku życia. Witamy się, przepraszam za najście – w końcu jestem w miejscu, w którym mieszkają, ale wszyscy wydają się zadowoleni z wizyty. Zaczynam wypytywać o Wisnowską, ale odbijam się od ściany – nikt o niej nie słyszał. Próbuję innej drogi.

– A czemu śpicie tu, w tych ruinach? Przecież zaraz obok od ulicy jest lepiej utrzymana kamienica.

Mariusz patrzy na mnie poważnie.

– Tam idą tylko ci, którzy będą umierać.

Parę chwil później stoimy z Mariuszem w kamienicy przy Nowogrodzkiej 14, na ostatnim piętrze. W jednym z pokoi napotykamy porozrzucane walizki, śpiwory – wszystko albo nadpalone, albo całkowicie zwęglone.

– Kolega przyszedł tu zimą – tłumaczy Mariusz. – Są okna, nie ma tyle dziur, więc cieplej. I spalił się. Po prostu, coś mu się poprzestawiało i wlazł do ognia. To nie pierwszy raz. Dlatego nie lubię tu być. Przychodzisz i coś ci się miesza, popełniasz samobójstwo.

– Może po prostu miał już dość? Ten kolega?

– Nie, nie. Nie rozumiesz – tu coś jest, w tym budynku, że ci odbija i chcesz się zabić. Teraz, jak zacząłeś mówić o tej panience, co tu mieszkała, to wszystko mi się zaczęło łączyć. Chociaż powiem ci, że nigdy w takie dziwy nie wierzyłem.

– A ci inni? Opowiesz mi o nich?

I Mariusz opowiada.

O starszym człowieku, mógł mieć jakieś sześćdziesiąt lat. Żył tutaj jakieś dwa lata temu, nim Mariusz się pojawił. Ponoć miał gdzieś córkę, która go wygnała z domu. Majątek stracił, jak była inflacja, i już się nie podniósł. Wylądował tutaj – nikomu nie wadził. Chodził po ulicach, zbierał puszki, czasami ktoś dał mu jakieś pieniądze. Nie był jak inni bezdomni – nie pił. Po prostu starał się przeżyć. I pewnego razu zamieszkał w jednym z pokojów przy Nowogrodzkiej – mimo ostrzeżeń. Znaleźli go parę dni później, kiedy przestał dawać znaki, że żyje. Najpierw opróżnił butelkę wódki, potem ją rozbił i podciął sobie gardło.

I o innym mężczyźnie, w średnim wieku, który nie chciał się zadawać z pozostałymi – od razu poszedł pod 14. W nocy słychać było, jak

wrzeszczy: „Zostaw mnie, zostaw mnie!”. Rozbił sobie głowę, waląc nią o mur.

I o innym, który po prostu przyszedł tutaj, żeby skoczyć przez okno z najwyższego piętra, głową w dół.

– Ta kamienica – mówi mój przewodnik. – To jest druga rzecz, która nas tutaj zabija.

– Druga? – dziwię się. – A jaka jest pierwsza?

Mariusz wymownie wznosi do góry puszkę po tanim piwie i potrząsa nią znacząco.

* * *

Mieszkanie, które Barteniew wynajął w celach schadzek z Wisnowską, znajduje się w miejscu, które wskazano w dokumentach – na parterze, po lewej stronie. Dzisiaj są tu pozostałości po firmie drukarskiej – stare biurka i stołki. Na ścianach graffiti i naszkicowane rysunki kobiecych oczu – kto i dlaczego je tutaj narysował? Skąd właśnie tutaj przyszło natchnienie?

Jestem tu sam – mój towarzysz wrócił do siebie, twierdząc, że nie ma zamiaru przebywać tu dłużej. Ja myślę o duchu Wisnowskiej – wedle obiegowej opinii ma się on ukazywać w oknach wczesnymi rankami lub też tuż przed świtem – poza tym nie udało mi się dotrzeć do nikogo (żyjącego), kto by ducha widział. Życie obok biegnie swoim torem i mało kto zwraca uwagę na opuszczoną kamienicę. Coś dziwnego zaczyna się jednak dziać z tymi, którzy zatrzymali się w tym całym pośpiechu – bezdomnymi. Na nich to miejsce wywiera jakiś niepokojący wpływ. Czy – tak jak w przypadku kamienicy na Wilczej – jest to raczej efekt działania śladu emocjonalnego? Nie ma przy mnie mojego znajomego egzorcysty, muszę polegać tylko na swoich przeczuciach – zatrzymuję się i staram się opisać to, co czuję w tej chwili. Po pierwsze – chłód. Mimo dosyć wysokiej

temperatury na zewnątrz tutaj jest jak w lodówce. Po drugie – mimo że tuż obok jest uczęszczana ulica, w mieszkaniu, w którym się znajduję, panuje totalna cisza. Bezruch. Do moich nozdrzy nie dociera żaden zapach. Moje myśli szybko uciekają w stronę nierozwiązanej zagadki zabójstwa Wisnowskiej. Bo chociaż odpowiedź na pytanie, kto zabił, jest oczywista, pozostaje pytanie o… winę. Prowokację.

Nie igra się z miłością – szepcze do mnie aktorka. I niewątpliwie ma rację – choć faktem pozostaje, że ona z miłością grała. Że bawiła się uczuciami Barteniewa. A co, jeśli tak było tylko na początku? Co, jeśli później… sama zaczęła się bać i zrozumiała, że znalazła się w sytuacji bez wyjścia, że sama zagnała się w pułapkę?

Znajduję zeznania Aleksandra Myszugi, śpiewaka operowego, tenora oraz kochanka i późniejszego przyjaciela Wisnowskiej, który jeszcze parę lat przed jej zabójstwem starał się o rozwód z żoną – dla Wisnowskiej właśnie.

Prez. *Czy mówiła, że Bartenjew chciał się zabić?*

Sw. *Tak. Mówiła, że boi się go. Razu pewnego u niej w salonie przyłożył rewolwer do swych ust. Ona uklękła przed nim i błagała, żeby się wstrzymał. Zaczęła płakać, wtedy Bart. odjął rewolwer. Robiła mu wymówki, że nie powinien pozbawiać się życia u niej, gdyż byłby to skandal.*

Prez. *W jakim znaczeniu to mówiła?*

Sw. *Że ten człowiek jest niebezpiecznym dla niej.*

Prok. *Czy nie miała zamiaru pozbyć się go?*

Sw. *Radziłem jej wyjechać za granicę. Była bardzo rozdrażnioną. Miała jechać do Zakopanego na miesiąc, a potem do Londynu. Bart. Mówił jej, że postara się o posadę attache w ambasadzie russkiej*

i pojedzie za nią. Wtedy Wisnowska zaniechała zamiaru podróży do Londynu.

Prez. *Czy tylko to wpłynęło na jej chęć wyjazdu?*

Sw. *Tak*[26].

Jak to mogło wyglądać z perspektywy Wisnowskiej? Wyobrażam sobie, że z początku traktowała Barteniewa jak innych swoich kochanków – podobało jej się, jak się o nią stara, lubiła też sam seks, a carski oficer starał się ją zaspokoić na wszystkie możliwe sposoby. Z racji wieku nie był też na tyle doświadczony przez życie, by być znudzonym – odkrywał łóżkowe metody zadowalania swojej wybranki, a Wisnowska na tym korzystała. Jego miłość okazała się jednak pułapką – Wisnowska miała plany, chciała sławy większej niż ta ogólnokrajowa. Chciała iść w ślady Heleny Modrzejewskiej, jednej z najbardziej rozpoznawalnych polskich aktorek wszech czasów. Co najważniejsze – nie były to tylko mrzonki, bo Wisnowska naprawdę miała spory talent i – mimo osiągnięcia sławy w kraju – dopiero nabierała rozpędu.

Co by się stało, gdyby z powodu jej zagrywek – o których wiedzieli wszyscy – zabił się młody carski oficer? Zwłaszcza że Barteniew opowiadał jej, że jego ojciec jest w Moskwie gubernatorem, a siostra jedną z pań dworu. Konsekwencje ich zemsty mogłyby być dla Wisnowskiej straszne.

A może rzekoma ostatnia schadzka i planowany wyjazd do Galicji i dalej do Ameryki stanowiły próbę ucieczki? Jeśli tak – Wisnowska podjęła ją zbyt późno, bo Barteniew aż kipiał z zazdrości. Największą niechęć wzbudzał w nim Palicyn, o którym wiedział, że ten – w zamian za urlop dla Wisnowskiej – złożył jej ofertę wspólnej podróży po Europie. A z kimś takim jak Palicyn Barteniew równać się nie mógł.

Prez. *Czy widział pan u Wisn. rewolwer?*

Sw. *Tak, dwa rewolwery.*

Prez. *A truciznę?*

Sw. *Także, zdaje mi się że trucizną i rewolwerem kokietowała.*

Prez. *Jak można tym kokietować?*

Sw. *Była bardzo oryginalną i ekscentryczną kobietą; a przytem śmierci bała się bardzo.*

Prez. *Czy nie starała się mieć jaknajwięcej adoratorów?*

Sw. *Tak, pragnęła tego.*

Prez. *O Palicynie mówiła kiedy panu?*

Sw. *Tak, mówiła że to stary wypróbowany przyjaciel, na którego może liczyć. Wyrażała się o nim bardzo życzliwie. O tem że Palicyn chciał się z nią żenić, mówiła mi jej matka*[27].

Takie zeznania złożył Stefan Krzywoszewski.

Być może więc Barteniew wcale nie chciał się zabić. Przypominam sobie jego słowa, kierowane do Palicyna właśnie: *Cóż, nie będziesz więcej jej miał*. Czy to zdanie skreślone przez żałującą swego uczynku ofiarę, czy mordercę, który czuje satysfakcję ze swojego uczynku?

Bardziej prawdopodobny wydaje mi się teraz inny scenariusz – Wisnowska, zagnana we własną pułapkę, przybyła do mieszkania na Nowogrodzkiej 14, by udobruchać Barteniewa, oddać mu się, aby się nie zabił i nie zniszczył jej życia. I robiła to, co potrafiła najlepiej – grała. Znów kokietowała śmiercią, sądząc, że po raz kolejny jest to rodzaj zabawy. Dla Barteniewa jednak to było zbyt wiele. Być może nie planował zabójstwa, ale potem – gdy otumaniona aktorka leżała na kanapie w jego mieszkaniu, a w ręku miał rewolwer – po prostu wykorzystał sytuację. Odbezpieczył i zwolnił kurek. Przez kolejnych kilka godzin siedział obok

stygnącego trupa – darł kompromitujące go notatki (czemu ich nie zniszczył? Być może nie myślał trzeźwo), ułożył obok wiśnie i dopiero wtedy dotarło do niego z całą mocą, że właśnie zabił kobietę, którą kochał.

Całej prawdy nie dowiemy się raczej nigdy, ale historia Wisnowskiej i Barteniewa jest historią nie tyle nieszczęśliwej, romantycznej miłości, jak chcą to widzieć ludzie, ile toksycznego związku niszczącego obie zaangażowane w niego osoby.

Ostatecznie Barteniew wyrokiem sądu został pozbawiony szlachectwa, skazany na osiem lat ciężkich robót, po ich odbyciu zaś – zesłany na Syberię do końca swojego życia. Prawdopodobnie jednak wkrótce car unieważnił wyrok i ułaskawił carskiego oficera dzięki wstawiennictwu jego ojca. Tu kończyłaby się historia zabójczej gry warszawskiej *femme fatale,* gdyby czas nie dopisał jeszcze paru wersów.

Epilog rozgrywa się w 1933 roku, kiedy na łamach magazynu „Tajny Detektyw" pojawia się informacja o śmierci „Dziada z Nowogrodzkiej".

Dziad był miejscową atrakcją. Prawie codziennie przybywał na Nowogrodzką, odnajdywał kamienicę numer 14, tam w bramie opróżniał butelkę monopolówki i szedł na podwórze, gdzie rozrzewnionym pijackim głosem śpiewał rosyjskie pieśni i romanse cygańskie. Nie przyjmował jałmużny. Pewnego razu podczas jednego z tych „występów" głos uwiązł mu w gardle – przewrócił się i umarł, zaś jego ciało przesłano do instytutu anatomii opisowej. W jego tobołku znaleziono krzyż św. Jerzego, dwa inne carskie medale, zniszczoną fotografię jakiejś kobiety oraz dokumenty zaświadczające o tym, że nazywał się… Michaił Barteniew. Czy mógł być to Aleksander pod zmienionym – po ułaskawieniu – imieniem?

Pochowano go w zbiorowej mogile w nieznanym miejscu, ale mówi się, że na warszawskich Powązkach przy grobie Wisnowskiej czasami widzi się postać starca, który zostawia tam jedną czerwoną różę.

---

[11] Daty wydarzeń, które opisuję, podaję wedle kalendarza juliańskiego, obowiązującego w carskiej Rosji, a więc i na terenach ówczesnej Warszawy. Wedle dzisiejszego „nowego stylu”, czyli kalendarza gregoriańskiego, data, o której piszę, to 1 lipca 1890 roku. Chociaż pierwsze kraje wprowadzały zmiany datowania już pod koniec XVI wieku, w Rosji kalendarz gregoriański uznany został dopiero w 1918 roku – co ciekawe, Rosjanie nie należą tu do rekordzistów, to miano zdecydowanie należy się Arabii Saudyjskiej, która kalendarz gregoriański uznała dopiero w 2016 roku.

[12] *Zabójstwo Maryi Wisnowskiej – dokładne sprawozdanie sądowe*, oprac. M. Łodyga, Warszawa 1891, s. 5.

[13] Tamże.

[14] Tamże, s. 8.

[15] Źródło: https://tvn24.pl/tvnwarszawa/najnowsze/kamienica-w-centrum-niszczeje-wlasciciel-uchylal-sie-od-kontroli-248783 [data dostępu: 28.04.2020].

[16] S. Krzywoszewski, *Długie życie. Wspomnienia*, t. 1, Warszawa 1947, s. 49.

[17] *Zabójstwo Maryi Wisnowskiej – dokładne sprawozdanie sądowe*, oprac. M. Łodyga, Warszawa 1891, s. 12.

[18] Tamże, s. 13.

[19] Tamże, s. 54.

[20] Tamże, s. 14.

[21] Tamże, s. 76–77.

[22] Tamże, s. 8.

[23] Tamże, s. 9.

[24] Tamże.

[25] Tamże, s. 95.

[26] Tamże, s. 40.

[27] Tamże, s. 65–66.

ROZDZIAŁ 3

Duchy nazistowskich zbrodni



Widok na „pawilon dla mężczyzn" od tyłu
Fot. Michał Stonawski

SZPITAL ZOFIÓWKA

Przekleństwo chorych genów niszczy szczęście całych rodzin.

– z filmu propagandowego akcji T4

Doktor Julius Hallervorden pocił się tak obficie, że kołnierzyk jego koszuli zrobił się cały mokry. Oddychał spazmatycznie, jakby się topił. Być może tak było – krótki sen, w który zapadł niedługo po tym, jak wsiadł do pociągu, z pewnością nie należał do przyjemnych. Gdyby w przedziale siedzieli jeszcze jacyś inni ludzie, mogliby go obudzić. Siedział jednak sam – doktor cenił sobie możliwość podróżowania w samotności. A na wygodę tę mógł sobie pozwolić z dwóch powodów – po pierwsze, był cenionym naukowcem. To jego nazwisko widniało w nazwie jednej z chorób, polegającej na odkładaniu się żelaza w mózgu. To on stał za badaniami, dzięki którym to schorzenie zostało skwalifikowane i opisane. Można było więc powiedzieć, że działał dla dobra ludzkości.

Po drugie, nawet w ciężkich czasach jego słowa i żądania traktowano z szacunkiem, ponieważ bardzo przysłużył się narodowi i partii. Zwłaszcza partii. Nikt tak naprawdę nie podejrzewał, ile go to kosztowało. To wiedział tylko on sam, dręczony koszmarami nawet w tak piękny i słoneczny dzień.

Pociąg wszedł w zakręt i Hallervorden otworzył oczy. Przez chwilę wodził zmętniałym wzrokiem po siedzeniach naprzeciw, potem odchrząknął, poprawił się, przeciągnął i niemal od niechcenia potarł czoło, ze zdziwieniem rejestrując skroploną na nim wilgoć. Panował wyjątkowy

upał, a on nie był już młody. Za dwa lata miał skończyć sześćdziesiąt lat. Zupełnie tego nie czuł – był aktywny zawodowo. Przydatny. Silny.

A w jego żyłach wartko płynęła aryjska krew.

Wstał, by otworzyć okno, i wyjrzał na zewnątrz. Był 28 października 1940 roku. Pociąg dojeżdżał właśnie do stacji w Görden, położonej na zachód od Berlina. Tu Julius Hallervorden miał umówione ważne spotkanie. Jak oceniał – jedno z ważniejszych w całej swojej karierze. Celem było pozyskanie nowego materiału do badań.

Nieczęsto zdarzała się okazja, by to on sam mógł dokonywać selekcji.

* * *

Mężczyzna, który czekał na stacji, był blisko trzydzieści lat młodszy od Hellervordena. Wysoki i dobrze zbudowany, szeroki w barach. Coś w jego postawie i zimnym, twardym spojrzeniu mówiło, że człowiek ten miał za sobą wojskową przeszłość i niejedno w życiu widział. Musiał widzieć. Na tym polegała jego służba. Irmfried Eberl, SS-Untersturmführer, również doktor nauk medycznych, był jednym z głównych członków Fundacji do spraw Zakładów Opiekuńczych, która rozporządzała akcją o kryptonimie T4.

Doktor Eberl podszedł do Hallervordena wyprostowany jak struna.

– *Heil Hitler!*

– *Heil Hitler!* Dobrze pana znów widzieć, doktorze Eberl.

– Przejdźmy do samochodu. Jest strasznie gorąco.

Hallervorden skinął głową i obaj ruszyli do zaparkowanego nieopodal wyjścia volkswagena. Wkrótce pęd powietrza chłodził przyjemnie ich ciała. Pewien czas jechali w milczeniu, w końcu Hallervorden odchrząknął nieznacznie.

– Są już gotowi do selekcji? – zapytał.

– Właśnie czekamy na transport. Wiem jednak, że rano nie wydano im żywności, nie sądzę, by była potrzebna.

– Oszczędność godna podziwu. Ilu ich jest?

– Około sześćdziesięciu osób. Myślę, że powinien być pan zadowolony.

Starszy z mężczyzn uśmiechnął się i lekko trzęsącymi się dłońmi poprawił okulary.

– Nie mogę się doczekać.

* * *

Doktor Julius Hallervorden poczuł ulgę. Kiedy rok wcześniej zapowiedziano mu, że już wkrótce otrzymywać będzie kolejne dostawy, nie wierzył własnym uszom. Nigdy nie narzekał na brak obiektów do badań – ludzie umierali, to było oczywiste. A im bardziej znanym był naukowcem, tym więcej próbek przychodziło. Już w wieku czterdziestu lat cieszył się opinią cenionego lekarza. Kiedy w 1922 roku on i Hugo Spatz, znakomity przecież neuropatolog, pokazali światu swoją pracę dotyczącą genetycznie uwarunkowanej choroby mózgu, świat naukowy z miejsca im przyklasnął. Ale to nie wystarczało – Hallervorden chciał więcej. Odkrycia były dosłownie na wyciągnięcie ręki. Te wszystkie szpitale przepełnione chorymi ludźmi bez szans... Geny osób, które już tylko egzystowały, które zanieczyszczały czystość rasy, nie mogły przecież pozostać w populacji. Życie takich osób okazywało się pasmem udręk. Likwidacja była niczym innym jak błogosławieństwem. Ponadto kiedy wybuchła wojna, szpitalne łóżka winny być zajmowane przez dobrych niemieckich żołnierzy – bohaterów narodu, nie zaś przez nic niewarte zlepki komórek. Nic niewarte, oczywiście, dopóki nie nadało się im wartości. A Hallervorden umiał tę wartość nadać. Kiedy on i jego asystenci wyjmowali drogocenny mózg, wszystkie pomyłki natury, istoty niższe, takie jak zdegenerowani

genetycznie, chorzy psychicznie, Żydzi, Romowie czy Słowianie – w dłoniach doktora Juliusa Hallervordena stawali się czymś więcej. Ich życie nabierało sensu w służbie medycyny III Rzeszy. Służyli większemu dobru, swoim poświęceniem przyczyniając się do rozwiązywania najbardziej zagmatwanych zagadek biologii.

W gruncie rzeczy można powiedzieć, że wyjmując mózg z czaszki biednej istoty, Hallervorden czuł się jak bóg, bo wynosił ją w ten sposób na wyższy, nieosiągalny dla niej poziom. Nie popierał bynajmniej zabijania ludzi, jednak widział sens zarówno w oczyszczeniu rasy, jak i badaniach służących dobru ludzkości, sama eliminacja niższych ras byłaby w tym kontekście po prostu marnowaniem potencjału.

Kiedy tuż przed wybuchem wojny w jego domu pojawili się wysłannicy SS z pytaniem, czy chciałby wspomóc naród, lekarz miał już gotową odpowiedź:

– Jeśli macie zabić tych ludzi, pobierzcie od nich przynajmniej mózgi do badań.

– A ile może pan zbadać?

– Nieograniczoną liczbę.

Ani wtedy, ani teraz nie mógł się spodziewać, że własnoręcznie zbada ponad siedemset mózgów, zaś w trakcie całej akcji T4 pobrane zostanie ich ponad pięć tysięcy.

Póki co zadowalał się tym, co miał przed sobą.

Pięćdziesiąt dziewięć postaci ustawionych w szeregu. Smutne, wynędzniałe twarze, zdradzające oznaki chorób genetycznych i psychicznych. Byli w różnym wieku, w większości jednak nie mieli więcej niż piętnaście lat. Dzieci. Chłopcy i dziewczynki.

Przechadzając się przed nimi, Hallervorden już teraz oznaczał w pamięci, które mózgi interesują go najbardziej. Doktor Eberl miał rację.

Julius Hallervorden był zadowolony.

* * *

Stoję przed bramą wjazdową kompleksu Zofiówka w Otwocku pod Warszawą. To dziwne miejsce – wokół teren porośnięty jest gęstym sosnowym lasem, w którym majaczą mi sylwetki bogato zdobionych willi – to słynne otwockie „świdermajery”, drewniane domy letniskowe wyróżniające się wyrazistymi zdobieniami, które swego czasu zachwycały Bolesława Prusa. Chociaż niektóre z nich są zapuszczone, miejsce to emanuje spokojem. Czuję się tu trochę jak nad morzem podczas wakacji. Wszystko dlatego, że przedwojenny Otwock, powstały na przełomie XIX i XX wieku, był w rzeczywistości miejscem, do którego mieszkańcy stolicy ciągnęli właśnie na letniska. Prócz willi szybko zaczęto tu budować wszelakie uzdrowiska, sanatoria, pensjonaty czy letniaki. Dzięki kolei nadwiślańskiej dojazd z Warszawy był prosty i przyjemny, a spore połacie lasu dawały orzeźwiający chłód w gorące letnie miesiące.

Wyobrażam sobie, jak by to było sto lat temu przechadzać się w takim miejscu – w Warszawie panuje skwar, tutaj las i pobliska Wisła dają ochłodę. Ludzie siedzą na tarasach swoich domów i popijają chłodne napoje, patrząc, jak ich pociechy ganiają się wśród drzew. Sielanka.

Czy w takim miejscu kryłyby się duchy?

Jakieś dwa tygodnie przed moim przyjazdem do Otwocka dzwoni do mnie mój znajomy.

– Szukasz nawiedzonych miejsc, nie? – pyta, a z tonu jego głosu wnioskuję, że ma dla mnie raczej dobrą nowinę.

– No, to mów, co masz – zagaduję.

– Coś dużego. Również gabarytowo. Na pewno miejsce jest większe niż wszystko, co do tej pory badałeś. No i wiesz, jest klimat.

– A powiesz mi w końcu, co to za miejsce? Nie lubię takich zabaw w kotka i myszkę.

– Szpital. Opuszczony szpital psychiatryczny. Wymordowali tam Żydów.

Wiem już, że to na pewno sprawa dużej wagi.

* * *

Poszukiwania nawiedzonego szpitala rozpoczynam oczywiście w sieci – to dzięki Internetowi większość dzisiejszych opowieści o duchach zyskała szeroką popularność i mogła (przynajmniej w niewielkim stopniu) zawojować świat. To w Internecie umawiają się wszyscy ci, którzy chcą się do takich miejsc dostać – potwierdzają to zresztą często wydrapane na cegłach daty kolejnych „pielgrzymek” – większość po roku 2000. Oczywiście nie wszystkie nawiedzone miejsca można znaleźć w sieci i nie wszystkie miejsca w Internecie są dostępne dla wszystkich. Trzeba wiedzieć, gdzie szukać. I kogo pytać. Ja postanawiam wykorzystać obie opcje.

Dzwonię do koleżanki siedzącej od dawna w środowiskach okultystycznych. Nawet jeśli czegoś nie można znaleźć w sieci, Z. i tak o tym wie, bo taką wiedzę mają członkowie jej ugrupowania. Z reguły tyczy się to jednak miejsc, które nie są zbyt reprezentatywne. Dla postronnych wyglądają jak zwykły kamień leżący na trawniku – dla niektórych okultystów właśnie na tym kamieniu zaciera się granica między światami. Przychodzi mi na myśl podział mugoli i czarodziei z *Harry’ego Pottera* – i jestem dziwnie przekonany, że to nie przypadek. J.K. Rowling wiele czerpała bowiem z różnych legend czy podań – te zaś osadzone są trochę bardziej w naszej rzeczywistości – miejsca, które zwykłemu człowiekowi wydawały się zupełnie normalne, wtajemniczonym

prezentowały swoje nadnaturalne funkcje. Nie muszę się tu jednak wcale odwoływać do okultyzmu, już nasi słowiańscy przodkowie (podobnie jak ich celtyccy kuzyni) wierzyli, że istnieją święte gaje, w których załamuje się granica pomiędzy światami realnym a duchowym. Ta wiara rezonuje teraz w różnych aspektach – w przypadku zjawisk paranormalnych rolę takich „gajów" w pewnym sensie odgrywają właśnie nawiedzone miejsca. Te, w których doszło do szczególnie krwawych tragedii, mogą być miejscami, w których granice światów się zacierają lub w których otwierają się szczeliny umożliwiające czemuś dostanie się do naszego świata lub – jak mawiają niektórzy – do naszej „gęstości".

Istnieje jeszcze druga teoria, mówiąca o tym, że miejsca tragedii bywają paranormalne dlatego, że strach, ból i krzywda to emocje, które osadzają się na pobliskiej materii, zaś demony, zjawy czy duchy reagują na nie tak jak muchy na zapach lukrowanego ciastka. Co najważniejsze – obie te teorie wcale nie muszą się nawzajem wykluczać.

Jeśli tak jest, to szpital Zofiówka mógłby być właśnie takim miejscem – załamującym przestrzeń energetyczną tak, jak czarna dziura załamuje czasoprzestrzeń.

Na pewno dużo ciekawiej byłoby, gdyby Z. umówiła się ze mną w jakiejś okultystycznej świątyni, gdzie – podczas odprawiania rytuałów przez grupę okultystów – przekazałaby mi informacje. Brzmi to ciekawie, ale to tak nie działa. Członkowie „mojego" ugrupowania są zupełnie normalnymi ludźmi – kierowcy, prawnicy, lekarze, filozofowie. Ludzie, których mijamy na ulicy – po prostu w czasie wolnym zajmują się rzeczami, które w pewnym sensie są bardzo bliskie filozofii i filozoficznym dociekaniom. Podobnie postrzega się satanizm – często mylony jest z jakimiś bandami dzieciaków, które potrafią złożyć kota w ofierze, a prawdziwy satanizm to bardziej rodzaj filozofii życia, a nie nawiedzonej

religii. Filozofii, która może, rzecz jasna, stać w sprzeczności z wieloma moralnymi wyborami i której istotę stanowi raczej egocentryzm niż altruizm – wciąż jednak daleko do tajemnych obrządków i składania ludzi w ofierze.

Okoliczności, w jakich Z. i ja się spotykamy, wydają się więc nieciekawe – ale cały urok tkwi w szczegółach. W półkach pełnych książek dotyczących magii, zapachu kadzidła unoszącym się w powietrzu w jej domu i skupionej twarzy Z., która siedzi naprzeciwko mnie z zamkniętymi oczami i wirującym wahadełkiem w dłoni. Z. kontaktuje się w ten sposób ze swoim strażnikiem – rodzajem ducha opiekuńczego z innej gęstości (my powiedzielibyśmy pewnie: z zaświatów). Szuka informacji o tym, czy faktycznie w miejscu, które chce badać, coś się dzieje.

– Musisz uważać – mówi. – To nie jest bezpieczne miejsce.

Opowiada mi, że słyszała o nawiedzonym szpitalu – ba, niejednym – okazuje się, że takie szpitale, opuszczone i podobno nawiedzone, wcale nie należą do rzadkości. Jest ich tym więcej, im bliżej zachodniej granicy kraju. Ta korelacja z niemieckim sąsiadem to wcale nie przypadek, ale to właśnie kompleks Zofiówka ma być koronnym przykładem tej zależności. Tutaj duchy mają być szczególnie groźne. Zdezorientowane. Złe. Wszystko z powodu akcji T4. Likwidacji życia, które niewarte było istnienia.

* * *

Od bramy Zofiówki ku jej pierwszym zabudowaniom prowadzi mnie rozmokła piaszczysta droga. Już na samym początku muszę dokonać wyboru – pójść prosto, obok najwyraźniej (dziko) zamieszkałego budynku aż do majaczącego w oddali molocha, czy w lewo – ku najbardziej charakterystycznej z budowli, „pawilonowi dla mężczyzn”, utrzymanemu w klimacie secesyjnym. To też najstarszy budynek Zofiówki. Cały

trzydziestomorgowy teren został zakupiony jeszcze w 1907 roku z inicjatywy Towarzystwa Opieki nad Umysłowo i Nerwowo Chorymi. Głównym inicjatorem był doktor Samuel Goldflam, fundatorką zaś Zofia Endelmanowa, która na ten cel poświęciła własną biżuterię. Właśnie od jej imienia ośrodek zaczęto nazywać Zofiówką.

Budynek, do którego zmierzam, wzniesiony został pod kierunkiem inż. Adolfa Weisblata według planów architekta inż. Henryka Stifelmana. Dzięki szybkiej budowie zakład rozpoczął działanie już w 1908 roku.

Dzisiaj ledwo przypomina samego siebie. Tynk odpada ze ścian, wystają cegły, na dachu rosną młode drzewka, a korzenie powoli rozsadzają mury. Do wejścia odprowadzają mnie dwa duże psy – wilczur i kundel, zapewne pochodzące z okolicznych domów. Kiedy do mnie podbiegają, jestem przekonany, że będą bronić posiadłości. Chwilę później dają się jednak nawet pogłaskać. Czy ich nosy nie reagują już na unoszący się tutaj zapach krwi?

Ja czuję go doskonale. W murze niedaleko widzę charakterystyczne omszałe dziury, które mogły powstać tylko w jeden sposób. Podobne widziałem w rodzinnym Krakowie – w miejscach, których się nie remontuje, a w których czasami widnieją zapalone znicze. Dookoła panuje kompletna cisza, przerywana tylko pojedynczymi odgłosami spadających z szarego nieba kropel.

Drzwi do budynku zostały zamurowane. Chodząc dookoła, zauważam wejście przez dawny zsyp na węgiel (nie jestem zainteresowany), poza tym do środka można się dostać tylko przez duże, zionące chłodem okna. Nie spieszy mi się. Jestem tu sam – potrzebuję jeszcze chwili, by się przyzwyczaić. Czy się boję? Nie, ale kiedy podchodzę do jednego z okien z zamiarem wdarcia się do środka, z sufitu w którymś z pomieszczeń coś z hukiem spada na podłogę.

Postanawiam jeszcze trochę postać na zewnątrz, podziwiam tak sam budynek, jak i zdobiące go graffiti i wydrapane napisy. Jeden z nich głosi, że autor w każdy poniedziałek będzie tutaj czekał na chętną dziewicę. Drugi to pytanie, na które i ja szukam odpowiedzi:

CO Z TOBĄ BĘDZIE ZOFIÓWKO?

Odwracam się, kiedy za sobą słyszę nadjeżdżający samochód. Auto jest czarne, ma przyciemniane szyby. Wyraźnie zmierza w moim kierunku. Obserwuję, jak pojazd staje na podjeździe. Kierowca nie wychodzi – mam wrażenie, że na mnie patrzy. Niepewnie podnoszę rękę i macham. Żadnej reakcji. Sekundy płyną powoli, jakby wskazówki mojego zegarka zostały zalane miodem. Wreszcie kierowca uruchamia silnik, wycofuje się z powrotem przez bramę i znika mi z oczu.

Przez chwilę jeszcze stoję przed wejściem, zastanawiając się, czy i ja nie powinienem zniknąć na jakiś czas. Potem jednak przechodzę przez okno, wprost w zimny półmrok.

Przyciąga mnie zapach krwi.

* * *

To nie Niemcy pierwsi wpadli na pomysł eliminacji słabszych. Przed nimi robili to też na przykład Spartanie, którzy wszystkie ułomne niemowlęta zrzucali z wysokiego urwiska. Grunt pod nazistowską ideologię przygotowali eugenicy, głosząc tezy o konieczności eliminacji szkodliwych i niepotrzebnych genów, osłabiających społeczeństwo. Do ostatecznego wyniku mógł się też przyczynić darwinizm społeczny, wedle którego osobniki słabsze są eliminowane w walce o byt. Naziści, chcąc grać rolę silnej rasy panów, nie mogli sobie pozwolić na to, aby w ich społeczeństwie

znalazło się miejsce dla słabych i ułomnych. Od 1933 roku w Niemczech wszelkie kalekie i słabe jednostki poddawano przymusowej sterylizacji.

Jakim trzeba było być człowiekiem, aby zostać uznanym za „słabego”? Cóż, na pewno bezpieczni mogli się czuć „czyści Aryjczycy”. Słabi byli Żydzi. Słabi byli Romowie. Ale przede wszystkim nieuleczalnie chorzy i z chorobami genetycznymi – ci, gdyby zezwolić im na rozmnażanie się, osłabiliby niemiecką społeczność. Robili to przecież samym swoim istnieniem.

Tak skonstruowana ideologia może się rozwijać tylko w jednym kierunku – wystarczyła jedna iskierka. Tą okazał się mały chłopiec, który urodził się z niedorozwojem jednej stopy, bez prawego przedramienia oraz z wrodzonym idiotyzmem i ślepotą. Ojciec dziecka, przedstawiający się jako Knauer, postanowił rozwiązać ten problem u samej góry – i tak na przełomie 1938 i 1939 roku do kancelarii Hitlera przyszedł list, w którym Knauer błagał o możliwość eutanazji dla syna – o śmierć, która położyłaby kres jego cierpieniu. Hitler okazał się łaskawym wodzem – rozkazał swojemu lekarzowi zbadać dziecko, a jeśli i on uzna, że nie powinno ono żyć, zabić je. Rozkaz został wykonany i chłopiec, Gerhard Herbert, zmarł w lipskiej klinice 25 lipca 1939 roku – na karcie zgonu jako oficjalny powód śmierci podano „niedowład serca”. Od tej jednak pory wszelkie podobne przypadki rozpatrywano tak samo.

W pierwszych dniach września 1939 roku odbyła się konferencja, na której Hitler zaproponował ostateczne rozwiązanie problemu chorych i ich wpływu na czystość rasy. W jej wyniku spisana została oficjalna dyrektywa o takim brzmieniu:

> *Reichsleiter Bouhler i dr med. Brandt są z mojego polecenia odpowiedzialni za rozszerzenie kompetencji lekarzy, którzy zostaną*

wymienieni z nazwiska tak, żeby osobom według wszelkiego prawdopodobieństwa nieuleczalnie chorym wobec zupełnie krytycznej oceny stanu ich zdrowia można było zapewnić łaskawą śmierć.

Podpisano, A. Hitler[28]

Odpowiedzialnymi za rozwiązanie tego „problemu" Führer uczynił Karla Brandta, swojego osobistego lekarza, a także Philippa Bouhlera, szefa kancelarii, i Viktora Bracka, który objął stanowisko planisty całej akcji. Początkowo inicjatywa ta nazywała się „Fundacją do spraw Zakładów Opiekuńczych", zaś jej główna siedziba mieściła się w pożydowskiej wilii przy Tiergartenstraße 4 w Berlinie. Stąd wziął się późniejszy kryptonim akcji – T4.

Po raz pierwszy (przynajmniej oficjalnie) w historii ludzkości lekarze uknuli spisek przeciwko życiu swoich pacjentów.

* * *

Wnętrze najstarszego z budynków Zofiówki okazuje się przejmująco ciche. Odgłos kropel deszczu tuż staje się niemal niesłyszalny po tym, jak wchodzę przez okno do środka. To pewnie zasługa grubych murów.

W pokoju, do którego wszedłem, drewniane ramy okien są nadpalone – to zapewne efekt „imprezy" urządzonej tu przez bezdomnych albo młodzież. Co zaś chyba najbardziej odczuwalne – jest zimno. To pierwsze, co czuję, gdy staję w środku. Na zewnątrz temperatura dochodzi do dziesięciu stopni. Tutaj... patrzę na ściany i z niedowierzaniem przesuwam palcem po kilkumilimetrowej warstwie lodu. Mój oddech tworzy w powietrzu mgiełkę. Jakbym przez okno przeszedł do zupełnie innego świata.

Przypominam sobie, że tak duży spadek temperatury i odczuwalne wychłodzenie mogą być oznakami silnego nawiedzenia – w takich przypadkach coś dosłownie wysysa całą energię, również cieplną, z danego miejsca. Nie czuję tutaj nic – żadnych zapachów, żadnego ruchu ani dźwięku, zupełnie nie słyszę zewnętrznego świata. Wszystko, co żywe, zostało odcięte w chwili, w której znalazłem się w środku.

Przechodzę przez hol wejściowy, starając się nie patrzeć w stronę całkowicie ciemnych pomieszczeń po prawej za mną. W końcu będę musiał tam wejść, przyświecając sobie jedynie ekranem komórki, ponieważ „pan poszukiwacz nawiedzonych miejsc" zapomniał wziąć ze sobą latarkę. Kiedy kończę wyzywać się w myślach, odkrywam, że znalazłem się po przeciwnej stronie budynku, w podłużnym pomieszczeniu z płytkami na ścianach – tu musiała znajdować się kuchnia. Płytki, jak i większość ścian w tym budynku, „ozdobiono" różnymi napisami graffiti, teraz zatopionymi w lodzie, niczym dzieła sztuki za szkłem. Za mną, w większym pomieszczeniu, jedną ze ścian zajmuje duży, wyraźny napis:

KRWOTOK MYŚLI

Wyobraźnia podsuwa mi obraz przestrzelonych głów; wypływającej z nich krwi i kawałków mózgu, tak jakby to faktycznie ostatnie myśli, słowa i emocje wypływały z gasnących ciał.

Czy to było tutaj? Do zbiorowego mordu nie doszło wewnątrz budynku, ale i w nim dziać się musiały rzeczy, które sprawiają ból, gdy tylko się o nich pomyśli. Zanim jednak nadeszli Niemcy, obiekt ten był po prostu oddziałem męskim Zofiówki. Dobrze (choć nie bez trudności finansowych) prosperującym oddziałem szpitala psychiatrycznego.

Na parterze, gdzie się znajduję, mieściły się jadalnia, warsztat, poczekalnia dla odwiedzających, kredens, klozety, pokój zapasowy i specjalne pomieszczenie do oczyszczania ubrań po pracy w ogrodzie. Zofiówka nie miała być szpitalem psychiatrycznym, w którym więziono chorych. To tutaj wprowadzano, pionierską wtedy, metodę leczenia poprzez pracę – aktywizowania chorych. Niektórzy z nich – ci, których rodziny stać było na opłacanie pobytu – mogli liczyć na naprawdę dobre warunki. Właśnie na parterze znajdować się miał specjalny pokój tylko dla nich. Wyżej, na piętrze, trzy pokoje dla biedniejszych chorych – po dziesięć i piętnaście łóżek i po jednym łóżku dla każdego pielęgniarza. Prócz tego dwa „pokoje odosobnienia" dla chorych, których uznawano za „niespokojnych". Do tego dochodziły pokoje, w których rezydowali lekarz i dozorca, oraz pomieszczenie na urządzenia sanitarne. Łącznie oddział męski mógł pomieścić czterdziestu pacjentów. Już wkrótce w 1910 roku w odległości około stu metrów miał powstać także bliźniaczy oddział kobiecy.

Podchodzę do dziury w murze i wychylam się, usiłując wyobrazić sobie, jaki widok mógł wtedy, sto lat temu, rozpościerać się z okien. Przerywa mi odgłos silnika nadjeżdżającego samochodu. Przez chwilę myślę o tajemniczym kierowcy, który patrzył się na mnie zza przyciemnianej szyby – czego mógł chcieć? Możliwe, że komuś nie podoba się, że tu węszę – byłem już w takich sytuacjach. Niektórzy ludzie są zdania, że nie warto rozdrapywać dawnych ran, a opuszczone budynki i ich historie powinny popaść w zapomnienie. Niekiedy – o czym przekonałem się już w Turzy Wielkiej – ludzie są bardzo nieufni wobec obcych.

Tym razem samochód jest biały, wysiada z niego para, on poprawia przewieszony przez ramię aparat, ona rozgląda się ciekawie. Rozluźniam się – nie znamy się, ale już wiem, kim są.

Zauważają mnie i wydają się spięci. Macham przyjaźnie, więc podchodzą.

– Państwo też na zwiedzanie? – zagaduję.

Mężczyzna uśmiecha się, jakby nieco zakłopotany.

– Dokładnie. Są tam jakieś duchy? – śmieje się.

Ja także się śmieję. Duchy... kto by tam wierzył w takie rzeczy, pomińmy milczeniem, że zarówno oni, jak i ja właśnie dla nich przyjechaliśmy w to miejsce.

– Jak będą, to na pewno państwo usłyszą, bo zacznę krzyczeć – odpowiadam. – Wejść można tylko przez okno, mogę pokazać...

– Nie, nie. – Macha ręką. – My pójdziemy do tego drugiego budynku. Tam ponoć ciekawiej.

Patrzę nad wystający zza drzew obiekt nieopodal. Kiwam głową i życzę im powodzenia. Trochę mi smutno, przez chwilę miałem nadzieję, że nie będę musiał tutaj chodzić sam. Nawiedzonych miejsc nie powinno się odwiedzać samemu – kiedy jest się z kimś, nawiedzone miejsce ekscytuje. Pojawiają się ciągle nowe pomysły, gdzie ciekawie byłoby wejść. Gdy chodzi się samotnie, nawiedzone miejsce napawa niepokojem. Z obawą więc patrzę na pogrążone w całkowitej – jak mi się wydaje – czerni pokoje niedaleko schodów. Miejmy to za sobą.

Domyślam się, że tutaj właśnie musiał się znajdować pokój sypialny dla tych, których rodziny mogły sobie pozwolić na opłacenie im pobytu w szpitalu. Koszt, chociaż nie był niebotycznie duży, mógł znacznie obciążać budżet rodzin okresów przedwojennych oraz międzywojnia. W „Echu Otwockim” z 5 października 1927 roku znajduję wzmiankę o tym, ile kosztowało utrzymanie pacjentów Zofiówki:

Budżet Towarzystwa Opieki nad Umysłowo Chorymi Żydami zostaje pokryty ze składek członkowskich oraz z opłat za utrzymanie chorych, przyczem 2/3 z tych ostatnich, w wysokości 4 zł. dziennie na osobę pokrywa Magistrat m. Warszawy, (w zakładach komunalnych i państwowych koszta utrzymania wynoszą 8 zł. na osobę).

Z pośród chorych drobna tylko część posiada rodziny lub krewnych, mogących za nich opłacać 4–5 zł. dziennie; przeważnie są to ludzie niezamożni; płacący od 1 do 2 zł. dziennie.

Rzeczywiście, tylko dzięki nader oszczędnej gospodarce, udaje się Zarządowi związać koniec z końcem.

Wystarczy, że zaznaczę dla przykładu iż ilość służby i personelu w Zofjówce jest trzy razy mniejsza od ilości służby w takich zakładach komunalnych i państwowych.

Kierownikiem zakładu jest psychjatrja dr. Rafał Becker, znany ze swych dzieł z dziedziny psychjatrji i antropologii, całą duszą oddany swym chorym.

Dążeniem jego jest uczynić z Zofjówki pierwszorzędny zakład dla umysłowo chorych oraz poważną placówkę doświadczalną dla wiedzy medycznej[29].

Dla osób, którym rodziny opłacały łóżko, ich pobyt w szpitalu – szczególnie na tych terenach – mógł być nawet przyjemny. Pacjenci na pewno mogli się tu uspokoić, odpocząć, odprężyć.

Ja ani spokojny, ani odprężony nie jestem, gdy wchodzę w ciemną, zionącą zimnem dziurę z komórką, której ekran ledwo oświetla podłogę przede mną. Stoję, przyzwyczajając oczy do ciemności – z mroku wyłaniają

się ściany, nieodłączne graffiti, pod butami chrzęszczą mi kawałki tynku i pokruszonych cegieł.

Wtedy coś za moimi plecami odrywa się od sufitu i spada na ziemię. Obracam się, ale to przecież tylko tynk. A spadł, bo na zewnątrz jest mokro i ciepło, a w środku zimno, i odmarzający lód uwalnia spękany tynk. Wiem o tym bardzo dobrze, ale mimo to nie mogę pozbyć się dziwnego przeczucia, że jestem obserwowany, zaś moje przedramiona pokrywa gęsia skórka.

Wychodzę z ciemnego pokoju – poza ciemnością tak naprawdę nic tu nie ma.

Cisza aż piszczy mi w uszach.

* * *

Pierwszymi ofiarami akcji T4 były dzieci. Ministerstwo Spraw Wewnętrznych III Rzeszy wydało okólnik, w którym zalecano, aby:

> […] *akuszerka, która pomagała przy narodzinach dziecka – także w przypadku, gdy wezwano na poród lekarza – składała meldunek we właściwym dla miejsca urodzenia dziecka urzędzie zdrowia* […], *jeśli zachodzi podejrzenie, że nowo narodzone dziecko jest dotknięte następującymi ciężkimi wrodzonymi wadami:*
>
> *(1) idiotyzm oraz mongolizm (zwłaszcza przypadki związane ze ślepotą i głuchotą),*
>
> *(2) małogłowie (nieproporcjonalnie małe wymiary głowy, zwłaszcza części mózgowej czaszki),*
>
> *(3) wodogłowie wysokiego bądź zaawansowanego stopnia,*
>
> *(4) ułomności wszelkiego rodzaju, a w szczególności brak całych kończyn, ciężkie rozszczepienia głowy i kręgosłupa itd.,*

(5) porażenia włącznie z chorobą Little'a[30].

Jeśli akuszerka złożyła meldunek – co było przecież w interesie całego narodu – szedł on dalej do rozpatrzenia przez lekarzy. Ci, nawet nie badając dziecka, mieli decydować, czy zostanie ono poddane miłosiernej „eutanazji", czy też pozwoli mu się żyć. W aktach dziecka wystarczyło po prostu narysować odpowiedni znak. Plus oznaczał śmierć, minus – życie.

Noworodki skazywane na „eutanazję" były zabijane albo za pomocą dużych dawek morfiny (z tego wkrótce zrezygnowano, bo morfina przydawała się na froncie), albo śmiertelnych dawek fenobarbitalu – środka firmy Bayer, który do dzisiaj jest w użyciu. W małych dawkach działa nasennie i uspokajająco. Niemowlętom aplikowano oczywiście odpowiednio większe „porcje". Istniała jeszcze trzecia metoda, mająca związek ze słynnym niemieckim pragmatyzmem – leki miały swoją cenę, zaś używanie ich na większą skalę generowało koszty, które przecież akcja T4 miała ograniczać. Nieokreślona liczba noworodków została więc zagłodzona na śmierć.

Następnie pobierano dziecięce mózgi, które wraz z odpowiednią dokumentacją kierowano do oddziałów neuropatologii, gdzie tworzono z nich kolekcje do badań dla niemieckich naukowców. Jednym z czołowych badaczy był właśnie Julius Hallervorden, uznany neurolog i neuropatolog, którego imieniem – jak już wspomniałem – została nazwana choroba zwana dzisiaj encefalopatią z odkładaniem żelaza. Hallervorden, mimo że wiedział o akcji T4 i korzystał z jej „dóbr", a także brał udział w niektórych egzekucjach, nigdy nie poniósł odpowiedzialności za swoje czyny.

Tymczasem wojna nabierała tempa, podobnie jak i sama akcja T4. Wkrótce po dzieciach przyszedł czas i na dorosłych – ci wedle niemieckiej propagandy zajmowali tylko miejsca w szpitalach. A te były potrzebne dla

wracających z frontu rannych żołnierzy, pokiereszowanych przez broniących się Polaków. I tu planiści akcji T4 natrafili na pierwszy poważny „zgrzyt” – ich działanie musiało być (przynajmniej z nazwy) procedurą medyczną. Nie można więc było rozstrzeliwać wybranych osób. W dużej mierze – mimo że stracili status wolnych obywateli – urodzili się oni na terenie III Rzeszy. Ich utylizacja – szczególnie na tak dużą skalę – okazała się swego rodzaju wyzwaniem dla lekarzy Hitlera.

Pierwsze dwa duże ośrodki utylizacyjne powstały w Grafenecku i Branderburgu. W tym ostatnim testowano skuteczność spalin samochodowych, tlenku węgla i cyjanowodoru. Miejsce, gdzie przeprowadzano zabiegi, nazywano „salami do inhalacji”. Tym, którzy podejrzewali, gdzie są zabierani, i próbowali walczyć, aplikowano środki na uspokojenie.

O tym, kto z dorosłych osób kwalifikuje się do eksperymentu, decydowano na podstawie wypełnionego wcześniej przez obsługę szpitala kwestionariusza. Tu pojawiały się trzy pytania:

Czy człowiek jest zdolny do pracy i w jakiej mierze?

Jak długo przebywa w zakładzie zamkniętym?

Kto go odwiedza i jak często?[31]

Istotna była zwłaszcza ostatnia odpowiedź. Akcja T4 została bowiem przemyślana z godną odnotowania precyzją – rodziny zmarłych nie były informowane o ich śmierci, w związku z czym cały czas płaciły za opiekę nad nimi. A ponieważ posiadanie w rodzinie osoby ułomnej, złych genów, nie było dobrze widziane, nie wspominało się o niej ani też zbyt często jej nie odwiedzało. Szpitale miały wolną rękę, zaś za milczenie i opiekę dostawały pieniądze. Akcja T4 właściwie finansowała się sama. Planiści zadbali nawet o to, by nic z dobytku pacjentów się nie zmarnowało.

Wszelkie ozdoby, zwłaszcza złote, przetapiano i służyły potem jako zęby dla tych, którzy pomagali przy transporcie i eskorcie do sal inhalacji.

W 1941 roku opracowano broszurę pod tytułem *Działania wykonane w ramach akcji*[32], w której informowano o oszczędnościach w perspektywie kolejnych dziesięciu lat, będących efektem akcji T4. Uwzględniono mąkę, chleb, warzywa, produkty mleczne, a nawet sól, które przez ten czas zjadłyby osoby zutylizowane. Koszt całości wynosił 885 439 800 marek – tyle miała zyskać III Rzesza na eutanazji 70 273 osób na samym terenie Niemiec. Dane z innych szpitali psychiatrycznych nie są znane.

24 sierpnia 1941 roku Adolf Hitler oficjalnie przerwał akcję T4. W grudniu tego samego roku rozpoczęła się inna akcja, Reinhardt – mająca na celu zgładzenie wszystkich Żydów, Romów i wielu Polaków zamieszkujących tereny Generalnego Gubernatorstwa i okręgu białostockiego, a na ziemiach dawnej Rzeczypospolitej Polskiej pojawili się ludzie, którzy wcześniej brali udział w akcji T4 – wszyscy w mundurach SS. Wkrótce „pokoje do inhalacji” miały być zastąpione przez „łaźnie” w obozach koncentracyjnych.

Akcja T4 – akcja likwidacyjna nic niewartego życia – nieoficjalnie trwała jednak nadal.

* * *

Włóczę się po terenie Zofiówki już od ponad godziny. Z mrocznego parteru pawilonu dla mężczyzn przeszedłem na pełne światła pierwsze piętro – tu nadal na ścianach widać lód, ale jest jakoś mniej strasznie. Oglądam duże pokoje mieszczące kiedyś łóżka pacjentów, zakratowane pomieszczenie, które (jak się domyślam) mogło być przeznaczone dla tych nielicznych czasem „niespokojnych”. Z sufitu w jednej z sal zwisają korzenie młodych

drzewek rosnących na dachu. Nie minie wiele lat, a rozsadzą cegły i ta część stropu najpewniej się zawali. Już teraz widać pęknięcia, a ściany w tym miejscu pokrywa zielony nalot i mech. Zofiówka nie przypomina już dawnego szpitala. Napis na ścianie głosi, czym teraz jest:

HOSPITAL FOR SOULS

Tylko gdzie te dusze? Jedyne świadectwo jakiejkolwiek bytności na terenie Zofiówki stanowią ordynarne graffiti, szczegółowe rysunki początkujących artystów czy napisy z głębszym sensem, jak ten przy jednym z największych okien, głoszący, że tutaj powinienem przystanąć i zastanowić się nad swoim życiem, czy bardziej humorystyczne rymowanki, podobne do tych, które zdobią ściany w szkolnych ubikacjach – tutaj, o dziwo, także na płytkach łazienki, która już nie istnieje: *Dzikie węże aligator, twoja stara to predator*. Kiedy opuszczam pawilon pierwszy i kieruję się w stronę połączonych ze sobą pawilonów III i IV, już na wejściu do „trójki” wita mnie strzałka z napisem: *Tu są duchy*. Obok na ścianie dopisano jeszcze:

WELCOME TO HELL

Posłusznie wchodzę więc do paszczy lwa. I tutaj wita mnie śmiertelna cisza i spokój. Spokojniej tutaj niż na niejednym cmentarzu. Gdzieniegdzie tylko widzę porozsypywane plastikowe kulki – dziś gracze ASG urządzają sobie tutaj rozgrywki.

„Co z tobą będzie, Zofiówko?” – zastanawiam się. Gdzieś w okolicy szczeka pies. Prócz tego cały czas towarzyszy mi cisza. Czy duchów już tutaj nie ma? O to powinienem zapytać specjalistę (co też wkrótce zrobię), ale i bez niego wiem, że... wciąż tu są.

Opowiedziała mi o nich Edyta, która w latach dziewięćdziesiątych przebywała tutaj – w pawilonie IV – jako wychowanka sanatorium dla dzieci i młodzieży po „przejściach". Dzieciństwo Edyty naznaczone było zdarzeniami paranormalnymi. Przyjeżdżając tutaj, nie miała pojęcia, że przybywa do specyficznego miejsca, wyróżniającego się nawet na tle innych nawiedzonych budynków.

– Tu atmosfera wcale nie była taka zła – mówi, kiedy rozmawiamy o wydarzeniach sprzed ponad dwudziestu lat. – W porównaniu z moim wcześniejszym domem oczywiście. Tam było tak źle, że aż duszno, tutaj… tutaj na początku po prostu było dziwnie. Czasami, kiedy leżałyśmy już w łóżkach z dziewczynami, to zaczynałyśmy słyszeć wyjącą syrenę, tak cichutko, ale nie jak z oddali, rozumiesz, tylko jakby była bardzo, bardzo cicha. Czasami coś pukało w nocy, obok mojej głowy. Tam było jedno pomieszczenie, ale zamknięte zawsze na kłódkę, taki kantorek na różne szczotki. I centralnie obok mojej głowy w nocy coś pukało. Jakby o drzwi ktoś pukał. Wtedy… nakrywałam się kołdrą, bo nie chciałam widzieć tego, co tak puka, gdyby przyszło, no i…

Zachodzi w niej jakaś zmiana – kiedy opowiadała mi o wcześniejszych wydarzeniach, po prostu wspominała, tak jak wspomina się wakacje. Ale teraz słyszę, że jej głos drży.

– Czasami – kontynuuje cicho – jak miałam tak naciągniętą kołdrę, wiesz, napiętą, to na zewnątrz robiło się bardzo zimno i widziałam, jak coś z drugiej strony puka palcem o tę moją kołdrę. Tuż przed moją twarzą. A potem śmiech.

Prawdziwe duchy nawiedzonych miejsc kryją się w cieniach, żeby je dostrzec, trzeba mieć pewien dar, jak Edyta. Ja, by je dojrzeć, muszę się naprawdę postarać. Muszę się dowiedzieć, co tak naprawdę się tu stało. Prawdziwe duchy – tak myślę – to wspomnienia krzywdy, paniki, złości,

bólu i braku nadziei. A tych emocji tutaj nie brakowało. Każdy człowiek podświadomie to czuje, kiedy znajdzie się w miejscu, którego całe lata nikt nie chce nawet tknąć, miejscu, które tak naprawdę stanowi problem, o którym najlepiej zapomnieć. Zwykle wszystkim przychodzi to z łatwością. Poznawanie historii takiego miejsca jest jak przyświecanie latarką w mroku – wydobywa z niego kontury i kształty. I duchy.

Dlatego teraz, kiedy znów jestem w mrocznej piwnicy kolejnego pawilonu Zofiówki, odczuwam trudny do zinterpretowania niepokój. To sanatorium mnie obserwuje. Wie, że tu jestem. A wszystko dlatego, że i ja wiem, czym ono jest.

* * *

Szczerze mówiąc, trudno mi wyobrazić sobie to, że Zofiówka jeszcze pod koniec lat dziewięćdziesiątych działała – spaceruję wśród ruin, ścian, które wyglądają, jakby budynek był w stanie półsurowym – wszędzie widać cegły, gdzieniegdzie obsypują się resztki popękanego tynku. Pachnie rozmokłą ziemią – naprawdę tak właśnie wyglądają obiekty pozostawione sobie samym tylko na dwadzieścia lat?

Potrzebowałem naocznego świadka – zarówno tego, że Zofiówka faktycznie działała, jak i tego, co się w niej działo. Edyta opowiada mi wszystko ze szczegółami – to zadziwiające, że kiedy z nią rozmawiam, okazuje się osobą tak pełną życia i pozytywnej energii. W drugim pokoju radośnie śmieje się dziecko, mała dziewczynka – jej córka, którą w czasie naszej rozmowy zajmuje się mąż Edyty.

Kobieta uśmiecha się, kiedy słyszy gaworzenie córki, rozmawiamy niezobowiązująco – o tym, co sprawiło, że interesujemy się właśnie zjawiskami paranormalnymi. *Small talk* ludzi, których pewna część społeczeństwa uznałaby za świrów.

Opowiadam jej trochę o swoich początkach. Kiedy ona odwdzięcza się tym samym, serce zaczyna mi mocniej bić – czy mogłem się spodziewać, że siedzę naprzeciw osoby, której całe życie naznaczone jest spotkaniami z nieznanym?

Wszystko zapoczątkowali jej rodzice. Zanim się poznali, jej ojciec pracował jako iluzjonista w cyrku – tam zaciekawił się spirytyzmem, a kiedy poznał swoją przyszłą żonę, razem wywoływali duchy. Edyta dorastała w domu, który zbudował jej ojciec, niedaleko torów, po których jeździły pociągi. Dom był drewniany, skrzypiał, żył. Ale czasami, kiedy nadchodziły długie jesienne wieczory, rozlegały się kroki.

Rodzice Edyty próbowali nagrywać nieżyjących na magnetofon (ten pomysł miał się jej jeszcze przydać w przyszłości) – miejsce, w którym mieszkali, nadawało się na tego typu eksperymenty idealnie, pod fundamentami znajdowały się bowiem groby jeńców wojennych. Część z nich zdołano wykopać, Edyta opowiada mi, jak pewnego razu pod ich dom przyjechały koparki. Później jeszcze przez lata czasami deszcz wymywał spod ziemi fragmenty kości.

Usiłuję coś wyczytać z tonu jej głosu – przecież mieszkanie w takim miejscu musiało odcisnąć swoje piętno, ale moja rozmówczyni opowiada o wszystkim tak, jak opowiada się o wakacjach sprzed wielu lat. Jak o życiu, które jej już nie dotyczy.

– Tam zawsze była taka atmosfera… – mówi. – Zawsze czułam się przytłoczona, zmęczona. I było strasznie zimno.

Przypominają mi się oblodzone ściany w pawilonie dla mężczyzn w Zofiówce i sam także czuję dreszcz.

– Ile to trwało? – pytam. Ile można mieszkać w takim miejscu?

Kiedy odpowiada, zdaje się kompletnie wyprana z emocji.

– Lata.

Opowiada dalej – o żołnierzu, który niedaleko ich domu rzucił się z mostu na tory, wprost pod nadjeżdżający pociąg.

– W tamtym miejscu w ogóle dużo osób popełniało samobójstwa – zauważa.

Mówi mi o próbach, jakie jej ojciec podjął, by porozumieć się z samobójcą. I o ciężkich oficerskich buciorach, których stukot kolejnej nocy rozległ się w jej domu – ktoś wchodził i schodził po drewnianych schodach na pierwsze piętro. Raz za razem. Noc za nocą.

– W końcu ojciec te schody rozebrał – śmieje się Edyta.

Niewykluczone jednak, że razem z żołnierzem do ich domu wprowadziło się coś jeszcze – a może to coś zawsze tam było, o czym świadczyłoby dziwne poczucie „przytłoczenia” – w każdym razie ojciec Edyty zaczął się bać. Coś szeptało do niego nocami, by zabił swoją żonę i córkę. Czasami wybuchał śmiechem bez żadnej okazji.

Czasem krzyczał: *Jestem większy od Boga!*

Jego lewa ręka próbowała go dusić. Jedyną racjonalną decyzją była wyprowadzka – kiedy do niej doszło, mężczyzna się uspokoił, wszelkie dziwne zachowania i szepty ustały. Wszystko byłoby w porządku, gdyby nie to, że marniał w oczach.

– Miał prawie sześćdziesiąt lat, a wyglądał jak ponad osiemdziesięcioletni staruszek. Chudy jak z obozu koncentracyjnego, żywy trup – wspomina Edyta.

Czy coś wysysało z niego energię? Edyta twierdzi, że tak – moja teoria jest trochę inna: to w tamtym domu coś wyciągało energię, ale podtrzymywało jej ojca przy życiu tak, by wyglądał w miarę zdrowo, nie wzbudzał podejrzeń. Kiedy kontakt został odcięty, ta swego rodzaju iluzja również się rozwiała.

Mężczyzna zmarł po trzech wylewach, w wieku sześćdziesięciu siedmiu lat.

To właśnie z uwagi na wydarzenia z dzieciństwa Edyta znalazła się w Zofiówce. Uciekając przed duchami, trafiła w samo centrum aktywności paranormalnej.

Aby lepiej zrozumieć, co ją tam spotkało, potrzebuję jednak wiedzy historycznej – kontekstu, który stanowić mogą tylko wydarzenia, które rozegrały się w podwarszawskim szpitalu psychiatrycznym.

* * *

Tuż przed nastaniem II wojny światowej Zofiówka przeżywała swój złoty okres. Działał tu jeden z dwóch otwockich aparatów rentgenowskich, sanatorium oferowało około trzystu siedemdziesięciu łóżek i szczyciło się mianem największego w mieście – co było nie lada osiągnięciem, biorąc pod uwagę „sanatoryjny” charakter samego Otwocka. Kultywowano tutaj „terapię zajęciową”, która dla umysłowo chorych pacjentów okazywała się zbawienna w skutkach. Do 1938 roku przybytkiem tym kierował jeden z najwybitniejszych psychiatrów ówczesnej Europy dr Jakub Frostig. Właśnie wtedy sytuacja zaczęła się załamywać.

To, jakie realia w Zofiówce zastała wojna, opisano szczegółowo w artykule z „Odgłosów Otwocka” z 14 maja 1939 roku:

Słów kilka o Zakładzie psychiatrycznym „Zofiówka”

Przy ulicy Kochanowskiego Nr 2 mieści się zakład dla psychicznie i nerwowo chorych pn. „Zofiówka”. Zakładem tym opiekuje się Towarzystwo humanitarne w Warszawie, na czele którego stoją znani działacze społeczni pp. dr Kohan i radca Leopold Milsztein.

„Zofiówka” jest obliczona na 350 chorych. Zakład jest przeludniony, gdyż T-wu brak jest funduszów na rozszerzenie zakładu i budowę nowych pawilonów.

Od miesiąca września ub. r. kierował „Zofiówką” p. dr. J. Frostig, który w dość niezwykłych okolicznościach opuścił to stanowisko wyjeżdżając do Ameryki Półn. dla wygłoszenia szeregu odczytów o nowoczesnym lecznictwie umysłowo-chorych. P. dr Frostig jeszcze dotąd nie powrócił ze swej podróży i najprawdopodobniej już nie wróci.

W międzyczasie stanowisko dyrektora „Zofiówki” objął dr Stefan Miller, urlopowany terminowo lekarz zakładu psychiatrycznego w Tworkach.

Droga do uzdrowienia stosunków w „Zofiówce” nie jest dr-owi Millerowi usłana różami... Nie ma dnia, ani godziny wolnych od kłopotów. Przesegregowanie pracowników, oczyszczenie atmosfery i usunięcie szkodliwego elementu zagnieżdżonego w „Zofiówce” wymagało nie mało sił energii i zapału. Należy jednak przyznać, że jeśli chodzi o ten odcinek pracy — to sanacja „Zofiówki” ma się ku końcowi.

Przykład idący z góry, a wydający dobre owoce, podziałał na personel „Zofiówki”, gdyż zatrudnieni z zapałem i poświęceniem wykonują swoje obowiązki; nie ma jednak reguły bez wyjątków.

Szkodliwe i wręcz niezdrowe rozpolitykowanie części personelu wprowadza rozdźwięki i powoduje ciągłe tarcia. Tak się jakoś składa, że najbłahszy wypadek bywa rozdmuchiwany do rozmiarów potwornych, tworząc atmosferę szkodliwych i niezdrowych plotek. Należało by temu wreszcie położyć kres usuwając bezlitośnie elementy, na których pada chociażby cień podejrzenia nielojalności

lub skazy moralnej. Uzdrowienie wymaga ofiar, a rzecz publiczna ma swoje prawa, jakieś inne od prywatnych. A „Zofiówka” jest instytucją publiczną powstałą z darowizny i pokrywającą swój budżet częściowo z ofiar publicznych.

Niechże więc przyszłe pokolenie ofiarodawców nie ma podstaw do żalów...[33]

O jakich „niezwykłych okolicznościach” pisano na łamach „Odgłosów Otwocka”? Jeszcze w 1938 roku w Zofiówkę uderzyło skrajnie prawicowe pismo „Falanga”. Oskarżono dra Izaaka Frydmana, który wedle redaktorów czasopisma miał wykorzystywać seksualnie swoje pacjentki, zaś żeński personel szpitala dobierać „w zamian za uległość”. Co ciekawe, oskarżenie w 1939 roku poparł Związek Pracowników Miejskich i Użyteczności Publicznej Otwocka. Prokuratura nie znalazła jednak żadnych dowodów potwierdzających te zarzuty.

Czy były one prawdą, czy nie, dr Frostig opuszczał szpital w atmosferze skandalu, którego kanwą mogły być oczywiście względy polityczne. I być może sprawa miałaby dalszy ciąg, gdyby nie wybuch wojny i to, jak krwawe okazały się dalsze losy Zofiówki.

Co również ciekawe, leżąca na terenie getta trzeciego – nazywanego też „kuracyjnym” – Zofiówka była jedynym działającym na terenie Generalnej Guberni zakładem dla umysłowo chorych Żydów. Co oznacza, że kiedy w 1940 roku otwierano pierwszy formalny obóz koncentracyjny Auschwitz, gdzie Żydów i ludność polską zsyłano do pracy i na śmierć, do Zofiówki Żydów oficjalnie kierowano na leczenie. Trudno byłoby mówić o „leczniczych” warunkach, bo te z dnia na dzień stawały się coraz gorsze. Chorzy, czyli ponad trzysta pięćdziesiąt osób, zostali skazani na powolną

śmierć głodową. Wszystko w ramach akcji, która oficjalnie nie była już kontynuowana – T4.

W Internecie można znaleźć informacje, że to właśnie podczas okupacji pojawił się pierwszy z „czołowych" duchów tego miejsca – miała to być jedna z sióstr oddziałowych, zabita przez Niemców w trakcie ich stacjonowania w getcie. I rzeczywiście – podczas likwidacji getta naziści zabili wiele osób spośród personelu Zofiówki, jednak ten konkretny duch wcale nie był duchem siostry oddziałowej, ale siostry... zakonnej.

Zrobię stop-klatkę – tutaj, w latach czterdziestych XX wieku. Za chwilę tu wrócę, gdy będę pisał o drugim duchu Zofiówki. Tymczasem historia „ducha siostry" każe mi opuścić tereny sanatorium i przenieść się na szczyt otwockiego wzniesienia – wydmy Meran. Tu, jeszcze w latach osiemdziesiątych, na szczycie znajdowała się kapliczka upamiętniająca napad rabunkowy, który wstrząsnął lokalną społecznością. Ofiarą była bowiem siostra zakonna. Wszystko miało się rozegrać jeszcze przed pierwszą wojną światową, kiedy sanatorium Zofiówka dopiero się rozwijało. Jak ten duch przywędrował z wzniesienia oddalonego o parę kilometrów aż do badanego przeze mnie obiektu? Myślę, że po prostu głośniejsze wydarzenie i sama jego waga wyparły ze świadomości to wcześniejsze. Wystarczyło pewne podobieństwo w nazewnictwie: siostra oddziałowa i siostra zakonna, by duch tej ostatniej stał się jedną z zagubionych dusz Zofiówki.

A może chodzi o coś jeszcze innego? Wspominałem już o tej teorii – może miejsca przesycone śmiercią są dla duchów jak latarnie dla ciem? W tym wypadku duch siostry zakonnej mógłby przywędrować właśnie tutaj. Być może to nawet jego napotkały osoby, które w otwockim lesie koło cmentarza sfotografowały dziwną kobiecą postać? Sprawę tę we wrześniu 2016 roku opisywano na portalu warszawawpigulce.pl:

Kolega napisał, że wybrał się z dziewczyną oraz przyjacielem do Mazowieckiego Parku Krajobrazowego tydzień temu w niedzielę jakoś o 21. Zaparkowali samochód przy cmentarzu w Otwocku i do lasu poszli na piechotę. Cała wyprawa przebiegała bardzo luźno – drogę oświetlali sobie telefonami komórkowymi i miło ze sobą rozmawiali. W połowie drogi do Starej Wsi jednak cała trójka poczuła jakiś strach. Krzysiek stwierdził, że jakoś strasznie się zrobiło. Cała reszta przyznała rację. Wszyscy poczuli lęk, zdecydowali, że przejdą jeszcze 100 m. To było bardzo spontaniczne uczucie, które poczuli równocześnie. Prawda była jednak taka, że przeszli może 20 metrów i usłyszeli tak jakby wysoki klekot. Od razu stwierdzili, że pora stąd uciekać. Dotarli na parking przy Otwocku bardzo szybko. Później przeglądając zdjęcia z wyprawy, odkryli na jednym coś bardzo osobliwego – jakby postać. A zdjęcie było zrobione niedaleko rozwidlenia, w którym jedno prowadziło właśnie do Starej Wsi. To wszystko, co wiem. Krzysiek stara się unikać tematu, ale powiedział, że jak chcę, mogę o tym mówić z kimś innym[34].

Podobna zasada mogłaby obowiązywać w przypadku duchów, o których opowiadała mi Edyta. Wskazuje na to przypadek ducha mnicha, którego moja rozmówczyni pierwszy raz zobaczyła w wieku około dziesięciu lat.

– Koło mojego domu były tory, no i tam się często bawiliśmy z kumplami. Wiesz, ustawialiśmy na torach kamienie i patrzyliśmy, czy się pociąg nie wykolei – śmieje się do wspomnień – i wtedy po raz pierwszy go zobaczyłam.

Wyglądał jak mnich – miał na głowie kaptur, spod którego nie widać było twarzy, ręce schowane w rękawach habitu. Stał przy torach, jakieś pięć metrów dalej, i patrzył na nich. Nie tylko Edyta go widziała, również inne

dzieci. Zaczęli do niego wołać, lecz się nie poruszył. Po prostu się patrzył – to wzbudziło w nich podejrzenia.

– Może to jest duch? – zapytał jeden z chłopców.

Rzucił w jego stronę kamień, nic się nie stało. Potem drugi. Ciągle żadnej reakcji. W tym momencie usłyszeli nadjeżdżający pociąg, więc zeszli z torów. Kiedy pociąg przejechał, po mnichu nie było już ani śladu.

Drugi raz postać mnicha Edyta zobaczyła, gdy miała prawie dwadzieścia lat. Szedł odwrócony do niej tyłem, spoglądał w stronę lasu za torami. Przez ramię przerzucony miał tobołek. W pewnym momencie odwrócił się i popatrzył prosto na nią, a Edyta zrozumiała, że chciałby, by za nim poszła. Odwróciła się jednak i wróciła do domu – nie bała się, po prostu nie miała ochoty za nim iść.

Trzeci raz postać mnicha pojawiła się w Zofiówce. Widziały ją również inne dziewczyny z oddziału Edyty, tak samo jak ona. Stał za oknami i spoglądał w górę, w stronę strychu, gdzie spały.

Edyta, jeszcze w domu, opowiedziała rodzicom historię z pojawiającym się mnichem. Okazało się, że wcześniej widziała go również jej matka – w miejscu, które słynęło z tego, że wieszali się w nim ludzie.

Mnich nie był duchem Zofiówki – przywędrował tu jednak za Edytą, przyciągany jak magnes – albo przez nią, albo przez to miejsce. Być może oba te czynniki odegrały tu swoją rolę.

Nie był zresztą jedynym widziadłem, o którym tamtego wieczoru opowiedziała mi Edyta. Wydarzenia, których ona i jej koleżanki doświadczały na terenie Zofiówki, były coraz bardziej zagadkowe. Edyta wspomina, że do dziwnych odgłosów – powtarzających się stuknięć – dołączyły również innego rodzaju zjawiska.

– Pamiętam, że były takie sytuacje na stołówce. Mieliśmy dyżury, każdy musiał przygotować jakieś kubki, naczynia, takie rzeczy. I kiedyś,

w trakcie mojego dyżuru, szklanki same zaczęły się przesuwać po blatach, a krzesła same odsuwały się od stołów. Ale nie bałam się tego, nie czułam lęku, tylko wiedziałam, że coś tam jest.

To mnie ciekawi – większość ludzi w kontakcie z tego rodzaju zjawiskiem, zareagowałaby zapewne strachem. Edyta wyjaśnia, że osoba taka jak ona jest w stanie poczuć intencje danego bytu. Cokolwiek ujawniło się w stołówce, chciało tylko zamanifestować swoją obecność. Czym innym były duchy dręczące wychowanków ośrodka po nocach. Te miały złe zamiary.

W końcu Edyta postanowiła dowiedzieć się, dlaczego ona i jej koleżanki są wystawione na ataki.

– Pamiętam, że kiedyś mój tata opowiadał, że można nagrać na magnetofon tego rodzaju zjawiska. I myśmy z koleżanką włączyły nagrywanie i powiedziałyśmy, że jeśli te dusze chcą nam coś przekazać, to żeby to zrobiły. I wyszłyśmy z pokoju. Jak wróciłyśmy, to nie nagrał się żaden głos, ale taki odgłos, jakby ktoś odsunął krzesło, oraz sześć uderzeń w ścianę. Pokój był pusty, nikt tam nie mógł wejść.

Czy dusze związane z Zofiówką chciały w ten sposób coś przekazać? Nawet jeśli, to przekaz ten był dla Edyty niezrozumiały. Dziwne zdarzenia trwały jednak nadal. Do najbardziej interesującego z nich doszło zimą, kiedy Edyta spotkała jednego z duchów Zofiówki twarzą w twarz.

– W życiu bym nie powiedziała, że to był duch, gdybym sama tego nie zobaczyła. Po drugiej stronie naszego budynku, na którą miałyśmy widok z okna, była taka mała górka, z której w czasie wolnym zjeżdżałyśmy na sankach. I pamiętam, że w pewnej chwili zobaczyłam mężczyznę, który szedł w naszą stronę. Tylko zdziwiło mnie to, że był ubrany staroświecko. Miał taką czapkę w kratkę, płaszcz i ciemne spodnie, rozszerzone. W ręku niósł skórzaną teczkę. Miał okulary, tylko nie takie zwykłe – to były grube

szkła, które tak powiększały oczy strasznie. On szedł i się cały czas na mnie patrzył. Zastanawiałam się, gdzie on idzie, bo w tamtym kierunku nic nie było. Jak szedł, to cały czas wydawało mi się, że słyszałam, jak dzwonią o siebie klucze. On obszedł budynek, skręcił w bok, cały czas się na mnie patrzył. W końcu doszedł do muru i cały czas patrząc się na mnie… tak jakby zaczął schodzić po schodach. Ale tam nie było schodów, po prostu wchodził w ziemię, tak jakby się w niej zapadał. Jak poszłam tam z koleżankami, to nawet śladu nie było, był świeży śnieg, więc gdyby był człowiekiem, to musiałby zostawić ślady.

Kim mogła być ta zjawa? Czy mógł być to jeden z lekarzy Zofiówki?

Wracam do swojej stop-klatki – w latach czterdziestych na terenie szpitala przebywała osoba, która miałaby się stać drugim z czołowych duchów Zofiówki. Nazywała się Adela Tuwim, była matką Juliana Tuwima. W sanatorium spędziła ostatni okres swojego życia, a przybyła tu jeszcze przed wojną, kiedy szpitalem rządził dr Frostig. Mówi się, że tutaj też dokonała żywota – zastrzelona przez Niemców w trakcie likwidacji getta. To jednak nie jest prawda – matkę poety przetransportowano do domu przy ulicy Ceglanej i dopiero tam, już po likwidacji ośrodka, dopadli ją funkcjonariusze SS i następnie rozstrzelali. Mimo to można i ją uznać za ofiarę wydarzeń, które w nocy z 18 na 19 sierpnia 1942 roku rozegrały się w Zofiówce.

Tamta noc z pozoru nie różniła się od innych, ale w powietrzu dało się wyczuć napięcie. Widać je było w ostrych ruchach pielęgniarek, w spojrzeniach lekarzy, na korytarzach co chwilę rozlegały się szybkie kroki. Coś się kroiło, coś się miało stać – część pacjentów nie mogła zasnąć, jakby podskórnie przeczuwali, że dzieje się coś złego.

Niektóre osoby z personelu sanatorium stwierdziły, że po latach okupacji nie są już w stanie dłużej wytrzymywać piekła tego miejsca.

Piekła głodu akcji T4, z powodu której z trzystu pięćdziesięciu pacjentów zostało niewiele ponad stu pięćdziesięciu. W środku nocy paru sanitariuszy powzięło rozpaczliwą próbę ucieczki – ukradli jedną z sanitarek i odjechali w stronę Warszawy, mając świadomość, że w każdej chwili mogą paść strzały. Te jednak nigdy nie padły – być może Niemcy nawet nie zwrócili na to uwagi – los pozostałych i tak był już przesądzony. Wiedzieli o tym inni członkowie zespołu – dr Lewinówna, dr Maślanko, mgr Lichtenfeld oraz ówczesny kierownik dr Włodzimierz Kaufman – którzy tej samej nocy zażyli cyjanek potasu. Ranek zastał już tylko ich stygnące ciała.

Akcja T4, mimo że oficjalnie zakończona rozkazem Hitlera, trwała nadal. Przebywających tu Żydów po latach udręki skazano na eliminację.

Pacjentów zebrano na zbiórce i następnie gnano przed siebie, słaniających się na nogach. Aby łatwiej było iść, poły długich szlafroków trzymali w rękach. Dziwny to był korowód – żywe trupy, wygłodzone szkielety, wykrzykujące frazy „gdzie jest babcia” czy „opanował nas dziki upał”, i asystujący im umundurowani żołnierze z bronią[35].

Czy wiedzieli, dokąd idą? Niektórzy tak i próbowali uciekać – wyłamywali się z szeregu, lecz wycieńczeni długim głodem byli w stanie odbiec co najwyżej parę kroków, nim silne ręce żołnierzy chwytały ich i ustawiały na miejscu. Zmuszono ich do kopania mogił, część usiłowała walczyć – rzucali się na Niemców. Jeden z nich łopatą rozwalił naziście głowę. To nic nie dało. Za każdym razem żołnierze szybko ich pacyfikowali i zmuszali do dalszego kopania. Wołali: *Arbeit! Weiter arbeiten!* i *Schneller!*

Niektórzy podczas kopania kładli się na ziemi i przysypywali piaskiem, żeby zyskać parę sekund życia więcej. Kopnięcia wyrywały ich z marazmu. Kiedy groby były gotowe, padł szybki rozkaz: *Beladen Waffen!*

Niektórzy przytulali się do Niemców. Wieszali się im na szyjach, żeby uniemożliwić im wycelowanie broni. Cios kolby strącał ich w stronę dołu, wtedy słyszeli już tylko trzask przeładowania, strzał. Spadali do środka jak połamane lalki[36].

Rozstrzelano od stu dziesięciu do stu czterdziestu osób. Resztę wywieziono do obozu zagłady w Treblince. Mogiłę odkryto dopiero w latach pięćdziesiątych i ekshumowano z niej około stu ciał. Reszta nadal tam leży.

W połowie 1943 roku w pobliskim sanatorium Brijus oraz w opuszczonej Zofiówce Niemcy ustanowili ośrodek instytucji opiekuńczo-charytatywnej Lebensborn („źródło życia”). Główne cele stanowiły odnowienie krwi niemieckiej i hodowla nadludzi – przedstawicieli czystej aryjskiej rasy. Ośrodek miał pomieścić około stu matek i stu pięćdziesięciorga dzieci, w jednym z budynków założono oddział położniczy, w innych – dom dziecka i żłobek. Tutaj miały się też kształcić polskie dzieci, zabrane od swoich rodzin, a następnie germanizowane. Czy ośrodek zaczął funkcjonować? Mimo takich plotek – nie. Już w 1944 roku do Zofiówki wkroczyli Rosjanie i rozkradli wszystko, czego Niemcy nie mogli zabrać ze sobą.

Na tym historia Zofiówki się nie skończyła. Zaraz po wojnie utworzono tutaj ośrodek szkoleniowy im. Stanisława Dubois dla działaczy Organizacji Młodzieży Towarzystwa Uniwersytetu Robotniczego. Przyjeżdżała tu też na wypoczynek i szkolenia socjalistyczna młodzież z Francji i Holandii. Wybudowano stadion, którego pozostałości ciągle można jeszcze oglądać. Od 1956 roku sanatorium otrzymało imię Stefana Okrzei – leczono tutaj młodzież chorą na gruźlicę. Od 1968 roku zajmowano się tutaj także dorosłymi gruźlikami, a samo sanatorium było już tylko częścią większego kompleksu im. Feliksa Dzierżyńskiego. W latach osiemdziesiątych

powróciła nazwa Zofiówka i szpital znów stał się sanatorium, w którym zajmowano się leczeniem nerwic i zaburzeń neuropsychiatrycznych – tym razem u dzieci i młodzieży. Nie na długo. W 1995 roku przebywali tu młodociani narkomani, prowadzone były szpital (lub też przytułek) psychiatryczny i sanatorium. Oficjalnie ośrodek zamknięto w 1998 roku.

Trudno mi sobie wyobrazić, by coś tu powstało w przyszłości. Zofiówka umiera, duszona powoli przez zachłanne korzenie rozrastającego się lasu.

* * *

Deszcz zaczyna padać coraz obficiej, dodatkowo wieje przenikliwy wiatr. Robi się naprawdę zimno i powoli także ciemno. Zdaję sobie nagle sprawę, że wśród murów, wspomnień i gruzów spędziłem ostatnie pięć godzin. Zofiówka daje mi chyba znać, że już na mnie czas. I ja tak myślę – nie chcę przecież nadużywać gościnności duchów.

Wiem już, z jaką ideą związane jest nawiedzenie tego miejsca. Wiem też, jak się ono dokonało i kim byli ludzie, którzy za nim stali. Znam historię samej Zofiówki i postacie czołowych duchów. Te bezimienne, stojące w szeregu, także nie są mi obce. Teraz pozostało mi już tylko spotkać się ze specjalistą, świeckim egzorcystą, którego możemy nazwać D. Badał wielokrotnie sprawę sanatorium Zofiówka i może mi opowiedzieć o duchach.

– To są osoby znane jako schizofrenicy – mówi. – One mają trudność z rozróżnieniem fantazji i rzeczywistości. I po śmierci to się nie zmienia. Duchy będą łaknąć energii, więc przypuszczalnie większość siedzib ludzkich w otoczeniu tego obiektu będzie nawiedzona.

Przypominam sobie o jednym z mijanych w drodze do ośrodka budynków. Już w tym kontekście słowa D. brzmią bardzo złowróżbnie.

– Jeden z budynków zaraz za murami Zofiówki to przedszkole – zauważam.

– W takim razie te dzieci są zagrożone – stwierdza mój rozmówca. – To się będzie objawiać dziwnym zachowaniem dzieci. Dzieci są mocno podatne na wpływy duchów. Osoba dorosła ma sposoby radzenia sobie z duchami, a dziecko nie.

Chwilę później rozmawiamy o ośrodku rozrodczym, zdaniem egzorcysty tutaj także należałoby poszukiwać śladów duchów. Według niego ośrodek mógł bowiem zacząć działanie. Wskazuje także, że na schodach najstarszego z pawilonów ktoś umarł. Wnioskuje ze śladów na zdjęciach tamtych miejsc.

Pytam go również o interesującą mnie kwestię ducha zakonnicy. Czy jest możliwe, aby duch „tak po prostu" zmienił lokację? Jeśli nie – mogłaby być to tylko zbieżność sprowadzająca się do podobieństwa przypadków, nazw i występowania zjawiska. Jeśli tak... czy moja teoria dotycząca „przyzywającego duchy światła" miałaby jakieś podstawy?

Okazuje się, że...

– Tak – odpowiada. – Każdy duch będzie szukał ośrodka i miejsca, gdzie są żywi ludzie, by podtrzymać własne istnienie. Duchy szukają takich miejsc. Więc jeśli przed pierwszą wojną światową kogoś zamordowano na tych wzgórzach niedaleko, to ośrodek psychiatryczny byłby idealnym miejscem.

To ciekawe. Duchy, które muszą podtrzymywać własne istnienie? Notuję ten fakt w pamięci, a tymczasem drążę dalej:

– Napisał pan w e-mailu, że te duchy będą obecne jeszcze przez parę–paręnaście lat, a później znikną. Na jakiej zasadzie to działa?

– Chodzi o to, że duchy korzystają z zasobów energetycznych, jak te, które zastały w Zofiówce. I te zasoby się wyczerpują, bo nie ma żywych.

Mało jest tam energii życiowej, które mogą te duchy podtrzymywać. Te emocje, które są w ścianach, to jest za mało. Duch potrzebuje towarzystwa żywych osób.

Kolejna ciekawostka. Czy to by oznaczało, że kiedy wyczerpią się „zasoby energetyczne”, duchy Zofiówki będą zmuszone szukać nowych? Choćby tak łatwych do zdobycia i na pewno smakowitych jak dzieci z pobliskiego przedszkola? Egzorcysta jest wręcz o tym przekonany – dzieciom w Otwocku grozi śmiertelne niebezpieczeństwo. Pozostałe opcje to „pójście dalej”, za granicę oddzielającą świat żywych od świata umarłych, albo ulegnięcie rozpadowi. Taki duch zaczyna się zachowywać jak zwierzę, dziczeje.

Zaraz, zaraz. Czy ja dobrze słyszę? Duchy ulegające rozpadowi? Czy duchy, dusze zmarłych ludzi, umierają?

– Dusze nie są nieśmiertelne – opowiada egzorcysta z niezachwianą pewnością w głosie. – Tylko ich czas trwania jest tak długi, że ludziom wydaje się, że jest to wieczność. To nie jest wieczność. Nic we wszechświecie nie jest wieczne.

Czym zatem są duchy? Wedle D. każdy człowiek w trakcie swojego życia gromadzi pewną ilość energii życiowej, która następnie po śmierci – jeśli nie przekroczy „granicy” – będzie mu służyć za paliwo, dopóki się nie wyczerpie albo też nie znajdzie swojego własnego źródła zasilania. Na przykład dziecka.

Zostawiam kwestię istoty duchów i wracam do Zofiówki. Interesuje mnie agresywność dusz przebywających w tym miejscu.

– Każda osoba zagubiona ma tendencje do bycia agresywnym. Osoba zagubiona nie rozumie ani świata śmierci, ani tego świata.

Nasuwa mi się więc pytanie, czy da się przed duchami obronić lub też zmusić je do opuszczenia tego świata. Tu dowiaduję się, że trzeba

oczywiście do tego osoby wykwalifikowanej – ale są na to sposoby. Drążę dalej. Okazuje się, że duchy agresywne dzielą się na dusze „złe" i na upiory. Te drugie władają czymś, co mój rozmówca nazywa „energią śmierci". Zetknięcie się z nią może wywoływać różne objawy – od biegunki czy bólów głowy aż do poważnych chorób. W żadnym wypadku nie prowadzi do śmierci. Tu egzorcysta nie pozostawia miejsca na wątpliwości – ponieważ duchy potrzebują energii życiowej, nie chcą, by ich ofiary umierały. Po pierwsze, byłby to koniec czerpania energii, po drugie – urosłaby konkurencja.

Cóż, z tym tokiem rozumowania nie sposób się nie zgodzić. Ale jak radzić sobie z duchami, które są niebezpieczne?

Okazuje się, że większość duchów po prostu straszy, aby nastąpił „wyrzut energii" – w tym wypadku strachu. Strach łatwo jest wywołać i sam w sobie stanowi dla ducha coś w rodzaju smakołyku. Dlatego duchy nie robią nic więcej, po prostu straszą. Upiory mają być tu wyjątkiem, bo są w stanie zabić, by nakarmić się energią duszy osoby, która dopiero co umarła, i doprowadzają w ten sposób do „śmierci" duszy swojej ofiary. Na szczęście podobno rzadko się je spotyka.

Egzorcyści mają zajmować się właśnie podobnymi przypadkami. Same egzorcyzmy są formą „siłowania się" z duchem, a cel stanowi wyrzucenie go „w śmierć". Chociaż jeśli zły byt ma jakiś punkt zaczepienia w rzeczywistości – przedmiot bądź miejsce – jest w stanie wrócić. Tak jakby był przywiązany. Należy więc znaleźć rzecz, z którą duch zdaje się związany, a następnie ją zniszczyć.

Coś mi tu nie pasuje. Po chwili już wiem, o co chodzi. Co, jeśli upiór przywiąże się do miejsca? Do domu, parku albo szpitala psychiatrycznego? Trudno mi wyobrazić sobie egzorcystę wjeżdżającego na teren Zofiówki buldożerem.

I tutaj, jak się okazuje, jest sposób. Należy „złamać umowę” pomiędzy duchem a miejscem. Udowodnić mu, że dane miejsce nie należy do niego. Jak? Na przykład znaleźć krewnego, który wyrazi zgodę na to, by duch się uwolnił. W przeciwnym wypadku pozostaje oczywiście rozwiązanie siłowe. I tu mój rozmówca zaznacza, że to przekracza już kompetencje „zwykłego” egzorcysty. Czymś takim musi zająć się kapłan – i to kapłan, który nadzwyczaj mocno wierzy w „pomoc z góry”.

Tutaj pomóc mogą tylko „byty wyższe”.

* * *

Jestem po tej rozmowie nieco skołowany. W ciągu zaledwie pół godziny dowiedziałem się, że dusze mogą umrzeć, zaś sama Zofiówka jest jak bomba z opóźnionym zapłonem, czekająca, aż mieszkającym tam duszom skończy się energia. Co się wtedy stanie? Pójdą dalej? Rozpadną się? Zaatakują okoliczną ludność?

Być może ani to, ani to – Otwock leży blisko Warszawy, miasta szczególnie przez duchy, głównie za sprawą wojny, dotkniętego. Jeśli faktycznie zagubione dusze ciągną tam, gdzie jest najwięcej emocjonalnej energii – strachu, radości, nagłych namiętności – to właśnie stolica będzie tu największym wabikiem. Wiem już, że – jak w każdym innym mieście w Polsce – w Warszawie duchy były obecne zawsze. Te z początków XX wieku, jak na ulicy Wilczej, zostały jednak w zasadzie zapomniane. Warszawa to przecież miasto powstałe z popiołów. I to w tamtym wojennym okresie, tak jak w przypadku Zofiówki, zrodziło się najwięcej duchów – ze względu na ogrom cierpienia i przelaną krew.

Egzorcysta, z którym niedawno rozmawiałem, wskazywał na związek duchów i energii, której źródło stanowią emocje. W jego rozumieniu duchy są jak ćmy, ciągnące do skupisk emocji, żeby na nich żerować. Nie mam

zamiaru z tym polemizować, ale w mojej głowie ten proces się odwraca. „A co, jeśli...?" – myślę. Co, jeśli to z emocji – z cierpienia, smutku, złości, zawiści – i związanych z nimi historii powstają duchy?

Czego potrzeba, aby stworzyć historię o duchach? Ktoś zauważy trzeźwo, że duchów właśnie, ale przecież to, że takie byty gdzieś są, jest już symptomem, a nie źródłem. Nie, wcale nie potrzebuję duchów. Potrzebuję trzech uzupełniających się składników: ludzi, którzy kiedyś żyli, miejsca, w którym przebywali, oraz odpowiedniej historii, która ma z nimi związek.

Ludzie są tu oczywiście kluczowi – zarówno do tworzenia opowieści, jak i jej rozpowszechniania czy odczytywania. Ale przecież nie z każdego nieszczęścia rodzą się duchy. Ludzie zabijają, gwałcą, popełniają samobójstwa – to się dzieje ciągle, nawet w tej właśnie chwili gdzieś na świecie ktoś umiera, ktoś kogoś zabija, ktoś kogoś gwałci, ktoś popełnia samobójstwo, bo nie może znieść życia. Ciągle też gdzieś toczy się wojna – to, że żyjemy w czasach pokoju, też jest przecież swego rodzaju ułudą. Zawsze ktoś z kimś walczy. Wracając do duchów – świat powinien być ich pełen. Cała nasza planeta powinna być jednym wielkim nawiedzonym miejscem. W pewnym sensie tak jest, ale tych rzeczywiście nawiedzonych miejsc, gdzie ma dochodzić do objawień, nie mamy aż tak dużo. Tu moim zdaniem istotne są właśnie odpowiednie miejsce i odpowiednia historia. Trudno sobie wyobrazić, by „nawiedzonym miejscem" została nazwana kwiecista łąka. Nawet jeśli za takie uznaje się na przykład las, nie będzie to skąpany w wiosennym słońcu zagajnik pełen rozśpiewanych ptaków, ale okryty mgłą gąszcz w jesiennej aurze, ze spadającymi wilgotnymi liśćmi i wykręconymi, mokrymi konarami drzew – najlepiej późnym wieczorem lub nocą. Budynek powinien być stary i opuszczony. Taki z historią, trzecim filarem gwarantującym pojawienie się duchów – coś musiało się tu stać. Coś niemieszczącego się w głowie, związanego z ogromnym cierpieniem.

Traf chce, że jeśli chodzi o naszą cywilizację i nasz krąg kulturowy, to właśnie Europa, Stary Kontynent, ma największy potencjał historyczny. Wystarczy rzut oka na nasz ukochany XX wiek – dwie wojny światowe, zbrodnicze reżimy i ideologie, które nigdy nie powinny dojść do głosu. Polska to jeden z krajów najbardziej dotkniętych zawieruchą dziejów.

Jest coś, co mnie zawsze intrygowało, jeśli chodzi o opisy historyczne tak wielkich wydarzeń jak na przykład II wojna światowa – bardzo mało słyszy się o tym, co działo się zaraz po niej. Tymczasem moja następna opowieść dotyczy właśnie tego czasu – kiedy wysiedleni z okolic Lwowa Polacy zostali przerzuceni na ziemie zachodnie.

Jest taka wieś w Polsce, w której ukazywanie się duchów to konsekwencja niewygodnej dla nas historii. Mordu, którego Polacy dokonali na Niemcach.

Rozgrywać się to miało we wsi Przytoń, pomiędzy Szczecinem a Szczecinkiem.

Trop krwi jest tu bardzo wyraźny.

---

[28] Treść dyrektywy będącej wynikiem narady m.in. Adolfa Hitlera, Karla Brandta, Philippa Bouhlera i dra Leonarda Contiego, która odbyła się w Sopocie 20 lub 21 września 1939 r. Dyrektywa ta została antydatowana na 1 września 1939 r. Tekst za: G. Gajewska, *„Nagie życie" w zakładach dla psychicznie i nerwowo chorych pod rządami nazistów*, „Studia Europaea Gnesnensia" 2014, nr 10, s. 321.

[29] „Echo Otwockie", nr 2, 5 października 1927 r.

[30] Źródło: http://lernen-aus-der-geschichte.de/resmedia/document/document/B018T07P.PDF [data dostępu: 16.05.2018].

[31] Źródło: film *Akcja T4. Lekarze w służbie nazizmu*, reż. E. Roblin, Francja 2014.

[32] Źródło: film *Akcja T4. Lekarze w służbie nazizmu*, reż. E. Roblin, Francja 2014; E. Klee, *Euthanasie im NS-Staat*, Frankfurt 1985, s. 478, uwaga 23; H. Friedlander, *Der Weg zum NS-Genozid. Von der Euthanasie zur Endlösung*, Berlin 1997, s. 518, przypis 99.

[33] „Odgłosy Otwocka", nr 2, 14 maja 1939 r.

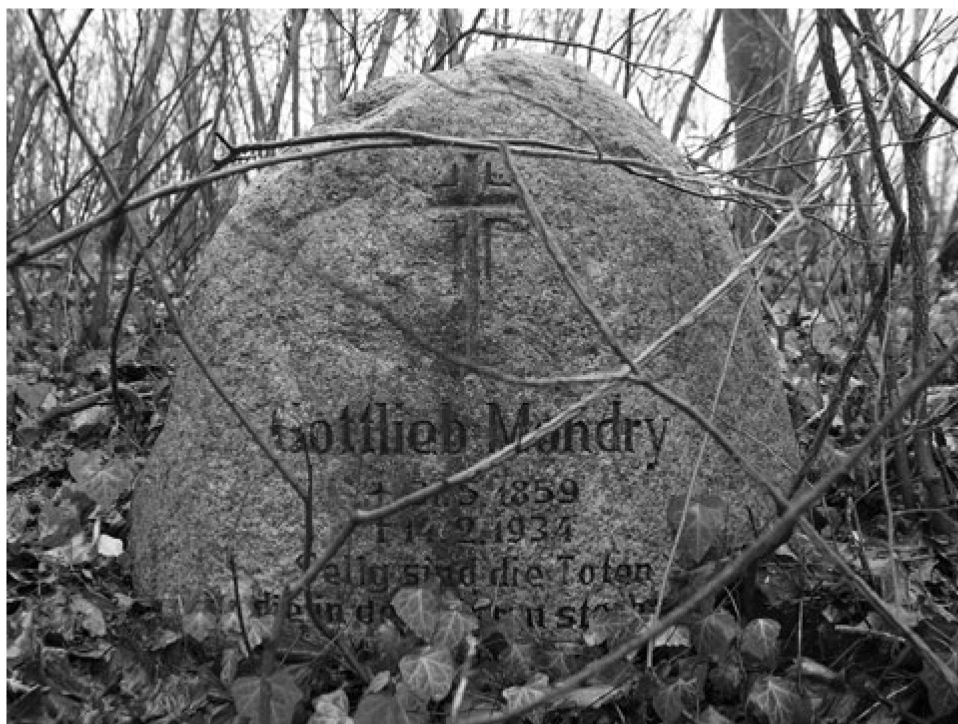
[34] Źródło: https://warszawawpigulce.pl/paranormalne-zjawiska-pod-warszawa-czytelniczka-przesyla-zdjecia/ [data dostępu: 16.05.2018].

[35] S. Rakowski, Z. Nosowski, *Aby ślad nie pozostał. Żydzi otwoccy. Zagłada i pamięć*, Otwock 2012, s. 62.

[36] Tamże.

ROZDZIAŁ 4

Powojenne tajemnice



Jeden z grobów na zagubionym cmentarzu

Fot. Barbara Juśko

SEKRETY WSI PRZYTOŃ

Dziewczyna, która siedziała na ławce przed chałupą, nie była ani szczególnie ładna, ani specjalnie brzydka – jednak kiedy mieszkańcy sąsiednich wiosek ją spotykali, instynktownie wyczuwali, że jest inna i obca. Być może chodziło o odrobinę zbyt pociągłą twarz albo charakterystyczny śpiewny akcent, zupełnie niepasujący do ziem, na których jeszcze parę lat temu słychać było tylko niemiecką mowę.

Możliwe też, że obcość kryła się w jej spojrzeniu – nawet kiedy się uśmiechała, jej oczy zdawały się przeszywać człowieka na wskroś. Tak, jakby potrafiły wejrzeć do ludzkiej duszy i zobaczyć to, kim człowiek jest naprawdę.

Mimo że minęła już dwunasta, dziewczyna spała i raczej nie śniło jej się nic dobrego, świadczyły o tym grymas na twarzy i szybkie ruchy gałek ocznych pod powiekami. Książka, którą musiała czytać, nim zasnęła, leżała na trawie pod jej nogami, a lekki wietrzyk targał strony.

Dziewczyna mogła mieć nie więcej niż dwadzieścia pięć lat, chociaż wieku dodawał jej widoczny już pod sukienką ciążowy brzuszek. To właśnie z jego powodu siedziała w gospodarstwie sama, podczas kiedy wszyscy domownicy, a także cała wieś uczestniczyli w niedzielnej mszy. Religijne pieśni z oddalonego o parędziesiąt metrów kościoła odbijały się echem między budynkami. Kobieta jako jedyna ze wsi nie brała udziału w nabożeństwie – nad ranem nie czuła się zbyt dobrze i bliscy, mimo jej sprzeciwów, kazali jej wypocząć.

– Musisz o siebie dbać – stwierdziła jej matka. – Ono będzie pierwsze z nowego pokolenia.

Nie musiała dodawać nic więcej. Nie chodziło wcale o to, że potomek będzie z pierwszego pokolenia, które nie zaznało wojny – tak by się mogło wydawać, ale nauczeni doświadczeniami poprzednich lat ludzie stali się bardziej pragmatyczni w swojej ocenie przyszłości.

– Będzie, co ma być – mówiła matka, kiedy w radiu rozprawiano o zagrożeniu z zachodu. – Jak polecą bomby, to będziemy odbudowywać.

Dziecko oznaczało jednak zapuszczenie nowych korzeni i budowanie nowej historii – co było szczególnie ważne tutaj, blisko tysiąc kilometrów od miejsca, które w myślach wszyscy wciąż nazywali domem.

Przyszła matka postanowiła skorzystać z chwili spokoju i odsypiała zdecydowanie zbyt wczesną pobudkę. Spała tak głęboko, że nie obudziło jej ani skrzypienie furtki, ani ujadanie uwiązanego przy budzie psa, które po chwili zmieniło się w pisk przerażenia i ucichło. Nie uniosła powiek nawet wtedy, kiedy zimny cień padł na jej ciało i przesłonił słońce – skrzywiła się tylko przez sen.

Dopiero trzask drzwi sprawił, że otworzyła oczy. Przez chwilę myślała, że to członkowie jej rodziny wrócili do domu, jednak z kościoła ciągle słychać było modlitwy. Męczyło ją przeczucie, że ktoś przed chwilą stał nad nią i się jej przyglądał. Drzwi ciągle chwiały się na zawiasach. Przeciąg?

Kobieta wstała z ławki i podeszła do drzwi, by je zamknąć. Chwyciła za klamkę i zesztywniała. W mroku korytarza wyraźnie dostrzegła ruch. Skuloną kobiecą postać, która teraz weszła do pokoju po lewej stronie.

Cyganka – przemknęło jej przez głowę. Mówiło się, że ostatnio Cyganie kręcą się w pobliżu. W sąsiedniej wsi ukradli podobno jedzenie z jakiejś chaty. Wykorzystali to, że w niedzielę cała wieś jest w kościele

i mogą z łatwością wchodzić do – z reguły niezamkniętych – domów. Zupełnie jak teraz.

Przezwyciężywszy strach, dziewczyna weszła do ciemnej sieni. Przeszła obok kuchni po prawej stronie i wejścia do pokoju dziennego po lewej. Parę kroków dalej były drzwi prowadzące do sypialni połączonej z pokojem dziennym.

Podeszła do nich i ostrożnie zajrzała do pokoju. Zgarbiona postać wchodziła właśnie do kolejnego pomieszczenia.

Dziewczyna nabrała powietrza w usta i wypuściła je powoli. Czuła, że serce zaraz wyskoczy jej z piersi.

– Proszę stąd wyjść! – krzyknęła. Ruszyła szybkim krokiem za kobieciną. – Proszę pani…

Kobieta drgnęła i się odwróciła.

Jej oczy zajmowały połowę twarzy. Usta otwarły się do krzyku, ale nie wydała z siebie żadnego głosu. Zniknęła, tak jakby nigdy jej nie było.

* * *

Nie da się znaleźć zbyt wielu relacji o tym, co działo się we wsi Przytoń, ale jeśli te, które utrwalono, są prawdziwe – wcale się temu nie dziwię. To dla polskiego odbiorcy szczególnie trudna historia.

> *Miejscowi niechętnie rozmawiają o nadprzyrodzonych siłach w ich okolicy. Usłyszeć za to można opowieści o dantejskich scenach, które miały tu miejsce tuż po wojnie. Według opowieści wiele osób straciło życie przy zasiedlaniu tych poniemieckich terenów. Straty odnotowywano po stronie ludności niemieckiej, jak i pionierów*[37].

Tak w „Strefie Tajemnic” portalu Onet.pl pisze o wsi Przytoń dziennikarka Małgorzata Maćkowiak. Czy w tym miejscu istotnie doszło do

zamieszek? Wyobrażam sobie tamte lata – zaraz po II wojnie światowej, kiedy przesiedlani z okolic Lwowa ludzie (zarówno Polacy, jak i Ukraińcy) trafiają na te ziemie. Wtedy jeszcze mieszkają tu Niemcy, którzy zostają wysiedleni dopiero parę lat później. Nie ma siły, by w takim wielonarodowościowym tyglu nie dochodziło do napięć, a tych ludzi dzieliła jeszcze przecież historia ostatnich lat wojny. W zastanej – pełnej strachu i niepewności – rzeczywistości konflikty były po prostu kwestią czasu.

Jak nietrudno się domyślić, przesiedlenia niewiele miały wspólnego z humanitaryzmem – zresztą wyrazy takie jak „przesiedlenie" czy „repatriacja" nie oddają zupełnie chaosu tamtych lat. W teorii polski przesiedleniec na nowych ziemiach miał dostać rekompensatę poniesionych kosztów – większy dom, więcej ziemi, większe możliwości. W praktyce często z pana znacznych ziem stawał się tylko ich użytkownikiem, a część sporów o prawa własności niektórych terenów trwa do dziś.

Kłopoty Kresowian zaczynały się już na początku ich drogi. Zgodnie z umowami polski przesiedleniec mógł zabrać ze sobą dwie tony bagażu na rodzinę. W ten sposób w latach 1944–1948 przewieziono 71 213 koni, 139 272 sztuk bydła, 34 991 świń, 50 586 owiec i 168 960 narzędzi rolniczych, jednak w lokalnych republikach i poszczególnych rejonach różnie interpretowano kwestię tego, co można było legalnie wywieźć, a co nie. Na ten przykład Litwini uważali, że wszelkie sprzęty domowe są meblami – w związku z czym próby wywiezienia na przykład materaca często kończyły się jego konfiskatą.

W zamian na przesiedleńców czekała wielka niewiadoma, a na ziemiach należących wcześniej do wschodnich Niemiec – obywatele narodu, który w ostatnich lata zgotował piekło Polsce, Europie i całemu światu.

Z terenów, na które przesiedlano ludność z Kresów, wysiedlonych zostało ok. 11 milionów (są źródła, które podają liczbę 14 milionów) Niemców, z czego w wyniku chorób, głodu i napaści zginęło około 1,5 miliona. Wśród zmarłych były kobiety, które popełniły samobójstwo z powodu gwałtu lub też poniosły śmierć z rąk swoich oprawców. Oszacowano, że pomiędzy czterdziestym piątym a czterdziestym ósmym rokiem blisko 10 milionów wysiedlonych Niemek zostało zgwałconych, czego skutkiem była rekordowa liczba przeprowadzanych aborcji – bo blisko 2 miliony.

Za gwałtami i przemocą wobec niemieckich kobiet stali głównie Rosjanie – jednak Polacy też nie byli bez winy. Nikt przecież nie jest idealny, niezależnie od tego, z jakiej nacji pochodzi. A kto jak kto, ale Polacy mieli prawo w tamtych latach pałać chęcią zemsty na Niemcach – za gwałty, zabójstwa, masowe mordy i nękanie. Czasami więc ta chęć zamieniała się w czyn.

Tak miało się wydarzyć również we wsi Przytoń w 1945 roku, w której duchy pomordowanych Niemców ciągle nie zaznały spokoju.

* * *

1 młockarnia, 1 sieczkarnia, 1 siewnik do zboża, 1 siewnik do nawozów, 1 wóz, 1 sanie, 1 motor elektryczny […] *dom mieszkalny, cztery izby. Meble, stodoła, stajnia, obora, parkany*[38].

I wszędzie ta sama adnotacja:

Stan obecny: Zły[39].

To stan zastany, z którym radzić sobie musiała jedna z rodzin z Kresów po przybyciu do Przytonia. Przeglądając protokół przekazania

gospodarstwa, nie mogę nie zauważyć – mało. Tyle dostała zamożna niegdyś rodzina spod Lwowa. Nie w ziemi, tej znalazło się 14 hektarów (z czego 11,25 hektara stanowiły grunty orne – jakość gleb: III stopień), to wystarczy, by obsiać, wziąć dla siebie, może nawet zarobić, jeśli byłby urodzaj. Ile majątku rodzina wzięła ze sobą – nie wiem, ale biorąc pod uwagę zapis o dwóch tonach bagażu, zapewne niewiele, w końcu sporą część tej wagi stanowił inwentarz: *1 koń, 1 krowa, 1 świnia, 1 owca.*

Z takim dobytkiem rodzina dociera wreszcie do wioski oddalonej od ich domu o ponad osiemset kilometrów. Tutaj zastają innych zesłańców, ludność polską i ukraińską, a także niemiecką – nie są to jednak dumni naziści, tylko biedacy proszący o jedzenie.

– O, ale wie pan, daliśmy im jeść, bo to ludzie. To trzeba mieć też serce, co człowiek winien, że tam Hitler wojnę rozpoczął… mój ojciec się nimi opiekował, tymi Niemcami. Tu, Niemka u nas mieszkała nawet, w tamtym pokoju.

Z rosnącą ciekawością słucham opowieści uśmiechniętej, ciepłej staruszki. To właśnie ona sześćdziesiąt lat temu, będąc jeszcze w ciąży, widziała ducha dziwnej starszej kobiety.

Jak się ma okazać – nie tylko jego.

* * *

Dlaczego duch starszej kobiety pojawił się w domu we wsi Przytoń? O jakich innych zjawach opowiedziała mi ostatnia mieszkanka wsi, która pamięta przesiedlenia? Do tego wątku jeszcze wrócę – zanim jednak to nastąpi, muszę odpowiedzieć sobie na inne podstawowe pytanie – dlaczego właśnie Przytoń?

Przesiedleńcy rozlokowani zostali na różnych ziemiach – Śląsk, Pomorze Gdańskie, Warmia czy Prusy Książęce, to tylko kilka przykładów.

Wszędzie mogło dochodzić do spięć między przybywającymi Kresowianami i na skutek zamętu, dokonanych mordów i gwałtów pojawiać się mogły zagubione dusze. Być może tak zresztą było, ale to właśnie o wsi Przytoń niedaleko Węgorzyna mówi się najwięcej.

Szukając odpowiedzi w historii tych ziem, natrafiam na interesującą wzmiankę – ziemie te w XVI i XVII wieku związane były ze szlacheckim rodem von Borcków, z którego pochodziła jedna z najsłynniejszych czarownic Europy – Sydonia von Borck, szlachcianka oskarżona o trucicielstwo, czary i kontakty ze złymi duchami, ścięta mieczem przy Bramie Młyńskiej Szczecina, a następnie spalona na stosie. Piszę o tym raczej jako o ciekawostce, ponieważ – poza ziemią – nie ma raczej związku między Sydonią von Borck a powojennymi nawiedzeniami Przytonia.

Musiało się wydarzyć coś, co wycisnęło piętno na tym miejscu. Trudno jest oczywiście znaleźć świadków tamtych wydarzeń – staruszka, z którą rozmawiałem, w 1945 roku była tylko małą dziewczynką, jej wspomnienia – chociaż nad wyraz klarowne – są wspomnieniami małej dziewczynki właśnie. Opierać się mogę więc tylko na relacjach z drugiej albo trzeciej ręki – a i do tych niełatwo dotrzeć.

Jeszcze nim przyjeżdżam do Przytonia, umawiam się z kobietą, której dziadek mieszkał w Przytoniu. Ona sama ma już ponad pięćdziesiąt lat. Spotykamy się w Warszawie, w jednej z kawiarni na Krakowskim Przedmieściu.

– Byli tacy, co się nad Niemcami litowali – mówi. – Ale byli i ci, którzy chcieli zemsty. No a tam w Przytoniu… wiele osób się panu o tym nie zająknie. Ani nic nie powie, bo to niewygodna wiedza. Zresztą, ci młodsi już nawet nic o tym nie wiedzą. Jak ludzie się w czterdziestym piątym zaczęli osiedlać, to we wsi było jeszcze trochę Niemców. Potem zostali

wywiezieni, ale zanim to się stało, paru gospodarzy z Kresów się zmówiło na tych Niemców…

– Ale nie rozumiem… co chcieli osiągnąć? – pytam. – Chcieli zabrać im dobytek? Odkuć się trochę majątkowo?

Moja rozmówczyni kiwa przecząco głową.

– To nie tak. Po prostu chcieli zemsty – na Kresach bardzo dużo ludzi zginęło, najpierw przez Rosjan, potem przez Niemców. Oni po prostu byli wściekli za to, co im tamci robili. Tylko że najłatwiej się mścić na słabych, wie pan.

Zaczynam mieć złe przeczucia, kiedy kobieta dokańcza ostatnie zdanie. *Mścić na słabych*. Co stało się we wsi Przytoń?

Moja rozmówczyni opowiada dalej. Jak pewnego razu nad ranem grupa gospodarzy weszła do domu, w którym mieszka niemiecka rodzina. Oczyma wyobraźni widzę, jak wyważają drzwi, słyszę, jak kobieta krzyczy coś po niemiecku, przestraszonym głosem. I słyszę głosy dzieci, małych – mają może osiem, dziesięć lat. Płaczą, kiedy widzą obcych ludzi, którzy wtargnęli do ich domu. Pada strzał, potem drugi i jedyną osobą, która teraz krzyczy, jest ta niemiecka kobieta. Zresztą, ona też niedługo milknie.

– Jak byłam mała, to dziadek się budził czasami w nocy i opowiadał, że przychodzą do niego te dzieci. Stoją u stóp jego łóżka i patrzą na niego. Nie płaczą ani nic nie mówią, po prostu patrzą.

* * *

Z takimi informacjami jadę do Przytonia. Nim schodzę do samej wioski, błądzę przez chwilę po starym niemieckim cmentarzu ukrytym pośród drzew za granicą zabudowań. Znajduje się on na niewielkim wzgórzu, z którego widać doskonale nie tylko całą wioskę, ale i jezioro Zajezierze – szczerze mówiąc, dziwię się, że nie ma tutaj żadnego ośrodka

wypoczynkowego, kurortu, piętnastu hoteli czy plaż z turystami – miejsce okazuje się piękne, urokliwe (być może właśnie dlatego, że nie ma turystów), a do chłodnej wody sam (gdyby nie to, że jestem tu w styczniu) chętnie bym wskoczył. Wygląda na to, że Przytoń to jedno z tych miejsc, w których od lat niewiele się zmienia i czas płynie odrobinę wolniej.

Takie też mam wrażenie, kiedy chodzę po wsi – nisko nad dachami domostw snuje się dym, zabytkowy kościół jest zamknięty, na ulicy nie ma ani jednej osoby. Pusto, cicho, chłodno i spokojnie. Przytoń nie wygląda wcale jak miejsce nawiedzone – to jedna z tych wsi, które mijamy, nawet nie mając o tym pojęcia, gdy pędzimy po drogach szybkiego ruchu. Kiedy tu przebywam, cały zewnętrzny świat wydaje mi się odległy – podobnie czułem się w Turzy Wielkiej, z tą różnicą, że tam wieś była jakby enklawą poza światem, do której ten wdarł się medialnym gwarem i gwałtem. Przytoń jak najbardziej jest częścią świata – po prostu to ta jego część, której zwykle się nie zauważa.

Ludzie tutaj niechętnie mówią o przeszłości – wielu mieszkańców mówi mi otwarcie, że nie mogą nic powiedzieć, ponieważ są za młodzi. Kiedy pytam o to, czy słyszeli o zjawiskach paranormalnych, wszyscy wskazują na jeden dom.

– Mieszka tam taka starsza pani. Nikt panu więcej nie powie o tym, co się tutaj dzieje, niż ona – mówi mi jedna z sąsiadek.

Kiedy przechodzę przez otwartą furtkę, nie wiem jeszcze, że za chwilę spotkam osobę, o której czytałem i słyszałem na długo przed przyjazdem do Przytonia. Wtedy wyobrażałem ją sobie jako młodą kobietę w ciąży, dzisiaj to starsza pani, która patrzy na świat z właściwym wiekowi pobłażaniem.

* * *

Zanim zdążam zapytać o zjawiska paranormalne, kobieta zaczyna snuć opowieść o swojej rodzinie. O tym, że pamięta jeszcze – chociaż była małą dziewczynką – jak to było żyć w Kuropatnikach, niedaleko Lwowa, kiedy Ukraińcy mordowali Polaków – opowiada mi o tym, że z samej jej rodziny czternaście osób zostało zabitych przez ukraińskich nacjonalistów. Kiedy przyszedł rozkaz o przesiedleniu, jej rodzina miała dwie opcje – zostać, ale od tej pory uznawać siebie za Rosjan, albo wyjechać. To jej ojciec zadecydował o wyjeździe i porzuceniu majątku. Wszystko po to, by dalej móc się nazywać Polakiem.

16 sierpnia 1945 roku Michał wraz z rodziną zajmuje gospodarstwo we wsi Przytoń, w gminie Klauszewo. Tu dorasta jego córka, która teraz siedzi przede mną i opowiada znaną mi już historię o duchu starszej kobiety.

– Nie bała się pani? – pytam.

– Nie, to nie pierwszy raz, jak widziałam dusze. Ja się bardziej przestraszyłam tego, że to jest Cyganka i że będzie chciała coś ukraść. No a potem mi mama powiedziała, że ona tą panią widywała częściej i żebym się nie bała, bo ona nikomu nic nie zrobiła, tylko tak chodzi od pokoju do pokoju.

Kim była tajemnicza postać? Na to pytanie też znajduję odpowiedź – chociaż niepełną.

– Parę lat później przyjechała do nas niemiecka rodzina, poszukiwali miejsca, gdzie mieszkali ich przodkowie. I jak im opisałam tą panią, byli bardzo zdziwieni, bo to była ich babcia, a ja przecież nie mogłam jej znać, bo umarła, zanim się wprowadziliśmy. Oni mówili, że ona miała taki zwyczaj, że chodziła od pokoju do pokoju z dzieckiem, żeby nie płakało. No i tak pewnie też robiła po śmierci. Po tym, jak ją zobaczyłam, to mama wezwała księdza, który przyszedł, pokropił i już nigdy więcej jej nie widziałam.

A więc został odprawiony egzorcyzm, chociaż sam duch nie był nieprzyjazny, a po prostu zagubiony – takie najczęściej są duchy, czy też – jak nazywa je siedząca przede mną kobieta – dusze.

Historii o tego typu spotkaniach słyszy się sporo. Jedną z nich opowiedział mi mój bliski znajomy – jechał pustą szosą przez las w okolicach Zakopanego. Zapadła już noc, dojeżdżał właśnie do reszty rodziny, która już od tygodnia była na wczasach. On musiał zostać w mieście dłużej, ponieważ pracodawca nie mógł mu zaoferować innego terminu urlopu. Wakacyjna księżycowa noc i pusta droga przez las. Gra radio, znajomy z każdym kilometrem jest w coraz lepszym humorze – w końcu rozpoczyna upragnione wakacje. Na poboczu widzi autostopowicza, który macha do niego ręką. Zatrzymuje się – przecież nikt nie powinien włóczyć się po nocy po poboczu.

Autostopowicz wsiada na siedzenie z tyłu. To zupełnie zwyczajnie wyglądający chłopak, ma może dwadzieścia lat. Student. To, co dziwi, to to, że nie ma plecaka. Znajomy uznaje, że to po prostu młodziak z którejś z okolicznych wsi, który po zabawie wraca do domu. Pyta go, dokąd jadą, lecz nie uzyskuje odpowiedzi. Spogląda w lusterko i widzi, że jego pasażer rusza ustami, ale nie wydobywa się z nich żaden dźwięk. Patrzy tylko tępo przed siebie, a potem znika. Tak po prostu, a kierowca czuje, że musi zjechać na pobocze, bo robi mu się słabo.

Później wraca w to samo miejsce, by odkryć przydrożny krzyż. Kiedy szpera w Internecie, okazuje się, że ofiarą śmiertelnego potrącenia był właśnie ten chłopak.

To brzmi trochę jak historia rodem z internetowej creepypasty, czyli krótkiej fikcyjnej opowieści powstałej na motywach relacji o nawiedzonym miejscu. Popularność takich historyjek bierze się właśnie stąd, że część

z nich jest tak bardzo do siebie podobna. Wszystkie łączy jedno – dusze, które nie wiedzą, że umarły.

Zastanawia mnie, jak dziwny musi być świat z perspektywy takiego ducha. Czy gdybym ja umarł i nie wiedział, że umarłem, zachowałbym pełną świadomość i mój świat byłby idealną kopią, iluzją rzeczywistego – zaś tylko innym ludziom jawiłbym się jako widmo, coś jak parę klatek z długiego filmu? Jeśli tak, skąd pewność, że właśnie teraz nie jestem martwy? Nie można też zapominać o innej opcji – być może śmierć przypomina sen, a dusza nie ma pełnej świadomości i błądzi, wytrącona ze swojej „gęstości", ukazując się różnym osobom.

Jest jeszcze trzecia możliwość. Mówi mi o niej moja znajoma okultystka, Z., która kiedyś pomagała mi już przy okazji sprawy z innego nawiedzonego miejsca. Spotykamy się w jej mieszkaniu, pełnym zapachu kadzidełek. Ma opuszczone żaluzje, przez które nie przedostaje się zbyt wiele światła.

– Może być jeszcze tak, że to, co widzisz, to tak naprawdę nie jest duch.

Nie udaję zdziwienia. Co innego mogłoby się w ten sposób pokazywać? Demon? Z. śmieje się z moich przypuszczeń.

– Nie, demony chcą wyssać twoją energię. Chcą, byś się bał, bo to najłatwiejsze, by cię „otworzyć". Nie, to, co widzisz, to może być po prostu swego rodzaju… zapis. Coś jak prześwietlona klisza aparatu, kiedy dwa obrazy się na siebie nakładają, mimo że tych dwóch rzeczy nie ma tak naprawdę w jednym miejscu. Tak swoją drogą, dzięki temu sposobowi dokonano paru fałszerstw fotografii mających przedstawiać duchy… ale wracając do sprawy, to, co widzisz, to byłby właśnie taki zapis, na przykład szczególnie ważnych emocjonalnie chwil albo ostatnich sekund życia. Coś takiego zostawia ślady i są osoby, które mogą takie rzeczy zauważyć. Są po prostu bardzo wrażliwe. Nazywamy ich często „medium" i myślą, że widzą

dusze zmarłych, a to jest po prostu kwestia interpretacji. Czym to tak naprawdę jest, może jakąś właściwością mechaniki kwantowej, albo czymś jeszcze innym, nie wiem. Ale niekoniecznie muszą być to duchy. W tym temacie trzeba pamiętać, by wszystko interpretować bardzo, bardzo ostrożnie, pamiętaj o tym.

Wziąłem sobie radę Z. mocno do serca – poruszam się cały czas w sferze domysłów, nie jestem więc w stanie jednoznacznie określić niczego. Jedyne, co mogę zrobić, to dopuszczać możliwość. Dopuszczam zatem możliwość, że moja rozmówczyni widziała coś więcej – może duszę, może prześwietloną „kliszę" ze starej fotografii, ale ciekawe jest to, że nie był to wcale jedyny raz, kiedy starsza pani była świadkiem czegoś niezwykłego. Ale nim mi o tym opowie, pytam ją jeszcze o coś, co nie daje mi spokoju – czy w Przytoniu dochodziło do morderstw na Niemcach?

Na pewno spotykali się z pogardą i zawiścią. Staruszka wspomina, że w jednej z izb, zanim Niemcy zostali wysiedleni, mieszkała z jej rodziną Niemka.

– Pewnego dnia przyszedł rozkaz, no i oni się zgromadzili wszyscy pod budynkiem, zaraz obok kościoła, bo ich mieli wywieźć. No i mama napiekła takich różnych ciastek i dała mojej Niemce, bo tu Niemka taka u nas mieszkała. No i wzięła ta Niemka to wszystko coby tak na plecy, bo było nawet dużo tego wszystkiego i tu gospodarz taki, co mu było Berkowicz, odebrał tej Niemce wszystko, no i ja pobiegłam do ojca i mówię, że Berkowicz wszystko naszej Niemce zabrał. No i ojciec mówi: „No i co, ja nie pójdę bić się z nim". No i nic ta Niemka nie miała.

Drążę dalej, czy dopuszczano się mordestw.

– Ja bardzo dobrze pamiętam, tu byli Niemcy, ale Niemców nikt nie mordował, to nieprawda. Tu takie chłopaki przychodzili i mówili: „Leba, leba" i ojciec im dawał chleba i zawsze coś do chleba.

Czy to zaprzeczenie wcześniejszych rewelacji? Mam przed sobą ostatnią osobę, która dokładnie pamięta to, co działo się tutaj w 1945 roku. Czy całą opowieść wyssano z palca? Może być też tak, że moja rozmówczyni nie wie wszystkiego – była w końcu jeszcze dzieckiem. Jednak po chwili zastanowienia staruszka kontynuuje:

– Ale! Było dwóch takich niemieckich chłopaków, ojciec ich wspomagał, chociaż sam był ranny i miał pocisk pod sercem… no i była taka stodoła, i wyszedł taki niemiecki chłopak, i jeden… no go zastrzelił. On chyba tylko chciał jeść, ale go zastrzelił i zakopał koło drogi. Bardzo nas serce bolało, bo to tylko dziecko było. Tylko dziecko. To taki ORMO-wiec był, on go zastrzelił, tego chłopaka.

– ORMO-wiec? – pytam. – Ale Polak czy Ukrainiec?

– No Polak.

Czy dotarłem do *clou* problemu? A może takich incydentów było więcej? Czy mam wierzyć we wcześniejszą relację, którą usłyszałem od mojego warszawskiego źródła? Nie muszę. Ale – wzorem moich rozważań o duchach – mogę dopuścić taką możliwość. Cała ta opowieść daje mi jednak do myślenia – dopiero teraz zaczynam czuć, jak bardzo złe i wykrzywione były czasy II wojny światowej. Z jednej strony Rosjanie, którzy zabijają od wschodu, z drugiej Niemcy, którzy mordują na zachodzie. Później znów Niemcy – przetaczają się przez ziemie Kresów, mordując i gwałcąc, potem spychają ich Rosjanie – oni również gwałcą, palą i niszczą. Wtedy pojawiają się ukraińskie bojówki, urządzają rzeź na Wołyniu i na całych Kresach. A kiedy wypędzona stamtąd ludność odnajduje nowe ziemie, sama zaczyna mordować i wkrótce ochoczo dołączają do niej czerwonoarmiści, którzy również dokonują rzezi. A na zachodzie już czeka armia USA – trudno mi jest myśleć, że Amerykanie byli nieskazitelni, bo przecież nie byli. Robili dokładnie to samo – 14

tysięcy Francuzek czy 190 tysięcy zgwałconych Niemek to statystyki, które i tak nie oddają w pełni tego, czego „wyzwoliciele” dopuszczali się na wyzwalanych ziemiach.

Utkwiła mi w głowie anegdota, którą w swojej książce opisuje David Kenyon Webster, żołnierz słynnej „Kompanii braci” – o dwóch Amerykanach, którzy – ponieważ byli zbyt pijani, by odbyć stosunek – zostali pod płaszczem nocy „zastąpieni” w trakcie „zabawy” przez dwóch innych żołnierzy:

> *Mały rozpiął pas, spuścił spodnie i slipy, a dziewczyna westchnęła gorzko, uniosła sukienkę i położyła się na sianie. Jej przyjaciółka zrobiła to samo, obie przywykły do usługiwania żołnierzom. Niebawem stodołę wypełnił charakterystyczny, podwójny odgłos*[40].

To były lata niczym nieuzasadnionej agresji i zezwierzęcenia – z czym również spotkała się moja rozmówczyni i to wtedy, jako dziecko, po raz pierwszy zobaczyła ducha.

Działo się to jeszcze na Kresach. Kobieta, wtedy jeszcze dziewczynka, znalazła się po prostu w nieodpowiednim miejscu w nieodpowiednim czasie. Poszła nad rzekę – było gorąco, chciała się wykąpać. Pech sprawił, że spotkała tam dwóch chłopców – w zasadzie już prawie mężczyzn. Niemcy. Złodzieje, bo byli świeżo po kradzieży złotego łańcuszka z jednego z gospodarstw. Musieli pilnować, żeby nikt ich nie zobaczył w okolicy wsi.

Kiedy tylko zobaczyli dziewczynkę, zdecydowali się ją zabić. Schwytanie jej nie było trudne – nie miała szans uciec. Jeden z nich wziął ją pod ramię, zaciągnął na środek rzeki i zanurzył w wodzie. Raz, drugi, trzeci. Szarpała się i wiła. W końcu zaczęła się modlić. Wtedy chwyt się poluzował – na brzegu ktoś stał. Mężczyzna, który zawołał chłopców

i zaczął z nimi rozmawiać. Dziewczynka nie rozumiała, co mówią, ale po chwili obaj, nie odwracając się, odeszli.

Czy była to dusza, która ją uratowała? Swego rodzaju duch opiekuńczy? Do tej pory historia wygląda raczej jak interwencja jakiegoś nieznajomego. Jednak zaraz później mężczyzna pomaga dziewczynce wyjść na brzeg. Ta z wdzięczności i strachu przytula się do niego, obejmując go za nogi. Po paru sekundach zdziwiona zdaje sobie sprawę, że obejmuje rękami powietrze – kimkolwiek był jej wybawiciel, zniknął w ułamku sekundy.

Czy to sen zinterpretowany jako wspomnienie? Przywidzenie dziecka? Być może, ale nie był to jedyny raz, kiedy moja rozmówczyni widziała takie zjawisko – już jako dorosła kobieta na rozstaju dróg w Nowogardzie zobaczyła mężczyznę, który w pewnym momencie zniknął. Tak po prostu.

Znów – można mówić o przywidzeniu. Może coś ją rozproszyło i odwróciła wzrok? Cały czas próbuję racjonalnie oceniać snutą przez tę kobietę opowieść, ale wtedy opisuje mi kolejne wydarzenie ze swojego życia, którego już nie potrafię wytłumaczyć.

* * *

Zbliżała się północ, kiedy kobieta wychodziła z pracy. Pracowała w bibliotece miejskiej w Szczecinie i często późno wracała do domu. Czasami nawet sama zostawała po godzinach, by przy okazji katalogowania książek poczytać sobie jedną z nich. To właśnie te historie pomagały jej zapomnieć o otaczającej ją szarej rzeczywistości. Świat, w którym żyła, nie był taki, jaki być powinien. Po wojnie miało nastać coś nowego, lepszego. Wyszło jak zwykle.

Czasami myślała nad tym, by uciec. Tuż obok było NRD, stamtąd podobno ludzie przedostawali się do RFN-u i dalej. Ale jak uciekać z małym dzieckiem i zostawić rodzinę? I kiedy? Czuła, że straciła już swoją

szansę – gdy w Berlinie stanął mur, ostatnia luka, przez którą można się było przedostać, została zamknięta. Gdyby nie miała dziecka, gdyby była mężczyzną, gdyby… zdusiła w sobie myśli i zamknęła drzwi na klucz. Rozejrzała się – na słabo oświetlonych ulicach Szczecina panowały pustki.

Tego dnia do późna trwała „odprawa", zebranie pracowników, podczas którego omawiane były plany na kolejny rok. A że większość z nich miała co do siebie koleżeński stosunek, zagadali się trochę. Teraz, po pożegnaniu z koleżanką, moja rozmówczyni jako ostatnia wychodziła z budynku.

Zawiał wiatr i kobieta poczuła, jak przenika ją mokry chłód.

Do domu – pomyślała. *Do ciepła*.

Ruszyła przed siebie. Minęła dwie przecznice, wszystkie puste. Odgłos jej kroków odbijał się od ścian odrapanych szarych kamienic. Wtedy go zobaczyła – stał w bezruchu na skrzyżowaniu ulic. Był ubrany w staromodny frak z białymi mankietami. Mógł mieć ponad dwa metry, wysoki i chudy, ze zbyt długimi rękami przypominającymi konary drzewa. Przystanęła, czując znajome ciśnienie w skroniach, serce zaczęło jej szybciej bić. Strach – paraliżujący ją i przenikający tak jak przed chwilą chłód. Tyle że nie czuła już zimna – było jej gorąco, skóra wręcz ją parzyła.

Odwrócił się do niej powoli. Już raz widziała takie oczy – zajmujące pół twarzy, wielkie i bardzo, bardzo smutne. Widziała, jak płyną z nich łzy. Wiedziała też, że mężczyzna chce, by ona za nim poszła – postąpiła krok do przodu. Jeden.

Potem się obróciła i nie patrząc za siebie, uciekła.

* * *

Nie trzeba znawcy, by stwierdzić, że jeśli staruszka przez całe swoje życie widziała różne rodzaje dusz i zjawisk, musi być medium. Ona sama tak tego nie postrzega – dla niej jest to po prostu coś, czego czasem

doświadcza. Dusze stanowią potwierdzenie tego, że nie musi bać się śmierci. Gdy ze mną rozmawia, sprawia wrażenie odprężonej – zgaduję, że w jej wieku można pozwolić już sobie na traktowanie życia z przymrużeniem oka. Zwłaszcza kiedy pomyślę o tym, ile przeżyła – wojnę, rzeź na Kresach, komunizm. Na oczach tej kobiety kształtowała się historia XX wieku. Dlatego kiedy pytam, czy się boi, reaguje serdecznym śmiechem. Podobnie zachowuje się, kiedy pytam ją o duchy Przytonia. Śmieje się, ale potakuje.

– A są – mówi. – Znam takie historie.

Pierwsza z nich opowiada o duchu, który każdej nocy przychodzi do wsi ze starego niemieckiego cmentarza, na którym dopiero co byłem. Nie wiadomo o nim zbyt wiele, poza tym, że z początku nigdy nie wygląda jak człowiek – później dopiero przybiera ludzką formę. Jest nieszkodliwy, spaceruje ulicami wsi, potem wraca na miejsce spoczynku. Nie sądzę, żeby był powiązany z morderstwami, tak samo jak duch z drugiej historii, która jednak wzbudza we mnie większe zainteresowanie.

Jedna z mieszkanek Przytonia poszukiwała złota, które zakopał gdzieś jej zmarły mąż. Któraś z sąsiadek Ukrainek poradziła jej, aby ta o północy poszła na pobliskie wzgórze, na cmentarz, i wtedy duch męża jej się ukaże i powie, gdzie ukrył kruszec.

Tu się wtrącę w opowieść, bo zapewne w tym momencie brzmi jak początek jakiejś legendy, ale zakopane złoto nie powinno nikogo dziwić – to właśnie ono albo inne drobne kosztowności stanowiły o majątku przybywających tutaj Kresowian. Niektórzy postanowili swoje drogocenności zabezpieczyć, inni trzymali je w domu, ryzykując to, że zostaną okradzeni, tak jak okradziona została rodzina mojej rozmówczyni – niedługo po tym, jak przybyli na te ziemie, jedna z ich niegdysiejszych sąsiadek okazała się złodziejką. Podczas ich nieobecności przywłaszczyła

sobie wszystkie kosztowności, jakie tylko znalazła, a kiedy nie mogła już znaleźć więcej, wzięła również drewniane wiadra – z nimi przydybał ją gospodarz i po odebraniu ich zaczął ją nimi okładać. Sprawę oczywiście zgłoszono na milicję – ale kiedy lokalny przedstawiciel władz zapoznał się z sytuacją, zapytał tylko, czy pan Michał dołożył wszelkich starań, by wymierzyć złodziejce odpowiednią karę. Staruszka śmieje się, opowiadając mi tę historię – ale mimo wszystko jej rodzina nigdy nie odzyskała już tamtych kosztowności.

Tu wracam do opowieści o duchu – zakopywanie tego, co uznawało się za szczególnie cenne, w sobie tylko znanym miejscu mogło być zaraz po wojnie jedynym gwarantem, że takie „zabezpieczenie finansowe" dotrwa do spokojniejszych czasów.

Kiedy kobieta z naszej opowieści weszła o północy na wzgórze cmentarne, zobaczyła bezpańskiego psa, który zaczął prowadzić ją w dół, w stronę jeziora. Z początku myślała, że w psa wcielił się duch jej małżonka, i próbowała z nim rozmawiać. Jednak przedłużające się milczenie i brak reakcji sprawiły, że zaświtała jej w głowie inna myśl – może to wcale nie jej mąż, może duch, który ją prowadzi, wcale nie jest dobry. W pewnym momencie przestała rozpoznawać okolicę, w której się znalazła. Powiedziała więc o tym, że chciałaby wrócić do domu – pies raz jeden obejrzał się na nią, a potem zawrócił i zaprowadził ją pod jej własne drzwi.

Czy mógł to faktycznie być jej mąż? A może kobieta po prostu spędziła noc, włócząc się po wsi za zwykłym bezpańskim kundlem? Pies ponoć nie wyglądał wcale jak zwyczajne zwierzę – był dwakroć większy.

Chociaż ani moja rozmówczyni, ani tym bardziej bohaterka tej historii o tym nie wiedziały, opowieść o demonicznym psie nie jest niczym nowym, jeśli chodzi o aktywność paranormalną. Wręcz przeciwnie – to zjawisko

bardzo często spotykane na całym świecie, w związku z czym ma przeróżne nazwy. We wschodniej Anglii zwą go Black Shuck – to sporych rozmiarów pies o czerwonych oczach bądź też jednym oku ulokowanym na przedzie łba, zwykle tylko przypatruje się wędrowcom albo ich straszy, atakuje jedynie w niektórych przypadkach. Tu za przykład posłużyć może opis masakry z Bungay, do której doszło 4 kwietnia 1577 roku. To była niedziela, więc mieszkańcy zgromadzili się w kościele na nabożeństwie – wkrótce rozpętała się burza, zerwał się wiatr i do budynku wszedł wielki czarny pies otoczony płomieniami. Wybuchła panika. Pies rozszarpał dwie osoby i zburzył kościelną wieżę, po czym zniknął. Pamiątką po jego wizycie są przypalone północne drzwi świątyni.

W Anglii Północnej snuje się opowieści o Barghestach, które nocami chronią niewinnych, ale są również postrzegane jako zwiastuny nieszczęścia i śmierci. Szkoci nazywają tego demona Cù-sìth (bardzo podobnie do irlandzkiego demona cú sídhe) i od poprzednich odróżnia go tylko to, że to jego głośne szczekanie wzbudza grozę – demon ten szczeka trzy razy, na tyle donośnie, że słychać go w promieniu wielu mil, a na tego, kto przed ostatnim szczeknięciem nie schroni się w bezpiecznym miejscu, spadnie klątwa. Interesujące, że podobne byty znaleźć można także w opowieściach z Ameryki Środkowej – tu nazywa się je Cadejo – występują jako biały i czarny pies. Biały jest duchem opiekuńczym, pomagającym podróżnym i zagubionym. Czarny natomiast atakuje nieszczęśliwców i bezlitośnie zabija.

Sam również badałem parę lat temu przypadek „człowieka-psa” z Nowej Huty. Podobno starszy mężczyzna, o którym mowa, nie poddał się nakazowi opuszczenia swojego domu. Objęto nim wszystkich mieszkających na terenach mających wkrótce stać się nowym socjalistycznym miastem. Legenda mówi o tym, że kiedy przyszła po niego

milicja, starzec pogryzł paru funkcjonariuszy i uciekł do niedalekiego lasu. Nigdy go nie odnaleziono, jednak co jakiś czas widywano starego człowieka, otoczonego sforą psów, który również zmieniał się w psa i atakował robotników albo milicjantów.

Nie znalazłem w Nowej Hucie żadnych przesłanek świadczących o tym, że „człowiek-pies" ukazuje się tam po dziś dzień. Być może nawet niektóre zjawiska paranormalne nie miały takiej mocy, by wygrać z komunizmem.

Trudno jest dzisiaj traktować opowieści o demonicznych psach poważnie – a jednak nie mogę zignorować faktu, że doniesienia o nich napływają z całego świata. I tu, we wsi Przytoń, również znajduję ślad takiej aktywności.

Większość historii, które opowiedziała mi staruszka – chociaż tyczy się wydarzeń paranormalnych – nie nawiązuje bezpośrednio do działań Kresowian po tym, jak zostali zesłani na te tereny. Czy zatem opowieści o duchach zamordowanych Niemców ukazujących się w Przytoniu są prawdziwe? Mam podstawy, by uważać, że nie – wiem również, że Przytoń jest miejscem cechującym się aktywnością paranormalną. Brakuje mi jeszcze jednego kawałka układanki. Odnajduję go niespodziewanie miesiąc po wizycie w gminie Węgorzyno.

– Byłem w Przytoniu – opowiada mi przez telefon Marek. Szybko przechodzimy na ty, bo jesteśmy w podobnym wieku. Marek jest tylko parę lat starszy. – Razem z żoną byliśmy w podróży i postanowiliśmy zatrzymać się gdzieś w tamtych okolicach na noc. To było parę lat temu. No i do tej pory nie wiem, co mam o tym sądzić. Jak przyjechaliśmy, to wszystko było super. Miejsce super, spokój, jeziorko, nawet sobie pomyśleliśmy, że może zostaniemy tam parę dni…

* * *

Pierwsza obudziła się Ania. Przez chwilę leżała w łóżku, nasłuchując czujnie – nic jednak nie słyszała. Oprócz spokojnego oddechu jej męża obok pokój, który wynajęli, wypełniała niczym niezmącona cisza. Nic w tym dziwnego, miejsce, w którym się zatrzymali, okazało się oazą spokoju. Miejscem, w którym mogli zapomnieć o tłumach turystów, rozwrzeszczanych dzieciach czy muzyce z dudniącymi basami dobiegającej z najbliższego pola namiotowego.

Sądząc, że to właśnie cisza – do której nie nawykła – ją obudziła, kobieta poprawiła poduszkę i znów ułożyła się wygodnie do snu. Kiedy tylko zamknęła oczy, usłyszała wyraźne stuknięcie. Jedno, potem drugie i trzecie.

Usiadła na łóżku. Odgłos, który w ciągu dnia nie wzbudziłby w niej żadnych podejrzeń, teraz sprawił, że z niezrozumiałych powodów cała trzęsła się ze strachu. Obudziła męża, delikatnie nim potrząsając.

– Co… co się dzieje?

– Cicho! Słyszysz?

Bardziej poczuła, niż zobaczyła, jak siada obok niej na łóżku, w ciemności. Przez chwilę znów panowała cisza.

– Nic nie słyszę… – zaczął mężczyzna i przerwał, bo stukanie się powtórzyło. – To stary dom, pewnie wiatr coś rusza – szepnął niepewnie. – Zostań, ja zobaczę.

– Chyba żartujesz!

Wstali oboje, żeby poszukać źródła dźwięku. Im bliżej byli okna, tym głośniejszy się stawał, i już po chwili było wiadomo, że dochodzi właśnie zza niego. Podeszli oboje i odsunęli zasłony.

Noc była ciemna, bezksiężycowa. W świetle gwiazd nie widzieli zbyt dużo – zarysy drzew, krzaków, w oddali ciemne wody jeziora. Świat

wyglądał, jakby był zamrożony – nic się nie ruszało, nawet najmniejszy listek na drzewie nie drgnął, poruszony wiatrem.

– Marek! – szepnęła kobieta. – Marek!

Przez chwilę nie rozumiał, na co patrzy. To, co wcześniej brał za krzaki, okazało się ludźmi. Pięcioro dzieci stało w niedalekiej odległości od ich okna i patrzyło się na nich wielkimi, zajmującymi połowę twarzy oczami.

Oboje cofnęli się do środka, zasłony opadły z powrotem na okno. Kiedy mężczyzna wyjrzał przez nie po raz drugi, po dzieciach nie było ani śladu.

* * *

Przytoń zazdrośnie strzeże swoich sekretów, a różne opowieści o manifestujących się tam zjawiskach paranormalnych faktycznie mogą wzbudzać zainteresowanie. Tym bardziej dziwi mnie fakt, że tak mało osób słyszało o tym miejscu. Być może duchy to jednak nie wszystko i powodem „niepopularności” jest mroczna i niechlubna przeszłość tej wsi.

Historia i wydarzenia paranormalne często są ze sobą powiązane i duchy Przytonia będą nam ciągle przypominać o tym, co się tam stało.

---

[37] M. Maćkowiak, *Przytoń i jego tajemnice*, https://facet.onet.pl/strefa-tajemnic/przyton-i-jego-tajemnice/x12ltr8?utm_source=facet.onet.pl_viasg_facet&utm_medium=referal&utm_campaign=leo_automatic&srcc=ucs&utm_v=2 [data dostępu: 19.04.2020].

[38] Protokół przekazania repatriantowi gospodarstwa w posiadanie przez Państwowy Urząd Repatriacyjny, 16.08.1945.

[39] Tamże.

[40] D.K. Webster, *Kompania spadochronowa*, Warszawa 2011, audiobook, https://www.youtube.com/watch?v=kr8pLXjP2G4 [data dostępu: 12.04.2020].

ZAGADKA NAWIEDZONEGO KOMISARIATU

Było już po północy, kiedy funkcjonariusz policji pełniący nocny dyżur w komisariacie przy ulicy Niecałej 19 w Konstancinie-Jeziornie postanowił, że może sobie pozwolić na sen. Było mało prawdopodobne, że w małej miejscowości pod Warszawą akurat tej nocy wydarzy się coś, co wymagałoby natychmiastowej interwencji policji. Jeszcze mniej prawdopodobne było to, że stanie się to pomiędzy godziną dwunastą a czwartą rano, a nawet jeśli, dzwonek telefonu lub domofon przy drzwiach natychmiast by go obudził.

W dyżurce nie było dużo miejsca, ale policjantowi jakimś cudem udało się ustawić obrotowy fotel tak, że mógł odchylić się na nim do tyłu, wyciągnąć nogi i oprzeć je o blat biurka. Przygasił światło – teraz świeciła się już tylko mała biurowa lampka. Przez chwilę żałował, że nie ma przy sobie walkmana ani chociażby tej nowej zajawki dzieciaków – odtwarzacza MP3. Nocą na komisariacie panowała nieprzyjemna cisza, przerywana tylko skrzypieniem starych drewnianych elementów budynku. Nigdy nie lubił być tutaj sam – było w tym miejscu coś, co sprawiało, że czasami miał ciarki.

Do diabła, ucieszyłbym się nawet z zamkniętego w celi pijaczka do towarzystwa – pomyślał.

Czasem starsi koledzy śmiali się, że nocą można tu usłyszeć duchy – funkcjonariusz był jednak zdania, że za te dźwięki odpowiadają raczej szczury, których z pewnością tu nie brakuje. Tak naprawdę nie wiedział, ile

budynek komisariatu może mieć lat – wyglądał jednak staro. Przed wojną na pewno mieszkał tu ktoś zamożny. W wolnej Polsce budynek powoli niszczał, ponieważ „firma” nie miała pieniędzy, by pozwolić sobie na jakąkolwiek renowację. W zasadzie już teraz ten obiekt nie nadawał się do użytku – i nie chodziło tu wcale o to, że w niektórych miejscach rozpadał się parkiet, ze ścian zaczął się sypać tynk, a instalacja elektryczna co jakiś czas przestawała działać. To jeszcze dało się przeżyć. Gorzej, że ubikacja ciągle się zatykała, a okna były tak nieszczelne, że zimą – jak teraz – w środku temperatura dochodziła może do piętnastu stopni. I to jedynie w stróżówce, tylko dlatego, że na podłodze stała farelka, która grzała nieprzerwanie od dwudziestu godzin. Mężczyzna modlił się, żeby instalacja elektryczna wytrzymała to obciążenie.

Otworzył oczy. Przez chwilę wydawało mu się, że słyszy, jak coś stuka o parkiet na pierwszym piętrze. A może to było na zewnątrz?

Pochylił się w stronę okna i uchylił firankę. Na zewnątrz nie zobaczył nic prócz lekko prószącego śniegu, tańczącego w brudnożółtym świetle latarni ulicznej. Jedynej w promieniu parudziesięciu metrów. Odgradzało go od niej parędziesiąt metrów ogrodu. Biegnąca do wejścia ścieżka, którą odśnieżył wieczorem, kiedy rozpoczynał pracę, zdążyła się już z powrotem pokryć śniegiem, tak jak wysokie drzewa okalające działkę.

Nagle mężczyzna poczuł się bardzo mały, odgrodzony od świata na jedynej wyspie ciepła, wśród śnieżnych zasp i ciemności nocy.

Nagły hałas sprawił, że aż podskoczył. Coś – niewątpliwie cięższego od szczura – spadło na parkiet w pomieszczeniu na piętrze, dokładnie nad nim.

Co to było? – zapytał jakiś przestraszony głos w jego głowie.

Policjant dawno nie słyszał tego głosu. Pierwszy raz był chyba w dzieciństwie, kiedy porzucone na krześle ubrania w ciemności zdawały się przypominać wpatrzoną w niego twarz. Ostatni raz, kiedy wiózł swoją

rodzącą żonę do szpitala. Wtedy nie dał się obezwładnić – był dorosłym człowiekiem i już nie wierzył w twarze, które pojawiają się w ciemności po zgaszeniu światła.

Dlatego uspokoił oddech i wyprostował się na krześle. Raz jeszcze zerknął za okno – tym razem czujnie, badawczo. Potem zaczął nasłuchiwać.

Parkiet na pierwszym piętrze, tuż nad nim, zatrzeszczał. *Szczury* – pomyślał. Kroki. Wyraźny stukot ciężkich butów. Mężczyzna zesztywniał. To niemożliwe. Żeby dostać się na pierwsze piętro, trzeba było przejść koło niego albo sforsować drugie, boczne wejście. Nikt nie przemknąłby się niezauważony.

Tymczasem kroki dobiegały już z innego miejsca. Cokolwiek to było, przeszło przez pokój i skierowało się w stronę starych drewnianych schodów. Teraz do uszu dyżurującego funkcjonariusza coraz wyraźniej docierały pojedyncze ciężkie tupnięcia.

Z mocno bijącym sercem zdał sobie sprawę, że to, co wydaje te dźwięki, schodzi właśnie ze schodów i wchodzi na betonową posadzkę korytarza. *Co to jest?* Nie wiedział już, jakiego rodzaju myśli przelatują mu przez głowę. Doskonale słyszał każdy krok, tak jak wszystkie odgłosy wokół. Czas jakby zwolnił, wszystko wokół nabierało ostrości. Oddychał ciężko. To było niemożliwe, nikogo nie było w budynku. Nie mogło być.

Czymkolwiek to było, stanęło teraz dokładnie za drzwiami prowadzącymi do stróżówki. Policjant szeroko otwartymi oczami patrzył na klamkę, która drgnęła i nieznośnie powoli zaczęła opadać.

Mężczyzna sięgnął do znajdującej się po jego lewej stronie pancernej szafki, otworzył ją i wyjął stamtąd karabin automatyczny. Nie spuszczając oka z klamki, załadował do komory jeden nabój i odbezpieczył broń. Potem wycelował i z całej siły kopnął w drzwi.

Nikogo za nimi nie było. Patrzył na przeciwległą ścianę korytarza.

Funkcjonariusz pochylił się do przodu i drżącymi rękami chwycił klamkę, po czym zamknął drzwi na klucz.

Następne parę godzin spędził z karabinem na kolanach.

To była pierwsza z wielu nocy, kiedy pracujący w komisariacie na ulicy Niecałej 19 policjanci obserwowali zjawiska, które można określić tylko mianem paranormalnych.

* * *

Przybywam na ulicę Niecałą w Konstancinie-Jeziornie wiedziony znajomym tropem krwi. Podwarszawskie miasteczko rządzi się innymi prawami niż odległy Przytoń – historia nawiedzonego komisariatu jest doskonale znana i szeroko komentowana zarówno przez badaczy nawiedzonych miejsc, jak i zwykłe osoby. Chyba największą popularność przyniósł temu budynkowi program wyemitowany w TVN Warszawa, *Przeklęte rewiry*, w którym w marcu 2010 zaprezentowana została historia nawiedzonej komendy policji, a śledztwo przeprowadziła tak ekipa, jak i Alicja Ziętek – znane medium.

To właśnie historia, którą opowiedzieli, stała się dominującą w narracji o tym nawiedzonym miejscu. Gdy badam budynek, nie wiem nic więcej.

W pierwszych latach XXI wieku miało tu dochodzić do serii wydarzeń paranormalnych – od tajemniczych stuknięć i wyraźnie słyszalnych odgłosów kroków począwszy, na ukazaniu się ducha, który szybko zyskał sobie przydomek „niebieski upiór”, skończywszy.

Pewnego dnia przebywający na patrolu policjanci zostali wezwani do powrotu przez kolegę, który właśnie wtedy pełnił służbę w stróżówce. Kiedy dotarli na miejsce, zobaczyli swojego kolegę w opłakanym stanie – spocony i roztrzęsiony siedział w fotelu z pistoletem w dłoniach. Opowiedział im, jak chwilę wcześniej wyszedł na korytarz i niedaleko

drewnianych schodów zobaczył człowieka w oficerskim płaszczu i butach – kiedy podszedł w jego stronę, mężczyzna ów zniknął, jakby nigdy go tam nie było.

Wojciech Miętusiewicz, były komendant policji w Konstancinie, opowiadał:

> *Tu kroki, to ciągle było słychać w nocy, prawda, po tej skrzypiącej terakocie, po tym korytarzyku w którym tu jestem w tej chwili, ciągle jakby ktoś gdzieś chodził, coś się przemieszczało*[41].

Niewytłumaczalne wydarzenia trwały nieprzerwanie parę lat, aż do zamknięcia komisariatu, co musiało wydarzyć się w pierwszej dekadzie XXI wieku, ponieważ już w 2010 roku komisariat był opuszczony. Czemu żaden z policjantów nie opowiedział o duchu wcześniej? Czemu nie wezwano egzorcysty? Mogę tylko przypuszczać, że funkcjonariusze bali się tego, jak zostaną potraktowani – policjant to zawód zaufania publicznego, gdyby zaczęli opowiadać o duchach, mogliby się wystawić na pośmiewisko, stracić wiarygodność.

Co jednak sprawiło, że w opuszczonym komisariacie pojawił się duch? Czego chciał? Obie te kwestie zostały wyjaśnione przez ekipę telewizji – właściwie przez zaproszone przez nich medium, Alicję Ziętek. Wszystko ma swój początek w powojennej historii miasta. Konstancin znany był ze swoich pięknych willi, do których mieszkańcy starej Warszawy przyjeżdżali, by wypoczywać. Z tych budynków miało po wojnie korzystać NKWD i UB, ponoć urządzono w nich katownie. Taki sam los spotkał rzekomo także budynek komisariatu na Niecałej.

Ducha – w zasadzie zaraz po wejściu do środka – wyczuła Alicja Ziętek, medium. Wedle jej słów jest to dusza oprawcy, kata, który odbierał

życie i teraz jest zagubiony – chciałby zadośćuczynić za wyrządzone krzywdy, uzyskać wybaczenie.

> *Jak weszłam i zobaczyłam tego ducha, to on siedział taki niemrawy, taki skulony, tak jak nieraz człowiek w pomieszczeniu, którego się nie ogrzewało* […]. *To był człowiek, który miał władzę i mógł decydować o czyimś życiu. To było ciekawe, że ten duch w zasadzie udostępnił mi moje emocje – odbierałam jego uczuciami i emocjami. To się uwidaczniało przez moje zachowanie. Szokujące było to, że ten duch powiedział, że cierpi, że nie może stąd odejść*[42].

Następnie duch pokazał Ziętek wiele obrazów ze swojej przeszłości. W jednym z nich odgrywał rolę kata – ofiarą była krępa starsza kobieta. Mogła mieć około pięćdziesięciu lat. Bił ją – wyrywał jej paznokcie. Słuchał, jak krzyczy z bólu i błaga, by przestał. Znali się, ale medium nie wie skąd. Być może była to jego sąsiadka, może ktoś z rodziny. Musiał spełnić rozkaz – wtedy nastąpił przełom, tamtego dnia coś się w jego życiu zmieniło – zaczął czerpać satysfakcję z wykonywanej pracy.

W kolejnej wizji medium widzi ciężarówkę pełną ciał – kat razem z innymi wynosi kolejne zwłoki z piwnicy budynku i układa na pace. Później samochód odjeżdża gdzieś w mrok nocy.

Wygląda więc na to, że w konstancińskim komisariacie ukazuje się duch dawnego kata, który teraz – po śmierci – pragnie przebaczenia i zmaga się ze swoją winą.

Co ciekawe, medium opowiada tylko o tym, że kat w chwili swojej śmierci był około czterdziestoletnim, łysym mężczyzną w starym oficerskim płaszczu. W ostatnich chwilach swojego życia usiłował się ukryć – ktoś, kto chciał jego śmierci, zbliżał się do niego coraz bardziej. Czy mógł być związany z NKWD lub UB? To możliwe – w końcu obie te

grupy działały na terenie Konstancina. A więc budowana w programie *Przeklęte rewiry* narracja biegnie właśnie tym torem i taka wersja historii o „niebieskim upiorze” idzie w świat – stary komisariat policji to była katownia UB, w której straszy duch byłego kata.

W sieci znaleźć można historię czwórki nastolatków, którzy przyszli w to miejsce pewnej nocy w 2013 roku. W jednym z pokojów znaleźli klapę do piwnicy, a pod nią stare biurka i maszyny do pisania. Wkrótce też dał o sobie znać duch, który po kolei wyeliminował wszystkich nastolatków – to oczywiście creepypasta. Dobrze obrazuje to, że budynek z Konstancina jest charakterystycznym punktem na nawiedzonej mapie Polski.

* * *

Krążę po pomieszczeniach nawiedzonego komisariatu w Konstancinie-Jeziornie. Budynek ma piętro, poddasze, parter i starą, zapuszczoną piwnicę. Nie ma żadnej klapy, wchodzi się do niej po zwykłych schodach. Nie znajduję tutaj też ani starych biurek, ani maszyn do pisania. Odczuwa się w tym miejscu dziwną, przytłaczającą atmosferę, niemal od razu dostrzegam przełamaną na pół tabliczkę ouija – litery namalowane są na zwykłym kawałku sklejki, ale można jeszcze doczytać ostatnią zapisaną wiadomość: GOOD BYE.

W całym budynku na ścianach namalowane zostały krzyże – użyto czerwonej farby, która po pewnym czasie zszarzała. Takie same zszarzałe zacieki znajduję na ścianach przy stróżówce i głównym wejściu – odbite są też tutaj dłonie. Czy to na pewno farba? Zaczynam się zastanawiać po ujrzeniu rozbryzgów na ścianie pierwszego piętra. Na poddaszu znajduję również zakrwawione chusteczki.

Miejsce, do którego przyszedłem, sprawia, że czuję ciągły niepokój. Czy wpływają tak na mnie krwawe znaki na ścianach, czy też faktycznie

jest tutaj coś niewytłumaczalnego? Alicja Ziętek na jednym z nagrań powiedziała coś zastanawiającego – że duch, który krąży po tym budynku, domaga się kontaktu. To, jak długo zajmie mu jego nawiązanie, zależy od wrażliwości danej osoby. Medium usłyszy go natychmiast. Wrażliwy człowiek będzie odczuwał narastający niepokój, grozę, wreszcie strach. Dla policjantów, którzy pracowali tutaj latami, sytuacja musiała być nie do zniesienia. Nawet ci najtwardsi w pewnym momencie zaczynali czuć, że coś jest nie tak.

Coś „nie tak” jest jednak z całą tą historią. Nie zgadzają się fakty historyczne – nie można potwierdzić, że w miejscu, w którym jestem, faktycznie znajdowała się katownia NKWD czy też UB. Ubecy torturowali ludzi w innym konstancińskim budynku – i to całkiem niedaleko stąd. „Biały Dworek” oddalony jest od komisariatu o niecałe pięćset metrów. To tu zabijani i gnębieni byli ci, którzy nie spodobali się funkcjonariuszom Urzędu Bezpieczeństwa.

Do jedynej potwierdzonej historycznej masakry w bezpośredniej bliskości interesującego mnie obiektu doszło na placu Sportowym – został tak nazwany, ponieważ w trakcie okupacji, wbrew zakazowi Niemców, piłkarze klubu RKS Mirków rozgrywali tu swoje mecze. Za słupki bramek służyły posadzone tutaj specjalnie w tym celu drzewa. 29 sierpnia 1943 roku podczas meczu KS „Papiernika” z KS „Wir-Mokotów” na teren wtargnęła niemiecka żandarmeria. Padły strzały – zginęli piłkarze, ranni zostali kibice. Dzisiaj stoi tutaj przedszkole.

Czy to możliwe, że nawiedzający komisariat duch był katem UB? Owszem – mógł uciec z pobliskiej katowni po zdradzie swoich towarzyszy, a następnie zostać przez nich wytropiony i zabity – właśnie w tym miejscu. Bliskość „Białego Dworku” sprawiła, że w przekazywanej z ust do ust narracji oba te

miejsca zlały się w jedno. To bardzo powszechny błąd – przypominam sobie, że kiedy badałem sprawę tajemnicy lasu Witkowice[43], okazało się, że miejska opowieść o zaginionych w tym miejscu nastolatkach nie miała nic wspólnego z rzeczywistością. Jednym z bohaterów legendy o wsi Witkowice był natomiast ojciec Witkacego, który wspominał, że miał do czynienia z tajemniczymi wyznawcami Quantara mieszkającymi w pobliskim lesie – co również nie znalazło żadnego potwierdzenia w historii tego miejsca. Całość okazała się tylko opowiastką stworzoną w pierwszych latach XXI wieku na kanwie popularności filmu *Blair Witch Project*. Zastanawiałem się wtedy, dlaczego padło akurat na las Witkowice. Rozmiarami przywodził raczej na myśl większy park – w zasadzie nie dało się w nim zgubić. Szybko okazało się, że zaledwie paręset metrów dalej, na miejscu nazwanym przez miejscowych Łysą Górą, znajduje się dom, który został dotknięty żydowską klątwą i za którym ciągnie się historia związana z wisielcem.

W tamtym przypadku jedno miejsce wpłynęło na drugie. Tu mogło być podobnie.

Nie skreśla to jednak historii o duchu. Próbuję się skontaktować z byłym komendantem posterunku Wojciechem Miętusiewiczem, ale niestety okazuje się, że ten zmarł w kwietniu 2018 roku.

Znajduję jednak inne źródło informacji. Historię interesującego mnie budynku opowiada mi jego niegdysiejsza mieszkanka. Kobieta, o której mowa, mieszkała tutaj pomiędzy 1960 a 1968 rokiem – jej dziadek założył centralne ogrzewanie, telefon, wykonał generalny remont. Niestety, ponieważ służył w AK, władze PRL-u kazały mu się wynieść z posiadłości. Po 1968 roku w już odnowionym (kosztem obywatela) gmachu mógł więc powstać komisariat milicji.

– Nie pamiętam wiele – mówi kobieta. – Z naszego domu wyprowadziliśmy się, jak miałam osiem lat. Relacje policjantów pokrywają się w zasadzie z tym, co mówił nam dziadek. Z jedną różnicą – policjanci byli przerażeni, nie chcieli zostawać sami w komisariacie, natomiast mój dziadek nie wyczuwał żadnych złych energii. Mówił, że słyszał kroki, jakby ktoś chodził po schodach. Czasem otwierały się drzwi. Ja pamiętam, jak kiedyś otworzyły się okiennice. Były zamontowane od środka i nikt ich nie dotykał. Raz w oranżerii widziałam jakiś spory ciemny cień, który wybił szybę na samej górze. Był wieczór. Wyglądało to tak, jakby skoczył do góry prosto w szybę. Był spory, wielkości dużego psa, a my nie mieliśmy zwierząt. Najbardziej jednak utkwiły mi w pamięci te otwierające się samoistnie drzwi i ciągle skrzypiące schody, jakby ktoś po nich chodził. Szczerze, długo traktowałam te opowieści jako jakieś wymysły dziadka, dopiero jak policjanci zaczęli o tym mówić, pomyślałam, że coś jest na rzeczy. Okazuje się więc, że ślady aktywności paranormalnej odnajdywano w tym budynku, zanim jeszcze powstał tutaj komisariat. Ostatni z puzzli trafia zatem na swoje miejsce – chociaż nie mogę potwierdzić, że – tak jak tego chce legenda – w tym gmachu mieściła się kiedyś katownia NKWD czy też UB, i wydaje mi się to mało prawdopodobne, możliwe, iż w posiadłości od lat dochodziło do manifestacji zjawisk paranormalnych. To, jakiego rodzaju jest to duch, wyjaśniło już medium – Alicja Ziętek. Mnie natomiast udało się połączyć wszystkie elementy w spójną całość – teraz historia komisariatu wydaje mi się o wiele pełniejsza.

Zagadka ducha z Konstancina jest dosyć dobrze wyjaśniona – niezgadzające się ze sobą fakty łatwo wytłumaczyć. Byłem prawdopodobnie jedną z ostatnich osób, która mogła przejść się po tej posiadłości – dzisiaj działkę okala ogrodzenie, na którego rogach zainstalowano kamery. Dawny posterunek policji przeszedł w prywatne

ręce. Pozostaje wierzyć, że nim dokonano zakupu, przebywająca tutaj dusza zaznała spokoju.

Mój trop biegnie natomiast dalej – w kierunku kolejnego małego miasta, Myszkowa. Tam w okresie PRL-u doszło do niewyjaśnionych dotąd wydarzeń, które zostały naukowo zbadane i odbiły się szerokim echem w całej ówczesnej Europie.

---

[41] *Przeklęte rewiry*, TVN Warszawa, program wyemitowany 11 marca 2010 r.

[42] Projekt NPN, wywiad z Alicją Ziętek o nawiedzonej Komendzie w Konstancinie, https://www.youtube.com/watch?v=0f7gFmE0-H4 [data dostępu: 15.04.2020].

[43] Więcej o tej sprawie piszę w mojej poprzedniej książce zatytułowanej *Mapa Cieni*.

ROZDZIAŁ 5

Nawiedzenia PRL-u



Tylko takie szczegóły pokazują, jak stare jest to miejsce
Fot. Barbara Juśko

Jakoś tak się utarło, że jak „nawiedzony”, to musi być dom. Duchy mogą też straszyć w samotnych wieżach czy mniej lub bardziej opuszczonych zamkach – ale w większości przypadków są to kolejne wcielenia białych i czarnych dam, których historie często opowiadają przewodnicy oprowadzający po tych przybytkach. Taka ciekawostka, rzucona mimochodem, pomiędzy informacją o tym, w której z komnat spał lokalny władca, a tym, ile miał dzieci. Taka biała dama będzie elementem lokalnego folkloru, postacią z legendy. Zresztą, jak miała by nie być, skoro mieszkała na zamku w otoczeniu dzielnych wojów i rycerstwa? Dziś trudno nam sobie wyobrazić, jak żyło się kiedyś na zamkach. Nawet jeśli ktoś to potrafi, z pewnością takich osób jest o wiele mniej niż tych, które wiedzą, jak to jest mieszkać w domu z ogródkiem. Dlatego nawiedzone domy przerażają nas o wiele bardziej – są nam bliższe. Tak to sobie tłumaczę. Czarna zjawa z zamku w Ogrodzieńcu nie zagrozi mi raczej w żaden sposób, ale duch zamordowanej w mieszkaniu obok sąsiadki najpewniej wzbudzi już we mnie niepokój.

Nie tylko domy mogą być nawiedzone – to już wiemy. Zbadaliśmy razem nawiedzone kamienice, szpital psychiatryczny czy nawet nawiedzony posterunek policji. W trakcie ostatnich dziesięciu lat badałem przypadki nawiedzonych lasów, kościołów, mostów, hoteli czy nawet starych fortów z dawnych żołnierskich przypowieści. Wszędzie tam dostrzegałem jedną prostą zależność – akcja zawsze wywołuje reakcję. Jak łatwo się domyślić, nie chodzi tu wcale o trzecią zasadę dynamiki Newtona, chociaż działanie jest podobne – ponieważ nawiedzenia wynikają najczęściej z działań ludzi, którzy żyli w konkretnym czasie, charakter tych nawiedzeń będzie ściśle powiązany z tym właśnie okresem w historii. Innymi słowy, po dziesięciu latach badań nad nawiedzonymi miejscami odnotowałem pewną korelację – w innych miejscach objawiają się duchy,

których historia jest związana z wydarzeniami z XIX wieku czy też z początku wieku XX, w innych te, które są wynikiem nazistowskich zbrodni, a jeszcze w innych te z czasu powojennej zawieruchy.

Taka zależność dotyczy także kolejnych dekad po wojnie, gdy w Polsce rozkwitał PRL – większość domów, które badałem, była budowana właśnie wtedy. Spora część opowieści o nawiedzonych budynkach pochodzi z okresu PRL-u, kiedy bardzo dużą uwagę przywiązywano do rodziny i społeczeństwa w kontekście kolektywnym. Jednak od każdej reguły zdarzają się wyjątki. W tym rozdziale zajmę się historią, która stanowi świetny przykład takiego odstępstwa – czymś, co zaskoczyło nie tylko mnie, ale i ówczesnych badaczy. Zjawisko, które jeden z naukowców opisywał później jako „cuda w Myszkowie", zadziwiło całe europejskie środowisko zajmujące się aktywnością paranormalną.

Podróżując do mieszkania państwa Kudrysów, w którym w latach osiemdziesiątych dochodziło do paranormalnych wydarzeń, natknąłem się również na przypadek nawiedzonego domu z Myszkowa. Jego historia przypomniała mi opowieść o budynku na ulicy Kosocickiej w Krakowie – najbardziej nawiedzonym miejscu w mieście i zarazem obiekcie, który zapoczątkował moją fascynację zjawiskami paranormalnymi. Miejscu, w którym sam zjawisk paranormalnych doświadczyłem.

DOM TRZECH KRZYŻY

Krzyże są na balkonie, okna powybijane. Kolega tam był, bo się założył z kimś o coś – to było z osiemnaście lat temu – nie pamiętam, to, kuźwa, blady wrócił jak ściana, bo wszedł do tego domu i coś go okropnego goniło… to wiem od niego, już nawet nie chciał o tym mówić, bo bladł, jak tylko zaczynał sobie przypominać. Z własnego doświadczenia to tak – był czas, że jeździłam koło tego domu dosyć często, mogłam mieć jakieś siedem, osiem lat. I za pierwszym razem, jak jechałam z dziadkiem, to on mi powiedział, że tam straszy i że są krzyże na balkonie, abym sobie zobaczyła. No i ja, jak to dziecko, zaczęłam się śmiać na przekór, mówiłam, że nie wierzę, patrzyłam na te krzyże i przejeżdżając koło tego domu z dziadkiem, krzyczałam coś w stylu „głupi demon”. Jak wysiadłam z samochodu już w Zawierciu, to nie mogłam oddychać. Czułam taki ucisk w klatce piersiowej, a potem rzygałam. No i po około dwóch minutach, kiedy mi oczy już na wierzch wyszły, udało mi się zaczerpnąć powietrza. Od tej pory, jak tylko tamtędy przejeżdżałam, to zawsze mi było strasznie niedobrze. Jak tylko spojrzałam na ten dom, to wymiotowałam, jak nie patrzyłam, to tylko mnie mdliło. Teraz, po latach, jak mam gdzieś dojechać tamtą drogą, to jadę naokoło. Dziwię się ludziom, że w ogóle mogą tam mieszkać.

Historia Kasi jest tylko jedną z wielu, które udaje mi się znaleźć, gdy zaczynam się interesować tematem tego domu. Niektóre są spisane na forach, inne na grupach na Facebooku, do jeszcze innych muszę dotrzeć sam, znajdując świadków, którzy opowiadają mi lub opisują na

Messengerze (tak jak w tym przypadku) swoje historie. Za każdym razem słyszę jednak o tym, że ruiny domu na ulicy Krasickiego w Myszkowie są najprawdopodobniej najbardziej nawiedzonym miejscem w całym województwie. To pierwsze podobieństwo, które sprawia, że zaczynam myśleć o tym, co mnie spotkało na ulicy Kosocickiej (do tej historii jeszcze wrócę) – w najbardziej nawiedzonym domu w Krakowie.

Kolejną historię opisano w prasie – nie mogę z całą pewnością stwierdzić, na łamach jakiej gazety, ale na jednym z dawno już nieaktywnych blogów odnajduję wzmiankę, że może chodzić o czasopismo „Chwila dla Ciebie” – dosyć nietuzinkowe miejsce dla tego rodzaju opowieści:

> *Willa została wybudowana przed czterdziestu laty przez dwóch samotnych braci, Zygmunta i Jerzego S. Starzy kawalerowie byli opanowani manią fantastyki i ufologii. Przeprowadzali tam eksperymenty i używając wklęsłych zwierciadeł usiłowali nawiązać kontakt z pozaziemskimi cywilizacjami. Próby skończyły się niepowodzeniem i miały tragiczne następstwa – obaj trafili do zakładu psychiatrycznego. Zygmuntowi udało się uciec, ale jedynie po to, by wrócić do domu i popełnić samobójstwo. Jerzy nadal przebywa w zakładzie, jego stan nie rokuje jednak nadziei na wyzdrowienie.*
>
> *Pusty dom przyciągał ludzi z marginesu. Ale wieczorami, kiedy próbowali zapalić kaganki ukradzione z pobliskiego cmentarza, pojawiała się zjawa z łańcuchem na szyi. Upiór, dzwoniąc zardzewiałymi ogniwami, starał się zbliżyć do siedzących. Być może nie miał złych zamiarów, lecz nikt nie odważył się tego sprawdzić*[44].

W pierwszej chwili, kiedy to czytam, czuję się zniechęcony. Historia nie wygląda na prawdziwą. Opowiastka o duchu dzwoniącym cmentarnym łańcuchem to raczej nic innego jak szukanie taniej sensacji. Z drugiej strony na jednym z forów poświęconych zjawiskom paranormalnym jeden z użytkowników opowiada o tym, że był w domu i widział pozostałości po cmentarnych świecach. Czyżby ziarno prawdy?

Zastanawia mnie też historia dwóch braci. Ten motyw bardzo często pojawia się w opowieściach o nawiedzonych domach. Kiedy badałem nawiedzone miejsca z okolic Krakowa, w Wieliczce opowiedziano mi o szczęśliwej rodzinie – dwóch braci, ich żony i syn jednego z małżeństw – mieszkającej w latach dziewięćdziesiątych przy ulicy Zyblikiewicza. Pewnego dnia malec wjechał na ulicę na rowerku i zginął pod kołami samochodu. Nieszczęście sprawiło, że rodzina się rozpadła, jeden z braci wyprowadził się do Nowej Huty, drugi samotnie spędzał dni, wpatrując się ciągle w miejsce, w którym umarło jego dziecko. W końcu trafił do szpitala psychiatrycznego i już z niego nie wyszedł. Od tamtej pory w domu nie zagrzał miejsca na dłużej żaden lokator. Niektórzy z nich po prostu uciekali.

W Kocmyrzowie niedaleko karczmy Cekierówka stoi duży biały dom, w którym w latach osiemdziesiątych mieszkali dwaj bracia. Pokłócili się z bliżej nieznanego nikomu powodu tak bardzo, że pewnego dnia doszło do bratobójstwa. Morderca uciekł, lecz szybko został schwytany przez policję. Kiedy odsiedział swój wyrok, dokończył remont domu i postawił przed nim kapliczkę – ku pamięci brata. Stały w tych opowieściach jest jeden element – obecny właściciel nie może posesji sprzedać. Nie znajduje na nią kupca nawet wtedy, gdy obniża cenę do śmiesznej kwoty dwudziestu tysięcy złotych.

Na powtarzający się motyw dwóch braci zwrócił mi uwagę mój znajomy dziennikarz Łukasz Grzymalski, kiedy badałem nawiedzony dom

na Kosocickiej w Krakowie.

– Nie uważasz, że bardzo dużo legend w okolicy Krakowa zawiera w sobie historie o dwóch braciach i bratobójstwie? – zapytał, przy okazji jednej z naszych rozmów.

Pomyślałem wtedy o dobrze znanej wszystkim legendzie o budowie wież kościoła Mariackiego w Krakowie. Wtedy również dopuszczono się bratobójstwa, a nóż (w zasadzie jego replika) będący narzędziem zbrodni ciągle wisi nad wejściem do Sukiennic. Czy jednak ta legenda mogłaby odbić się echem nawet tu, w Myszkowie?

Jest jeszcze trzecie podobieństwo między historią z Myszkowa i tą krakowską – uświadamiam sobie to, gdy słucham opowieści Natalii, której przyjaciółka mieszkała kiedyś w sąsiedztwie nawiedzonego domu. Natalia opowiada mi jej historię przez telefon, ale odnoszę dziwne wrażenie, że tak naprawdę „przyjaciółki" nigdy nie było.

– Tata mojej koleżanki pracował w PKS-ie i opowiedział jej kilka rzeczy związanych z tym domem. Tam mieszkał taki starszy pan. Wiesz, podobno miał coś „nie tego". Umieszczał wszędzie w domu stosiki różnych rzeczy, palił obok nich znicze, które ukradł z cmentarza, latał po placu z kropidłem. Jeździł gdzieś z kosą, a jak wracał, to przywoził trawę, którą suszył w domu. I on zbijał i wieszał krzyże. Potem tylko trzy z nich się ostały w oknach na piętrze, ale wcześniej krzyże wisiały wszędzie. Miały go chronić przed złymi mocami. Tata koleżanki mówił, że czasami z nim rozmawiał i był zaskoczony, bo ten człowiek nie wyrażał się jak wariat. Mówił mu tylko o tym, że nie może znieść tego wszystkiego, co się dzieje. Że ten komunizm się nigdy nie skończy i że się wycierpiał w życiu już za dużo. No i w pewnym momencie nie wytrzymał. Potem ludzie mówili, że się zabił, ale tata koleżanki mówił, że po prostu położył się i umarł. Że to beznadzieja komuny go zabiła.

Bardzo podobną historię usłyszałem o domu na Kosocickiej. Miejscu, do którego niechętnie wracam myślami, mimo że to właśnie dzięki niemu badam nawiedzone miejsca.

Zostawię więc na chwilę dom trzech krzyży. Jeszcze tu wrócę, istnieje jednak historia, która domaga się takiej samej uwagi, a być może pozwoli lepiej zrozumieć wszystkie powiązania.

---

[44] Prawdopodobnie „Chwila dla Ciebie”, ok. 2010–2011 r.

DOM NA KOSOCICKIEJ

Gdybym wyszedł na ulicę i zaczął pytać mieszkańców Krakowa o nawiedzone miejsca, myślę, że zdecydowana większość z tych, która by mnie nie zbyła, opowiedziałaby mi o dużym budynku stojącym kiedyś na działce, przy której krzyżują się ulice Kosocicka i Wielicka. Charakterystycznej sylwetki nie dało się przeoczyć, bo dom był naprawdę wielki – posiadał trzy piętra, a na jednym z nich część powierzchni zajmowało coś w rodzaju szklarni – ogrodu zimowego.

Sama działka, na której niegdyś stał nawiedzony dom (został zburzony jakiś czas temu), pełni często funkcję parkingu. Krakowiacy często ją mijają, bo Wielicka to jedna z wylotowych ulic miasta – prowadzi (jak sama nazwa wskazuje) w stronę Wieliczki, do starego traktu, który ustanowiono już setki lat temu.

Gdziekolwiek rozpytuję, budynek znany jest dosyć dobrze – na forach poświęcano mu osobne wątki, a jego temat przewija się regularnie w środowisku poszukiwaczy i badaczy zjawisk paranormalnych. Na YouTubie znajduję natomiast parędziesiąt filmów o domu na Kosocickiej z dosyć sporą liczbą odsłon – jeden z nich stworzył nawet, w ramach eksperymentu przeprowadzonego przez magazyn internetowy „Masz Wybór”, mój znajomy, pisarz i działacz kulturalny Mikołaj Kołyszko – film opowiada fikcyjną historię grupy nastolatków, którzy po odwiedzinach w nawiedzonym domu zostają dotknięci jego klątwą. Była to oczywiście prowokacja – chodziło o to, by pokazać, że z łatwością można wykreować historię o nawiedzeniu, w którą ludzie w mig uwierzą, i że opowieści o duchach są mocno zakorzenione w naszej kulturze. Eksperyment się udał,

film „zdobył” około 300 tysięcy odsłon i w zasadzie żaden z komentujących nie pokusił się o sprawdzenie, czy to naprawdę się wydarzyło. Zamiast tego ludzie relacjonowali swoje wizyty w nawiedzonych nieruchomościach.

Dlaczego właśnie to miejsce cieszy się takim rozgłosem? Myślę, że duże znaczenie ma tutaj lokalizacja przy ruchliwej ulicy Wielickiej. W trakcie zbierania informacji dowiedziałem się też, że kiedyś w okolicy mieli mieć warsztat dwaj mechanicy, bracia o nazwisku Strach, których ogłoszenie wisiało na płocie posesji – czy dom został uznany za nawiedzony na podstawie tak luźnego skojarzenia? Mechanik o takim nazwisku rzeczywiście istnieje, ale pracuje na Śląsku – nie jest jednak wykluczone, że mógł reklamować się również w Krakowie. Ten trop okazuje się mglisty i niewiele wyjaśnia.

Żeby dowiedzieć się więcej, przegrzebuję tony dokumentów, przekopuję archiwa i szukam plotek. Na motywację nie mogłem narzekać, dom na Kosocickiej jest dla mnie szczególnym miejscem. Nie dlatego, że to najbardziej znany nawiedzony dom w Krakowie, ale dlatego, że to właśnie tutaj zaczęła się moja przygoda z duchami i tu, po raz pierwszy, doświadczyłem czegoś, czego nie umiałem racjonalnie wytłumaczyć. Żeby nie zwariować, uznałem w końcu to, co mnie spotkało, za efekt placebo, skutek działania siły sugestii czy wreszcie halucynacje. Czy słusznie? Nie wiem – ale historii tej nie opisywałem ze szczegółami publicznie jeszcze nigdy.

* * *

Była nas czwórka. Ja, mój przyjaciel, koleżanka i jej chłopak. To właśnie ta dziewczyna opowiedziała mi dużo o spirytyzmie i okultyzmie. Kiedy ja w tym temacie ostrożnie raczkowałem, ona od lat już badała strefy

duchowości, wyższe stany świadomości, magię tarota. Rzeczy – przed czym mnie ostrzeżono i o czym przekonałem się później nie raz – niebezpieczne. Bez względu na to, jak się do spraw paranormalnych podchodzi, igranie z własną psychiką i własnym postrzeganiem tego, co nas otacza, jest ryzykowne.

Ostatecznie człowiek okazuje się przecież mózgiem zamkniętym w kościanej skrzynce, komunikującym się ze światem mocno ograniczonymi zmysłami. Nie wszystko jesteśmy w stanie dostrzec – powiedziałbym nawet, że większość rzeczywistości pozostaje przed nami ukryta. W zrozumieniu świata wokół nas pomaga nam nauka, odsłaniając mikro- i makrokosmos, coraz bardziej i bardziej. Co, jeśli parapsychologia czy też różne odmiany religii robią podobne rzeczy z naszą jaźnią? Na to pytanie nie ma spójnej odpowiedzi, natomiast zniekształcanie odbieranej zmysłami rzeczywistości my, ludzie, opanowaliśmy do perfekcji – od stymulantów, alkoholu, narkotyków poprzez eksperymenty z podświadomością i hipnozą aż do prób wychodzenia z ciała (OBEE) czy nawiązywania kontaktu z „drugą stroną".

Taką właśnie próbę nawiązania kontaktu podjąłem w tamten chłodny wieczór jesienią 2010 roku. Do domu na Kosocickiej trafić było stosunkowo łatwo – w końcu stał on na działce przy Wielickiej. Zwalisty gmach na tle pochmurnego nieba oświetlonego pomarańczową łuną. Kiedy się zbliżaliśmy, poczułem zimno – co było dosyć niezwykłe, ponieważ jestem człowiekiem, który lubi niskie temperatury.

Weszliśmy na parking, a później na chwilę do wnętrza budynku – wejścia niczym nie zabezpieczono. W głównym holu poniewierały się góry śmieci i gruzu. Można stąd było dojść albo do piwnicy, albo na górę. Wtedy się przekonałem, jak wielki to dom – trzy piętra, a połowa pierwszego zajęta przez szczątki szklarni z ogrodu zimowego. Na każdym po parę

dużych pomieszczeń – wszystkie w stanie surowym, żadnych pozostałości tynku. W pewnym miejscu, na trzecim piętrze, schody się urywały. Pewnie powinny się tu znajdować drewniane schody na strych, ale ten albo nie powstał, albo – sądząc po nadpalonych resztkach – spłonął w pożarze.

To były wstępne oględziny. Dopiero gdy zeszliśmy na dół, moja koleżanka wyjęła z kieszeni wahadełko, stanęła przed domem i zaczęła mamrotać pod nosem coś niezrozumiałego. Później dowiedziałem się, że wypowiadała staroegipskie zaklęcia. Być może najbardziej skuteczne właśnie tamtej nocy, kiedy zbliżało się święto dziadów – nasi przodkowie wierzyli, że właśnie w tym czasie duchy tych, którzy odeszli, mogą nawiązać kontakt ze światem materialnym.

Pamiętam, że w którymś momencie stanąłem na krawężniku, przymknąłem oczy i niemal natychmiast poczułem, jak stojąca przede mną bryła domu przyciąga mnie do siebie. Zawołałem swojego przyjaciela i kazałem mu zamknąć oczy.

– Czujesz? – zapytałem.

Przytaknął.

Trudno mi opowiadać dalej, ponieważ to, co działo się później, zapamiętałem nie jako ciąg zdarzeń, ale serię obrazów oddzielonych od siebie pustką. Pamiętam, że bardziej poczułem, niż zobaczyłem, że na schodach prowadzących na pierwsze piętro ktoś jest. Tak, jakbym emocjonalnie wyczuwał obecność jakiejś postaci i jakby ta postać złożona była tylko z emocji. Złych – wściekłości, bólu, agresji.

Gdy się obudziłem, siedziałem pod filarem w głównym holu domu na Kosocickiej. Okazało się, że przez ostatnie parę minut krążyłem wokół budynku z palcami złożonymi w skomplikowany okultystyczny wzór, którego nie miałem prawa znać. Nie było ze mną kontaktu. Kiedy otworzyłem oczy, przyjaciele pochylali się nade mną, a ja – chociaż

panowałem nad sobą – czułem się jak odbiornik emocji, które przekazywał mi ktoś stojący na schodach. Odtrąciłem rękę znajomej, przyjaciela nazwałem „pierdolonym strażnikiem”. Parę dobrych minut zajęło mi ustalenie tego, które emocje są moje, a które pochodzą „z zewnątrz”.

Gdybym się nie powstrzymywał, najpewniej rzuciłbym się na moją znajomą i zrobił jej krzywdę.

Wynieśliśmy się z tamtego domu zaraz potem. Kolejne zdarzenia pamiętam jeszcze gorzej i mam wrażenie, że niektóre mogły być snami – przechodząca koło naszej grupki kobieta krzycząca, że unosi się za nami smród. Dwa samochody, które zaraz po tym, jak przeszliśmy przez przejście dla pieszych, zderzyły się ze sobą. Do tego olbrzymi księżyc na niebie i przemykające po ulicach rozmazane cienie istot, których nigdy wcześniej nie widziałem.

Tamtej nocy długo nie mogłem zasnąć. Bałem się, tak jak boi się dziecko, gdy po raz pierwszy leży na plecach i patrzy w gwiazdy. Tak się właśnie czułem – jakbym pierwszy raz patrzył na świat, z którego złożoności i głębokości nie zdawałem sobie wcześniej sprawy.

* * *

Trudno mi wytłumaczyć to, co się wtedy stało. Być może zadziałała autosugestia, ale to wydarzenie sprawiło, że – tylko albo aż – otworzyłem się na możliwość, że zjawiska paranormalne nie są tylko wytworem wyobrażeń. Postanowiłem badać nawiedzone miejsca, począwszy od domu na Kosocickiej, którego historię udało mi się poznać chyba najdokładniej. Wszystko to z jednym tylko zastrzeżeniem – z zachowaniem wszelkich możliwych środków ostrożności.

Potrzebę tego ostatniego uświadomił mi dogłębnie mój znajomy, od którego wynajmowałem mieszkanie w jednej z kamienic w Krakowie.

Podczas jednej z wizyt przyprowadził ze sobą swojego kolegę – dziwny był to człowiek. Wątły, małomówny, blady. Jego chudość – przypominał wieszak na ubrania – świadczyła o potwornym osłabieniu. Najgorsze wydały mi się jego oczy – jak dwie wyschnięte studnie. Po prostu brak wyrazu. Kolega ten wyszedł niedawno z zakładu psychiatrycznego i jego widok wrył mi się w pamięć. Na zawsze zapamiętam także to, co powiedział mi wtedy mój znajomy:

– Tak właśnie kończą ci, którzy weszli w to za głęboko.

Potem spotykałem się z podobnymi przypadkami. Ludzi, których rzeczywistość dosłownie się rozpadła. Takich, którzy zaczynali twierdzić, że są wcieleniem Aleistera Crowleya, i takich, którzy stawali się pustymi skorupami bez emocji.

Nie chciałem tak skończyć, ale mimo wszystko musiałem poznać tajemnicę nawiedzonego domu na Kosocickiej.

* * *

W świetle dnia dom na Kosocickiej nie wzbudzał grozy, ale ciekawość. Niemal za każdym razem, kiedy odwiedzałem to miejsce, spotykałem wchodzących lub wychodzących ciekawskich, którzy przyszli tu, by pobyć chwilę w słynnym nawiedzonym budynku.

Takich osób przez lata bywało oczywiście więcej – świadczą o tym liczne napisy na ścianach, jak *Widziałem ducha TU* czy zagadkowe *Withran* na pierwszym piętrze.

Zastanawiający jest też czerwony napis na drugim piętrze:

ELEIA ORGITH IRAMIS

OFIAR BĘDZIE

Wieńczy go znak trójkąta z wychodzącymi z niego liniami. Najbardziej ciekawi mnie jednak trzecie piętro – to najbardziej nawiedzone. Przynajmniej według niektórych relacji, bo opowieści o domu na Kosocickiej jest zatrzęsienie.

Próbuję znaleźć informację, od kiedy miejsce to uważa się za nawiedzone, i po części mi się to udaje – wszystko miało się zacząć już za panowania Zygmunta III Wazy, w XVI wieku. Tu, w okolicy dzisiejszego Bieżanowa, zlokalizowany był dwór szlachecki, którego pan otaczał opieką okoliczne ziemie. Tuż przy trakcie handlowym z Wieliczką (a więc na interesującym i mnie terenie) rozciągały się podobno pola uprawne – z jakichś jednak powodów chłopi nie chcieli uprawiać tu roli i otwarcie opowiadali o diabłach, które wychodzą spod ziemi. Czy jest w tym chociaż ziarno prawdy?

Nie znajduję żadnych wzmianek o diabłach, ale rzeczywiście w XVI wieku stał tu ponad stuletni dwór szlachecki, cieszący się popularnością wśród co możniejszych mieszkańców Krakowa.

W jego barwnej historii nie ma jednak nic o diabłach czy duchach. Ale tu z pomocą przychodzi inna opowieść. W podobnym czasie na interesującym mnie terenie miała stać gospoda, w której zwykli bawić podróżni, zaskoczeni przez noc pomiędzy Wieliczką a Krakowem. Pewnej nocy w gościnę przybyło dwóch braci, w których sakwach spoczywał ponoć wielki skarb (nie wiadomo, czy chodzi tu o pieniądze, czy o równie cenną w tamtych czasach sól). Kiedy obu już mocno szumiało w głowie, ich bogactwo stało się kością niezgody – pokłócili się. Doszło do walki,

w trakcie której jeden z braci zabił drugiego. Gdy wytrzeźwiał i zrozumiał, co uczynił – zakopał skarb i powiesił się na najbliższym drzewie.

Znowu natrafiam na motyw dwóch braci. Czyżby historia o bratobójstwie – znana z legendy o wieżach kościoła Mariackiego – zmieniała tylko wcielenia i żyła również w domu na Kosocickiej? Co ciekawe, ten wątek się powtarza… ale nie uprzedzajmy faktów, bo w międzyczasie docieram do kolejnej historii – o cholerycznym cmentarzu.

W Krakowie kilkukrotnie wybuchała epidemia cholery – ta, która mnie interesuje, szalała w XIX wieku, konkretnie zaś w 1873 roku, i zebrała krwawe żniwo.

W czasie, który opisuję, lekarstwo na cholerę nie istnieje, zaś ciała wywozi się daleko za miasto, by uniknąć roznoszenia się zarazy. W całym dzisiejszym Krakowie odnaleźć można ślady tamtych wydarzeń – „dzikie” cmentarze choleryckie, często po prostu zbiorowe mogiły. Jedna z nich miała się znajdować właśnie w miejscu, w którym sto lat później stanął nawiedzony dom. Podobno wtedy wzniesiono również białą domkową kapliczkę, usytuowaną tuż przy wjeździe na posesję.

Ciekawa sprawa z tą kapliczką – ani parafia z Bieżanowa, ani też ta z Piasków (stoi ona dokładnie przy granicy obu parafii) nie chce się do niej przyznać. Wieść zaś niesie, że pochowano w niej osobę świętą bądź błogosławioną. Ktoś zresztą odwiedza ją w miarę regularnie – kiedy zaglądam do środka, widzę czerwone kwiaty. Ten ktoś musi mieć klucz, bowiem drzwi do środka są zamknięte i noszą ślady licznych prób włamania.

Próżno szukać wokół kapliczki szczątków – sam cmentarz znajduje się w okolicy, jednak odległość między nim a domem jest dosyć znaczna.

W kolejnej opowieści znów powtarza się motyw dwóch braci. Tym razem obaj mieli budować dom, lecz żona jednego z nich zakochała się

w drugim. Doszło do bratobójstwa, a dom nigdy nie został skończony.

Większość historii poświęcona jest jednak nie temu, skąd duchy się wzięły, ale jak manifestują swoją obecność – tutaj mnożą się doniesienia o zaginięciach osób, które udały się do tego budynku, niecodziennych okolicznościach śmierci tych, którzy zdołali z niego wyjść, czy najbardziej nawiedzonym trzecim piętrze. Tu z sufitu mają wystawać haki, na których wiesza się psy i koty, a te krwawią i wiją się w wiecznej agonii, nie mogąc umrzeć. Robotnicy, którzy budowali pobliską autostradę A4, którzy mieli dość mieszkania w barakach, rzekomo przenieśli się właśnie tu, a potem uciekli, przerażeni dziwnymi zjawiskami.

Takie relacje mnożą się i powielają, uzupełnia się też szczegóły. Dom na Kosocickiej przyciąga jak magnes – tak jak i mnie przyciąga trzecie piętro budynku. Nie wierzę, że znajdę tam powbijane w sufit haki. Nie było ich tam przecież, gdy zwiedzałem to miejsce po raz pierwszy.

I tutaj, na trzecim piętrze, znajduję coś, czego nie kojarzę z moich wcześniejszych wizyt – czerwone znicze i przyklejony do ściany medalik Świętego Benedykta, widać awers i rewers.

Co tutaj robią właśnie te dewocjonalia? Jak się okazuje, odpowiedź prowadzi mnie w zupełnie mi wcześniej nieznane rejony historii.

Jak już wiem, imię Świętego Benedykta często wykorzystywane jest przy egzorcyzmach – tak mogło być w przypadku czarnej damy z Podgórza, kiedy do egzorcyzmów został wykorzystany sam kościół, jak i przypadku z domu w Warszawie, który badałem w późniejszych latach – tam z kolei użyto metalowych krzyży Świętego Benedykta. Najczęściej jednak do egzorcyzmów wykorzystuje się właśnie medalik, co korzenie ma w pewnej XVII-wiecznej legendzie, mówiącej o kilku bawarskich kobietach uwięzionych za paranie się czarami i rzucanie uroków na

mieszkańców Nattrembergu. Podczas procesu zeznały one, że ich moce były bezsilne wobec mnichów z opactwa w Metten.

Co chroniło ten budynek przed czarami? Gdyby chodziło o samą „świętość” miejsca – w końcu świątyni – pozostałym kościołom w Nattrembergu również nie groziłoby żadne niebezpieczeństwo, a tak nie było.

Podczas oględzin opactwa odkryto, że na murach widnieje wizerunek krzyża z literami, których nikt nie potrafił odczytać. To otworzyło drogę ku kolejnym badaniom i w końcu w bibliotece opactwa znaleziono manuskrypt z 1415 roku, wykonany na polecenie opata Piotra.

Tenże zawierał traktat Rabana Maura *O krzyżu* oraz liczne rysunki piórem autorstwa nieznanego z imienia metteńskiego mnicha. Jeden z nich przedstawiał Świętego Benedykta w mnisim kapturze, trzymającego w prawej ręce laskę zakończoną krzyżem. Na lasce znajdował się napis:

CRUX SANCTA SIT M LUX N DRACO SIT MIHI DUX[45]

Z lewej ręki świętego patriarchy wyprowadzona była banderola, na której zamieszczono dwa pozostałe wersy:

VADE RETRO SATHANA NUQ SUADE M VANA SUNT MALA QUAE LIBAS IPSE VENENA BIBAS[46].

Dziś właśnie pierwsze litery tych słów zdobią medalik Świętego Benedykta. Na skutek wydarzeń z Nattrembergu zaczęto uważać, że wizerunek Benedykta trzymającego krzyż i z takimi napisami chroni przed urokami i duchami – najpierw w Niemczech, później zaś w całej Europie.

Wkrótce został uznany za nieodzowny przy egzorcyzmach – szczególnie tych odprawianych w nawiedzonych budynkach, żeby wypędzić z nich złe duchy.

Oba znalezione przeze mnie przedmioty – medalik i świeca – świadczą o przeprowadzeniu tu egzorcyzmu… I w tym miejscu mógłbym zakończyć moje śledztwo, gdyby nie jeden szczegół. Po dokładniejszych oględzinach medalika okazało się, że w górnej części rewersu widnieje monogram IHS.

Co w tym niezwykłego? Litery te są zakorzenione w tradycji chrześcijańskiej. Jednak w 1880 roku zastąpiono IHS słowem PAX („pokój"), dewizą zakonu benedyktynów. Gdyby to właśnie monogram PAX zdobił znaleziony przeze mnie na Kosocickiej medalik, egzorcyzm trzeba by było uznać za słaby, chroniący tylko przed niegroźnymi duchami. Użycie starszej wersji medalika dowodzi trzech rzeczy: po pierwsze, egzorcyzm jest mocny, po drugie, medalik najprawdopodobniej został również pobłogosławiony modlitwą Rytuału Rzymskiego, co przydało mu mocy, a po trzecie – osoba, która odprawiała egzorcyzm, musiała znać się na rzeczy, nie był to pierwszy lepszy samozwańczy egzorcysta.

Chciałbym odwiedzić ten budynek jeszcze raz, by zobaczyć, czy egzorcyzm nadal działa, jednak nie mogę już tego zrobić.

Dom na Kosocickiej został zburzony wiosną 2016 roku. Firma, która kierowała rozbiórką, utworzyła przy tym na Facebooku specjalne wydarzenie i opisywała „wyburzanie nawiedzonego domu" – stronę wkrótce usunięto z powodu dosyć sporego zainteresowania, zarówno wśród zwykłych użytkowników, jak i mediów. I tak właśnie wśród medialnego jazgotu i w świecie portali społecznościowych mogłaby się skończyć historia nawiedzonego domu na ulicy Kosocickiej w Krakowie.

I skończyłaby się zapewne, gdyby nie zrządzenie losu, które sprawiło, że mogę dziś dopisać koniec tej opowieści. Odezwał się do mnie wnuk

kobiety, której zięć zbudował ten budynek.

* * *

– Czy wie pani, że ten dom uważany jest za jedno z najbardziej nawiedzonych miejsc w Małopolsce?

– Coś takiego?! Ale przecież to był zupełnie normalny dom! Tam nic nie straszy!

Siedzimy z panią Marią w Loży, ulubionej restauracji elit intelektualnych Krakowa – tak słyszałem, bo nigdy wcześniej tu nie byłem. Pani Maria okazuje się pisarką, ale – ze względu na okoliczności – zastrzega sobie anonimowość. Jej historia przenosi mnie do lat sześćdziesiątych XX wieku.

* * *

Terenami należącymi obecnie do osiedli Rżąka i Bieżanów interesuje się majętny posiadacz ziemski ze Żmudzi. To urodzajne i piękne ziemie – szumią tu zagajniki, drzewa owocowe. Tu, gdzie ma stanąć budynek, znajduje się sad i parę zabudowań, między innymi stare przedszkole. Tutaj też nowy właściciel chce uwić nowe gniazdo dla swojej rodziny.

Zaplanowano budowę luksusowego domu dla wielu pokoleń – wielkiego jak gospodarstwa rolne w Krzemieńcu. Trzy piętra, spadzisty dach na modłę góralską i zimowy ogród, by nawet w trakcie mrozów można było odpoczywać wśród zieleni.

Prace rozpoczynają się we wczesnych latach siedemdziesiątych. Już wtedy obok domu stoi kapliczka domkowa, mająca być częścią dawnego kompleksu dworkowego (tak przynajmniej uważał nabywca). Krąży też plotka o zwłokach świętego, toteż budowniczowie uważają, by jej nie naruszyć. Razem z nowym nabywcą pod Kraków sprowadza się także

czworo jego dzieci. Wszyscy czekają na koniec budowy, nie wiedząc, że są z góry skazani na porażkę.

To, co przyciąga duchy w opuszczone miejsca, to ludzka tragedia i ból. Im straszniejsza, tym potężniejsze byty się lęgną – jak muchy w brudzie. Nawiedzenia na ulicy Kosocickiej to nie skutek bratobójstwa ani romansu niewiernej żony czy też epidemii cholery. To było coś gorszego, co nawiedzało Polskę od wielu lat, jak najstraszniejszy upiór – komunizm.

W latach siedemdziesiątych – za Gierka – kwitło budownictwo mieszkaniowe, a oczy władzy zwróciły się również na żyzne tereny Bieżanowa i Rżąki, a także działki żmudzkiego imigranta. Znaczną ich część zawłaszczono i już wkrótce wyrosły na nich szare bloki z wielkiej płyty. W ciągu dekady rząd komunistyczny wybudował w całym kraju 2,6 miliona mieszkań.

Żal i poczucie porażki często okazują się groźniejsze niż niejedna broń. Pewnego dnia, w wieku około osiemdziesięciu ośmiu lat, nie dokończywszy budowy, starszy pan umarł we śnie, choć na nic nie chorował. Rodzina nie miała złudzeń co do powodów śmierci – mężczyzna chciał umrzeć. Coraz częściej o tym wspominał – im szybciej rosły bloki z wielkiej płyty, tym bardziej wzbierały w nim smutek i gniew.

Czy to możliwe, że to właśnie on mógł być postacią, której obecność poczułem tamtej nocy na schodach domu? Strata, smutek i gniew wobec ludzi wkraczających na ostatni strzęp należącej do niego ziemi. Być może pozostał właśnie tutaj – w ruinach domu, który był jego marzeniem, w którym miał rozpocząć nowe życie.

Dlaczego jednak jego bliscy nie zadbali o to, by wykończyć budynek? Członkowie tej rodziny, jak to często bywa, pokłócili się o prawa do nieruchomości i rozjechali po świecie. Dom pozostawiono samemu sobie, niedokończony i pusty. Wokół rosły szare bloki. Któregoś dnia wybuchł

pożar i strawił cały dach, miejscowa młodzież rozbiła okna, ktoś w końcu zadał pytanie: „Czemu ten dom nie jest dokończony?”. Wkrótce – czy to za sprawą nieszczęść, czy plotek ludzi – zaczęły krążyć opowieści o duchach. Gdzieś tam mignąłem i ja, jak jedna klatka bardzo długiego filmu.

Aż w końcu dom zniknął, pozostawiając mnie jako ostatniego świadka długiej i barwnej historii najbardziej nawiedzonego domu w Krakowie.

---

[45] „Krzyż święty niech będzie mi światłem”.

[46] „Idź precz, szatanie, nie kuś mnie do próżności. Złe jest to, co podsuwasz, sam pij truciznę”.

DOM TRZECH KRZYŻY

Pierwsze wspomnienia o tym domu mam sprzed około 30 lat, kiedy byłem kilkuletnim dzieckiem. I w tym czasie pojawiał się tam właściciel tej posiadłości. Z tego, co pamiętam, to prawdopodobnie był psychicznie chory. Chodził latem w zimowych ciuchach, na nogach gumowce, opalał się na dachu tego domu. Jednego razu pojawiło się tam masę policji i karetek, bo chyba chciał skoczyć z dachu, bądź coś podobnego… nie jestem do końca pewien, ale zamieszanie było na całą ulicę, od tamtego czasu go nie widywałem, a dom stał pusty, ale szczelnie zamknięty.

Swoją historią dzieli się ze mną Kuba. Kuba mieszka w Myszkowie i dobrze poznał ten dom – chociaż obecnie już się nim aż tak nie interesuje. Pisze do mnie na Facebooku, jest jedną z wielu osób, które się do mnie odezwały, kiedy na grupie mieszkańców Myszkowa zapytałem o to, czy ktoś wie cokolwiek o tym miejscu. Właściwie cały czas dociera do mnie ta sama opowieść – w kilku nieznacznie się od siebie różniących wersjach. O domu, w którym umarł jeden z braci i w którym od tego czasu dzieją się niezwykłe rzeczy.

Na tyłach był dosyć spory sad owocowy i przyciągał okoliczne dzieciaki na czereśnie lub gruszki, ale zawsze mocno pilnował tej posesji najbliższy sąsiad i zawsze przeganiał zainteresowanych, albo wzywał patrol policji, sam był nawet policjantem.

Przez długie lata na balkonie po prawej stronie budynku postawione były trzy brzozowe krzyże, najprawdopodobniej właściciel je tam zamontował i od nich dom wziął swoją nazwę, i zaczął obrastać legendą.

Osobiście tylko raz odważyłem się do niego wejść z kolegami. To było jakieś dwadzieścia lat temu, dom był wtedy dobrze zabezpieczony i niezrujnowany jak teraz, wyważyliśmy chyba okno lub drzwi, żeby dostać się do środka. Wewnątrz były dosyć zaskakujące rzeczy – w każdym pomieszczeniu były usypane stosiki, całkiem spore. Stosik gałęzi. Stosik książek. Stosik garnków. Stosik starych gazet. Jak dla mnie to potwierdzenie choroby psychicznej właściciela. Spędziliśmy tam jakieś dwadzieścia minut i uciekliśmy ze strachu, kiedy sąsiad wezwał policję. Myślę, że on będzie miał do powiedzenia najwięcej, chociaż uprzedzam, że to trudny człowiek, nie wiem, czy będzie chętny do rozmowy.

O tym ostatnim przekonuję się na własnej skórze, kiedy przyjeżdżam do Myszkowa. Sam dom jest mocno zdewastowany – w środku nie znajduję stosików, o których wspominał Kuba, nie ma też już trzech krzyży. Jest za to gruz, ze ścian odpadają kawały tynku, odsłaniając znajdującą się w nich wiklinę, a po podłodze wala się słoma.

Nie zostaję dobrze przyjęty przez lokalną społeczność. Próbuję zasięgnąć informacji u sąsiadki z naprzeciwka. Już kiedy wychodzi przed drzwi i nie podchodzi do furtki, a tylko nieufnie na mnie spogląda, czuję, że nie będzie łatwo. Mimo wszystko wyjaśniam, z czym przychodzę. W połowie jednak przerywa mi jej ochrypły, pełen wściekłości krzyk:

– TO PAN JEST NAWIEDZONY! PAN JEST CHORY, PROSZĘ MNIE ZOSTAWIĆ W SPOKOJU!

Podobnie jest u kolejnego z sąsiadów, którego zastaję, kiedy majstruje w garażu przy swoim samochodzie.

– A kto panu pozwolił w ogóle się tą sprawą zajmować? Proszę opuścić moją posiadłość.

Usiłuję wytłumaczyć, na czym mi zależy. Że nie szukam sensacji, że interesuje mnie historia, ale mężczyzna podchodzi do ściany garażu, na której zawieszone ma różne narzędzia, i zdejmuje z niej duży żelazny klucz. Potem znów do mnie podchodzi.

– Proszę opuścić moją posiadłość – powtarza cicho.

Przez chwilę patrzymy sobie w oczy. Nie zagroził mi. Nie dosłownie. Ale wobec takiego nastawienia jestem bezsilny – sąsiedzi nie będą rozmawiać. Ani ci, ani też następni, których wypytuję. Kiedy tylko wspominam o domu trzech krzyży, ludzie mieszkający w bezpośrednim jego sąsiedztwie tracą nad sobą panowanie. Dlaczego? Czy to miejsce wpływa także na nich?

Moim zdaniem przyczyna jest bardziej prozaiczna – dom cieszy się ogromną popularnością, więc w okolicy ciągle kręcą się osoby, które chcą go odwiedzić. Myszkowianie nie mieszkają już w Myszkowie. Mieszkają „koło nawiedzonego domu” – a to, jak wiadomo, dla wielu stanowi powód do wstydu, ponieważ zjawiska paranormalne to coś niepoważnego. Dlatego właśnie spotykam się nie tylko z nieufnością, ale też z jawną wrogością.

Krótko po mojej wizycie w domu trzech krzyży dostaję wiadomość od kobiety, która podaje się za jedną z licznych spadkobierczyń nieruchomości.

Ten dom w Myszkowie, to tam nie straszy. Nikt się tam nie powiesił, wszystko to są jakieś fanaberie.

Jaka w takim razie jest historia tego miejsca?

Z różnych relacji układam jeden w miarę spójny obraz: dom miał zostać wybudowany we wczesnych latach sześćdziesiątych, mieszkało tam małżeństwo – Piotr i jego żona, której imienia nikt już nie pamięta. Mieli dwóch synów – obaj bracia byli kawalerami i zmarli w podobnym czasie.

Przyzwyczaiłem się, że zwykle to ta „zwyczajna” historia, pozbawiona wątków paranormalnych, brzmi rozsądniej. Ta wydaje się grubymi nićmi szyta. Skąd zatem ustawione na balkonie budynku krzyże? Kto ułożył w pomieszczeniach dziwne stosiki?

Na te pytania odpowiada mi Mariusz, którego matka mieszkała po sąsiedzku, kiedy budowano nawiedzony dom.

> *Jeden z braci był milicjantem i on zmarł wcześnie, chyba na zawał. Drugi brat nie miał ani żony, ani dzieci, zdziwaczał w samotności. Zaczął ustawiać krzyże w całym domu i na balkonach. Po jego śmierci nikt domu nie chce, bo jest zadłużony. W ogóle, cała ta rodzina była dziwna, ich ojciec to fugi między cegłami równał palcem. Tak chodził, jak dom się budował, i palcem równał.*

Czyżby to właśnie jeden z tych braci – milicjant – znał się z sąsiadem (również kiedyś pracującym w policji), który teraz strzeże domu przed obcymi? To prawdopodobne. Jeśli drugi z braci, „dziwak”, jak mówią, był chory psychicznie, dom faktycznie mógł się wydać dziwny. Być może ten odmieniec – jako wrażliwy emocjonalnie – umarł w końcu, zrozpaczony gnębiącą świat komuną?

Możliwe, że to zbyt daleko idące przypuszczenia, chociaż w sprawie tajemnicy domu trzech krzyży zostają tylko one. Tak jak i w wielu innych przypadkach nawiedzonych domów z tamtego okresu.

Podczas moich poszukiwań natrafiłem na jeszcze jedną historię związaną z tym miejscem – o tym, że w domu działy się niesłychane

rzeczy. Lewitowały przedmioty czy też skręcały się łyżki i widelce. Nie uwzględniłem jej w swojej opowieści, ponieważ te zdumiewające procesy nie zachodziły wcale w nawiedzonym domu w Myszkowie. Chociaż ta historia ma swoje źródło właśnie w tym mieście – niedaleko, bo około dwóch kilometrów od miejsca, które odwiedziłem.

Tu, w mieszkaniu państwa Kudrysów, doszło do wydarzeń, które swoją niesamowitością przyćmiewają większość opowieści o aktywności paranormalnej i budzą zdziwienie i niedowierzanie nawet wśród badaczy zjawisk paranormalnych.

POLTERGEIST Z MYSZKOWA

Był 8 grudnia 1985 roku. Średniego wzrostu korpulentna kobieta przedzierała się ostrożnie między leżącymi na ulicy zaspami śniegu, usiłując nie poślizgnąć się na oblodzonym chodniku.

Gdy przechodziła przez drogę, wcisnęła dłonie głębiej do kieszeni kurtki i wtuliła głowę w ramiona. Było naprawdę zimno. Zbliżał się wieczór, a wiatr, który od rana wdzierał się pomiędzy szare bryły bloków, przybrał jeszcze na sile. Kobiecie w ogrzaniu się nie pomagał fakt, że była przemęczona. Źle spała tej nocy. Tak jak i poprzedniej i jeszcze wcześniejszej. Mówiąc szczerze, kobieta – jak i jej sąsiedzi – nie wysypiała się już od dłuższego czasu. Powodem były nocne hałasy, których źródła nie można było zidentyfikować. Ktoś (z początku myślała, że jakiś żartowniś) niemal co wieczór pukał w drzwi sąsiadów tak głośno, że nie raz myślała o tym, że to do jej własnych drzwi ktoś się dobija. Kiedy jednak którykolwiek z mieszkańców bloku zamierzał sprawdzić, kto też tak hałasuje nocami, odgłosy milkły.

Czasami nie słyszała ich przez parę tygodni i świtała nadzieja, że to koniec. Wtedy zwykle wracały. Zabawne, że do tej pory myszkowianka nie zdawała sobie sprawy, jak takie błahostki potrafią wytrącać z równowagi. Teraz chciała tylko, żeby było tak jak wcześniej i żeby znów mogła się wyspać. Nie miała jeszcze pojęcia, że nocne hałasy to dopiero początek.

Kobieta nazywała się Irena Bednarek, miała około czterdziestu lat, pracowała na zmiany w miejscowej fabryce. Prowadziła do bólu normalne życie i do tej pory nic nie wskazywało na to, że się to miało w jakikolwiek

sposób zmienić. Tak jak to czyniła setki razy wcześniej, przeżegnała się, przechodząc obok cmentarza, i tak jak setki razy wcześniej, rozejrzała się, czy nic nie jedzie, kiedy przechodziła przez ulicę. Potem, tak jak setki razy wcześniej, pomaszerowała dalej i skręciła w prawo, w stronę bloku numer 12. Wyciągnęła z kieszeni klucze, weszła na klatkę schodową i dopiero tutaj zdała sobie sprawę, że zaszła jakaś zmiana.

Szmer rozmów i podniesione głosy słyszała już od wejścia. Dopiero po wejściu na schody dojrzała tłumek mieszkańców, zgromadzony pod drzwiami jej sąsiadów z dołu, państwa Kudrysów. Ich drzwi były otwarte, ale przez stojących wokół ludzi nie widziała, co dzieje się w mieszkaniu. Miała jednak złe przeczucia, bo na klatce schodowej głośnym echem odbijały się głuche odgłosy uderzeń. Tłumek przed drzwiami reagował na te dźwięki westchnieniami niedowierzania.

Spili się wszyscy czy co? – przemknęło jej przez myśl.

– Panowie – powiedziała głośno – usuńcie się. Co to za zbiegowisko?

Ktoś się obejrzał, przesunął. Inny mężczyzna niechętnie zrobił to samo. Przepchała się dalej i stanęła przed drzwiami mieszkania swoich sąsiadów, a potem z niedowierzaniem przypatrywała się temu, co się wyprawiało w środku.

W mieszkaniu w powietrzu wirowały szklanki, noże, widelce oraz inne naczynia i przedmioty. Co jakiś czas któreś z nich trafiało w ścianę z głośnym hukiem. Wiszące na ścianach obrazy podrygiwały, jakby chciały się zerwać.

W środku tego całego zamieszania stała kobieta, Anna Kudrys. Na rękach trzymała swoją córkę Ewę. Ani jednej, ani drugiej nie trafił dotąd żaden przedmiot.

Irena zrobiła krok w stronę drzwi. Być może chciała wyrwać sąsiadkę z potrzasku albo lepiej się przyjrzeć, lecz w tym samym momencie

osadzony głęboko w ścianie pawlacz wyleciał z mocowań i przelatując przez cały przedpokój, grzmotnął o ścianę. W tej samej chwili na ziemię spadły wszystkie inne przedmioty.

Dopiero wtedy stojąca z dzieckiem na ręku kobieta jakby obudziła się z transu. Spojrzała ze zdziwieniem na zebranych na klatce ludzi i otworzyła usta, by coś powiedzieć. Nie zdążyła.

Drzwi jej mieszkania zatrzasnęły się z hukiem.

Był to początek paranormalnych wydarzeń w mieszkaniu rodziny Kudrysów z Myszkowa.

* * *

Poltergeist wyróżnia się na tle innych zjaw czy upiorów. Zwykle wybiera sobie jakieś miejsce i wysysa z niego energię albo skupia się na jakiejś osobie i karmi jej emocjami. Taki człowiek czasami nazywany jest też pośrednikiem poltergeista, ponieważ wydawać się może, że tajemnicza moc podległa jest jego woli lub też manifestuje swoją obecność za jej pośrednictwem. Dlatego od lat trwa spór, czy takie zjawiska jak przemieszczanie się przedmiotów to efekt działania paranormalnej energii z zaświatów, czy też nadludzkich zdolności niektórych ludzi, psychokinezy.

Już raz badałem poltergeista – w Turzy Wielkiej, gdzie dziwne wydarzenia miały związek z córką państwa Pokropskich, a – jak się później okazało – także z inną dziewczynką. To w ogóle dosyć ciekawe, że psychokineza czy też zjawisko poltergeista dotyczy głównie dzieci, a szczególnie (nie bez wyjątków) dziewczynek.

Badając podobne przypadki, Krzysztof Boruń, polski pisarz science fiction oraz badacz zjawisk paranormalnych, pisał:

Wszelkie próby wytłumaczenia tego rodzaju fenomenów na podstawie klasycznej, newtonowskiej fizyki są zupełnie bezowocne. Pewne nadzieje zdają się rokować hipotezy rozwijające niektóre wnioski płynące z fizyki relatywistycznej i teorii kwantów albo raczej próbujące pokonywać przeszkody, jakie one napotykają, tworząc modele oddziaływań polowych. Taką próbą jest np. hipoteza prof. dr. hab. Arkadiusza Górala, dotycząca wewnętrznego mechanizmu fizycznego oddziaływań grawitacyjnych na poziomie mikroświata i przyjmująca, że ładunek grawitacyjny związany jest ze strukturą subtelną cząstek elementarnych. „Jeśli prawdą jest, że ładunek grawitacyjny gromadzi się w zewnętrznej otoczce cząstki nazwanej przeze mnie subtelną, oznacza to, że istnieje możliwość oddziaływania na tę cząstkę i zmiany jej pola grawitacyjnego bez znacznego naruszenia energii tej cząstki" – wyjaśnia prof. Góral w rozmowie z autorami „Nieuchwytnej siły", nie wykluczając, że „w wyniku pewnej konfiguracji pól, nawet elektromagnetycznych, można zaburzyć pola grawitacyjne w takim stopniu, iż spowoduje to określone zjawiska fizyczne, jak na przykład znacznie silniejsze niż zazwyczaj przyciąganie, odpychanie lub wręcz odpychanie zamiast przyciągania"[47].

Chociaż przypadek rodziny z Myszkowa jest wyjątkowy, to mniej więcej w tym samym czasie w Polsce zachodziło więcej tego typu zjawisk. Najsłynniejszy (i najlepiej opisany, między innymi we wspomnianej wyżej książce *Nieuchwytna siła* dziennikarzy Anny Ostrzyckiej i Marka Rymuszki) jest przypadek Joasi Gajewskiej z Sosnowca. Pierwsze incydenty miały miejsce w kwietniu 1983 roku, a ich apogeum przypadło na styczeń 1985 roku. Przez te lata rodzina Gajewskiej oraz zdumieni naukowcy mogli rejestrować setki przypadków, kiedy przedmioty

zaczynały lewitować wokół dziewczynki bądź też przenikać przy niej przez ściany, pojawiać się znikąd albo znikać z jednego miejsca, aby za chwilę znaleźć się w drugim.

W badaniu przypadku Gajewskiej brali udział między innymi naukowcy z Zakładu Biofizyki Śląskiej Akademii Medycznej, Instytutu Psychologii Uniwersytetu Śląskiego, Instytutu Metaloznawstwa i Spawalnictwa Politechniki Śląskiej oraz Centrum Rehabilitacji Leczniczej i Zawodowej w Reptach.

Wyniki testów, którym ją poddano, były różne – potwierdzały natomiast realność zachodzących w jej obecności zjawisk. Żaden z naukowców ani o włos nie przybliżył się jednak do wyjaśnienia, jaka konkretna siła je powodowała. Mimo to myślę, że warto tutaj wspomnieć o eksperymentach profesora Lecha Radwanowskiego i doktora Jerzego Sosnowskiego, reprezentujących Polskie Towarzystwo Biocenotyczne – podczas jednego z nich sprawdzano, jak siła generowana przez Joasię oddziałuje na zawieszone na nitce przedmioty znajdujące się w pewnej odległości od niej. W czasie wykonywania tego doświadczenia naukowcy poczuli, że ta niezwykła energia wpływa także na nich, skutkiem jej działania był bezwład rąk.

Z kolei doktor Mirosław Harciarek, badający działanie mózgu dziewczynki, stwierdził, że prawa półkula jej mózgu, czyli ta, w której dominują procesy nieświadome, wykazuje wzmożoną aktywność. Po analizie skojarzeń zauważył, że przedmioty, na których manifestowały się zdolności telekinetyczne, zostały u Joasi wykluczone z pola świadomości i poddane kontroli nieświadomości. Takie badania zdają się rzucać nieco światła na ten i inne przypadki telekinezy/poltergeista.

Ale podobnych wydarzeń było więcej – dokładnie w tym samym czasie wokół innej Joasi, tym razem z Sochaczewa, lewitowały przedmioty, a w jej

dłoniach wyginały się widelce. W 1989 roku chłopiec, Tomek Urbański z Kaniewa, zachorował na grypę i odczuwał dziwne bóle głowy, a potem przez kilka tygodni w jego obecności lewitowały naczynia kuchenne i same przewróciły ciężki stół i wiadro wypełnione węglem. Do tego buty przesuwały się po podłodze i pękały szyby w oknach. Do zajść dochodziło w obecności tak krewnych chłopca, jak i lekarzy i pielęgniarek z ośrodka zdrowia w Aleksandrowie Kujawskim oraz funkcjonariuszy milicji z lokalnego komisariatu. Podobnie było w przypadku dwunastoletniej Weroniki Barniukiewicz z Nowego Dworu Gdańskiego w latach dziewięćdziesiątych. Zresztą, na całym świecie odnotowuje się podobne epizody – na przełomie 2010 roku w Wielkiej Brytanii poltergeist nękał rodzinę Lisy Manning z Holbrooks. W październiku 1998 roku poltergeist dawał o sobie znać w kościele we wsi Delain we Francji, a w 1850 roku Harry Phelps, dwunastolatek ze Stratford w stanie Connecticut w USA, doświadczał ataków nieznanej siły, która rzucała w niego kamieniami bądź też unosiła go tak wysoko, że boleśnie obijał się o sufit.

O ile niektóre doniesienia na pewno są fałszywe (zwłaszcza film poświęcony poltergeistowi w domu Lisy Manning już na pierwszy rzut oka wydaje się podejrzany – wygląda jak animacja poklatkowa), inne przypadki zostały gruntownie opisane. To ważne, również ze względu na zdrowie i życie, ponieważ działania poltergeista nie zawsze okazują się stosunkowo nieszkodliwe albo – jak w Myszkowie – wręcz przyjazne.

Dotkliwie przekonali się o tym chociażby John Bell i jego bliscy, którzy w XIX wieku zamieszkiwali dom w hrabstwie Robertson w stanie Tennessee w Ameryce. Przypadek „czarownicy” Bellów w sporze „telekineza vs duch” przechyla szalę zwycięstwa na stronę tego drugiego. Jest to szczególnie ważne także w sprawie zjawy z Myszkowa.

* * *

Wszystko zaczęło się w 1817 roku, a przez kolejne trzy lata tylko przybierało na sile. John Bell i jego żona Lucy mieli pięcioro dzieci – to one pierwsze poinformowały o dziwnych odgłosach drapania i stukania. Wkrótce potem z ich łóżek zaczęły odlatywać kołdry, a w całym domu rozlegały się dźwięki, jakby kogoś duszono albo też ktoś się dławił. Dzieci czuły, jak coś ciągnie je brutalnie za włosy, znikąd pojawiały się kamienie, które wycelowane były w członków rodziny. Drzwi szaf i szuflady same się otwierały.

Tak jak w większości przypadków, tak i tu źródłem czy też pośrednikiem poltergeista miała być dwunastoletnia Betsy, córka Bellów. Kiedy wysłano dziewczynkę do domu sąsiadów, wszystko się uspokoiło, jednak ją samą ciągle coś dotkliwie uderzało czy też ciągnęło za włosy.

Po ponad roku dręczenia Bellów wydarzyło się coś, co w przypadku poltergeistów dzieje się nieczęsto – duch przemówił. Albo też – duchy przemówiły, ponieważ głosy, które słyszała cała rodzina, należały do wielu różnych osób i tak też się przedstawiały – czasami jako duch Indianki, innym razem jako czarownica, jeszcze kiedy indziej jako bliżej niezidentyfikowana dusza „osoby kiedyś szczęśliwej”. Zawsze jednak duchy przepowiadały Johnowi, że będzie przez nie dręczony aż do śmierci. Wkrótce mężczyźnie – zapewne na skutek działania zjaw – spuchł język i zdrętwiała szczęka. Ból był tak okropny, że nie mógł jeść. Chudł w oczach.

Potem większość dnia spędzał w łóżku, a jego ciałem wstrząsały konwulsje. 20 grudnia 1820 roku John Bell zapadł w śpiączkę, zaś w jego szafie znaleziono butelkę z nieznanym lekiem. Duch przyznał, że to on podsunął mu lekarstwo, twierdząc, że to go zabije. Wycieńczony mężczyzna wypił truciznę i umarł, a duch zostawił rodzinę Bellów

w spokoju – tylko raz na pewien czas dawał o sobie w jakiś sposób znać, nie było to jednak nic groźnego.

* * *

Anna Kudrys z Myszkowa „swojego” ducha nazywała Karolkiem – po swoim dawno nieżyjącym ojcu. Była wręcz pewna, że to właśnie jej ojciec stoi za dziwnymi zjawiskami, które zachodzą w jej obecności.

Czy mogło tak być? W świetle opowieści Bellów wydaje się prawdopodobne. John padł ofiarą kogoś mściwego, a rodzinę z Myszkowa nawiedzał raczej przychylnie nastawiony poltergeist – a nawet podległy woli Anny Kudrys. Przy czym dosyć zaskakujący jest tutaj wiek „pośredniczki” – Anna Kudrys nie była przecież dzieckiem ani też nastolatką, a kobietą w średnim wieku, mającą już dziecko. Zresztą jej córka Ewa również w niewielkim stopniu kontrolowała te dziwne zjawiska, jednak te z niewiadomych powodów koncentrowały się głównie wokół pani Anny.

Co działo się w mieszkaniu Kudrysów? Pewien obraz daje relacja Pawła, który napisał do mnie sam, kiedy tylko dowiedział się, że szukam informacji o kobiecie z nawiedzonego domu w Myszkowie. Pamięta ją mgliście z dzieciństwa.

> *Ta kobieta, o której mowa, to już nie żyje. Nazywała się Anna Kudrys. W latach osiemdziesiątych mieszkała w bloku przy Sikorskiego wraz z mężem i dwójką dzieci. Obecnie żyje tylko córka. W połowie lat dziewięćdziesiątych przeprowadziła się do bloku na ulicy PCK, zmarła kilka lat temu. Znałem ją osobiście, bo byłem z nią spokrewniony, cała sytuacja trwała kilka lat, a ja miałem wtedy jakoś dziesięć lat.*

Pamiętam, że o ciotce pisały gazety i nawet z zagranicy badali to zjawisko specjaliści. Wszyscy myśleli, że ma to związek bezpośrednio z miejscem zamieszkania, ale po przeprowadzce zjawiska nadal występowały, choć już nie z takim natężeniem.

Dopytuję o to, co konkretnie działo się w miejscach, w których przebywała Anna Kudrys. Paweł zastanawia się chwilę, po czym odpisuje:

Z tego, co pamiętam, występowały stuki, trzaski, materializowały się przedmioty, czasami znikąd, a czasami z innych okolicznych pomieszczeń, nawet od sąsiadów. Najczęściej były to jajka, kieliszki, szklanki, buty. Jak ciotka się zdenerwowała, to nieraz te przedmioty lądowały na głowie wujka albo kuzyna.

Raz, pamiętam, był motyw taki, że siedzieli w pokoju z jakimiś badaczami i czekali na „akcje" i kompletnie nic się nie wydarzyło, i gdy badacze mieli już wychodzić, usłyszeli dziwny dźwięk w okolicy żyrandola, jak się okazało, to w żarówce znalazł się wbity na wylot, zwinięty w rulon banknot 10 zł i kieliszek zza witryny zniknął, a wylądował rozbity w kuchni za ścianą.

Niczego więcej Paweł sobie nie przypomniał. Trudno się dziwić, był wtedy dzieckiem. A ja dalej szukam informacji i ustalam, jacy naukowcy w latach osiemdziesiątych zajmowali się tą sprawą. Nie udaje mi się nawiązać kontaktu z grupą badaczy z Japonii, a gdy próbuję dotrzeć do reprezentującego stronę polską doktora medycyny Janusza Liwocha, dochodzą mnie słuchy (to najprawdopodobniej plotka), że ten już nie żyje. W końcu pech mnie opuszcza – okazuje się bowiem, że stronę szwedzką reprezentował Polak, Andrzej Niewinny Dobrowolski, uznany polski pisarz, dziennikarz, felietonista i tłumacz literatury. Zna on całą historię

i dysponuje taśmami, na których nagrał wywiad z Anną Kudrys, jej mężem i doktorem Liwochem.

Dobrowolski o tym, co działo się w domu Kudrysów, przeczytał w „Przekroju". Opublikowano tam rozmowę z Lechem Emfazym Stefańskim – publicystą i pisarzem zajmującym się parapsychologią i zjawiskami paranormalnymi. Stefański wspomniał o wydarzeniach rozgrywających się w Myszkowie i zwrócił uwagę, że to nie jedyny taki przypadek w Polsce.

> *Od lat interesowałem się ogólnie pojmowaną parapsychologią, wiele czytałem, czasem udawało mi się również pomyśleć, przeczytawszy wspomniany tekst w „Przekroju", nie mogłem nie zareagować* – pisze mi Dobrowolski.

W artykule *Cuda w Myszkowie* opublikowanym między innymi we własnej książce *Donos na Polonię…* publicysta zaznacza:

> […] *kiedy usłyszałem o domu w Myszkowie, gdzie występują zjawiska spotykane dotychczas jedynie w książkach, zainteresowałem nimi kilkoro uważanych za znawców zagadnienia ludzi ze Sztokholmu i tak wsparty prestiżem naukowej ekspedycji wybrałem się dotknąć Tomaszowym palcem własnej niedowiary*[48].

Czesław Kudrys, mąż pani Anny, tak opisywał początki tego, co działo się w ich mieszkaniu:

> *Najpierw było pukanie do drzwi. Ktoś puka do drzwi, to ja mówię „proszę", ale nikt nie wchodzi. Otwieram – nikogo nie ma. Nie słychać, żeby ktoś uciekał, a to trzecie piętro, nie zdążyłby. Za chwilę znów to samo. Różne myśli przychodziły mi do głowy: „może*

kto z daleka jaki przycisk ma, czy co?". Bo to dzisiaj, wie pan, różne sztuki ludzie robią. Ale nie, bo to było takie normalne pukanie. I co się wyjdzie na korytarz, to nikogo nie ma. Mówię: „no, szlag by to trafił!". Wracam do pokoju – bach! – znów to samo. Albo słychać tak, jakby pięścią kto walił: buch, buch, buch! A jak nie, to jakby nogą kopał. Jak nie nogą znów, to taki odgłos, jakby kto laską w drzwi walił.

Zaczęło się to tydzień przed Wszystkimi Świętymi i trwało do ósmego grudnia. Potem zaczęło rzucać. Myśmy stali przy drzwiach i pilnowali, tylko że jak się stało i pilnowało, to można było tydzień czekać – i nic, cisza. Odeszło się tylko od drzwi – znowu: bach, bach, bach! Mówię panu, cały roztrzęsiony chodziłem. To pukanie zaczynało się zwykle pod wieczór, piąta–szósta, ale nieraz to i o pierwszej w nocy waliło.

Kiedyś zszedłem na dół, na sam parter i myślę: „Jak zapuka do drzwi, to wejdę wyżej i zobaczę". Bo ja nie sądziłem, że to „coś" tylko „ktoś" puka. Umyślnie, na złość. Gdzie by mi tam do głowy przyszło, że takie coś się stanie.

Wszedłem na pierwsze piętro i słyszę wyraźnie, że puka. Podszedłem jeszcze pół metra i wtedy z dołu doszedł mnie sąsiad. Lekko na cyku. Pyta mnie: „Co to, sąsiedzie, wartę trzymasz?". Ja mówię: „Cicho, bo ktoś mi do drzwi puka i już tyle czasu nie wiem, kto to jest. Nie mogę nikogo schwycić". Sąsiad na to: „Nie bój się, on sam się schwyci".

Potem wyszła sąsiadka z mojego piętra, której drzwi są naprzeciw moich. Ona też słyszała pukanie i nawet wyglądała przez wizjer, ale myślała, że to puka ktoś od wewnątrz, znaczy ode mnie z mieszkania. A myśmy wyraźnie słyszeli, że to z klatki schodowej

ktoś puka. Mówi do mnie: „Wiesz co, ja stoję tu już od godziny i słyszę to pukanie”. No to kobita przecież nie jest dzieckiem.

Zaczęliśmy się w końcu bać. Puka i puka i nie wiadomo, co to jest. Dopiero ósmego grudnia wyszło na jaw, jak zaczęło w domu robić rewolucję i wytłukło wszystko. Ściany były golutkie – żadnych obrazków, nic. Parę połamanych ramek leży jeszcze w piwnicy. Karnisz ze ściany wyrwało razem z wmurowanymi hakami. Jaka to musiała być siła, żeby takie coś wyrwać! Powiesić się na nim było można[49].

To, co działo się potem, świadczyło o dużej gwałtowności paranormalnej siły. Co prawda epicentrum jej działań znajdowało się w mieszkaniu Kudrysów – w osobie pani domu – ale skutki odczuwali także sąsiedzi. Wyglądało na to, że poltergeist ma zamiar spełniać wszystkie życzenia – obojętnie, czy je pomyślała, czy wypowiedziała – Anny Kudrys. Kiedy chciała, by „Karolek” zajął się jej dzieckiem, coś kołysało kołyską. Kiedy potrzebowała pieniędzy, te pojawiały się chwilę później w pokoju obok bądź wyłaniały się ze ściany, by uderzyć któregoś z domowników w plecy. Czy nieznana moc mogła być niebezpieczna?

AND [Andrzej Niewinny Dobrowolski] – *Ale wam, domownikom, krzywdy nie robiło?*

CK [Czesław Kudrys] – *Jak to nie?! Córka miała całe nogi szkłami poprzecinane. Tylko żonie nic nie robiło. Sąsiadka dostała parę razy buteleczkami po lekarstwach w głowę, w plecy.*

W magistracie zgadali się z dyrektorem mojego zakładu pracy, żeby odmalować mieszkanie, to może ustąpi. Dali ekipę malarzy, zaczęli robić, a tu trzask! – wali butelkami. Kupili oranżadę, postawili butelki na szafie i poszli do przedpokoju, a butelki za nimi.

Do wiadra z farbą wpadały, rozbryzgując ją na nich. Na drugi dzień pracowali w kaskach ochronnych, a na trzeci podziękowali i więcej nie pracowali. Potem zgłosili się wszyscy do lekarza i po tygodniu urlopu dostali, bo podobno tak się źle czuli[50].

Na samopoczucie narzekały zresztą i inne postronne osoby. Sąsiadka Kurdysów, wspomniana już Irena Bednarek, przyznała, że roztrzaskujące się w jej domu kieliszki, szklanki i inne naczynia nieraz pocięły jej nogi. Później zaczęły chorować jej dzieci – co wiązało się z poważnym osłabieniem, którego wszyscy sąsiedzi doświadczali po równo. Kiedy pani Irena wchodziła do mieszkania Kudrysów, czuła, że rośnie jej ciśnienie, cierpiała też na silne bóle głowy, obrzęki nóg i rąk – na podobne dolegliwości uskarżały się jej córka oraz żona doktora Liwocha. Co ciekawe, mężczyźni nie odczuwali takiej zależności.

Kolejna rzecz, która tyczy się materializujących się naczyń czy niektórych rzeczy – nagrzewały się one do sporych temperatur. Nawet jajka, które pani Irena włożyła wcześniej do lodówki, zmaterializowały się w domu Kudrysów ugotowane na twardo.

Czy to może być ślad oszustwa? Jak stwierdzić, że pojawiają się te same przedmioty, które wcześniej zniknęły? Pani Irena zapamiętała pewien eksperyment:

Doktor Liwoch powiązał kiedyś drutem dwie butelki. Na szyjkach porobił ciasne zawleczki, że w żaden sposób nie mogły się z nich wysunąć. Jedna stała na kredensie, druga na podłodze. Obie połączone drutem. I jedna z nich przyleciała nagle do kuchni, a druga pozostała na swoim miejscu. Potrafi sobie pan coś takiego wyobrazić?[51]

O podobnym doświadczeniu opowiadał także Czesław Kudrys:

Jeden redaktor to sam kupił dziesięć jajek, ponumerował mazakiem i zanieśliśmy je do sąsiadki z piętra niżej. Ona wyjęła z lodówki swoje jajka, a włożyliśmy te znaczone. Siedzimy z powrotem u nas, rozmawiamy, a tu ciach! – jest jajko z numerem siedem zielonym mazakiem pisane. Zeszli na dół, liczą: są wszystkie oprócz siódemki. I jakim cudem? Jak to wytłumaczyć?[52]

Zadziwiające jest pole zasięgu przedziwnej mocy – jak się okazuje, przedmioty, które materializują się w mieszkaniu Kudrysów, nie pochodziły tyko od najbliższych sąsiadów – czasem pojawiało się mięso zawinięte w sklepowy papier. Czasami papierosy, które musiały pochodzić z najbliższego kiosku, raz u Kudrysów zmaterializowało się zdjęcie rentgenowskie syna, które wykonano w ośrodku zdrowia, innym razem sukienka, którą Anna Kudrys i jej córka widziały w sklepie przy ryneczku w Myszkowie w dzień imienin pani Anny, znalazła się nagle w domu Kudrysów.

Dwa fakty poruszają mnie w tej historii – po pierwsze to, że Kudrysowie nigdy nie żyli ponad stan. Należeli do klasy średniej wychowanej w głębokim PRL-u, kiedy w sklepach było niewiele, więc nawet nie pomyśleli, żeby zażyczyć sobie materializacji wielkiej sumy pieniędzy albo biżuterii. Ot, drobnostki – masło, mięso, parę złotych, papierosy. O drugiej rzeczy mówi w wywiadzie sam doktor Liwoch:

AND – *Mówiono nam, że macie prawdopodobnie zdjęcie popielniczki w połowie „wychodzącej” ze ściany.*

JL [Janusz Liwoch] – *Nie, myśmy tego nie uchwycili. Może Japończycy? Ale, oczywiście, struktury materialne nie stanowią dla przenikających przedmiotów najmniejszej przeszkody. Talerze wylatywały przez okno, nie uszkadzając szyby.*

Nie udało się nam jednak zaobserwować toru poruszania przemieszczających się przedmiotów. Jajko pochodzące z piętra niżej zostaje nagle zauważone dwa metry nad podłogą w locie ku dołowi. Widać jedynie ruch końcowy od momentu materializacji. Co ciekawe, że razem z materializowanym przedmiotem przenoszą się również wszystkie stykające się z nim cząsteczki. Na przykład butelka pojawia się brudna[53].

Czyli – przedmioty w niektórych przypadkach nagrzewają się do sporych temperatur, a gdy są przenoszone, cała przylegająca do nich materia zostaje zabrana razem z nimi. Nic, co materialne, nie stanowi przeszkody podczas tej zmiany położenia. Problemem nie jest też waga – tajemnicza moc potrafi zarówno przenieść pięciokilogramową statuetkę konia, jak i wyrwać głęboko osadzony w betonowej ścianie pawlacz. Także w czasie trwania wywiadu Andrzej Dobrowolski jest świadkiem materializacji kolejnych rzeczy:

ADN – *Czy dzisiaj, zanim przyszliśmy, pojawiło się coś?*
CD – *Tak. Przyniosło 20 złotych, cytrynę i zapałki.*

W przedpokoju słychać brzęk spadających monet.

AND – *Co to?*
CK – *O, przyleciały pieniądze! Rano żona wzywała trochę. O, i cytryna jeszcze jedna!*
AK [Anna Kudrys] – *Rano zakładali się, czy przyleci cytryna.*
AND – *Prosiła pani o cytrynę?*
AK – *No, mówiłam do córki, że przyjdą goście i cytryna do herbaty by się przydała.*

AND – *Ile pieniędzy przyleciało?*

Podaje przyniesione z przedpokoju monety.

CK – *O, proszę, piętnaście złotych. Czasami bywa tak, że jak lecą drobne, to można oberwać. Jak mi kiedyś dwadzieścia złotych w krzyż przykropiło, to aż mnie zatkało. Jak papierowe spadną, to się nie słyszy, tylko widzi, że leżą.*

AK – *Czasem w fabryce, jak jestem zmęczona i chciałabym odpocząć, to sobie pomyślę, żeby się coś stało i... stanie się. Na przykład suszarka się sama zatrzyma. Latają, szukają przyczyny i nie mogą znaleźć, a potem sama rusza. Albo prąd się wyłączy. Kopią, kopią, nie ma prądu, a później sam jest. Samo się włączy i samo wyłączy.*

AND – *To by znaczyło, że również poza domem może pani wpływać na te zjawiska.*

AK – *No, w fabryce mogę. Z początku bałam się chodzić do stołówki na zupę z obawy, żeby się coś nie stało, ale pomyślałam sobie, że jak idę, to ma się nic nie stać. I jakoś na razie nic.*

Słychać szum na podłodze w przedpokoju.

CK – *Co tam znowu?*

AND – *O, papierosy! „Popularne”.*

CK – *Nie zawsze przychodzi natychmiast, czasami trzeba chwilę poczekać.*

AK – *I dwadzieścia złotych leży.*

Przynosi z przedpokoju monetę[54].

Dla potwierdzenia zależności między swoimi życzeniami a zachodzącymi zjawiskami Anna Kudrys postanawia w trakcie wywiadu poprosić o kolejną rzecz:

Kudrysowa prosi: „Zapaliłabym jakiegoś papieroska, albo pomarańczę bym zjadła”.

Nieraz tak chodzę, labidzę, labidzę i przyniesie.

AND – *Może już tam leży co w przedpokoju.*
AK – *Może. Trzeba iść zobaczyć.*

Idziemy. Nie ma nic.

CK – *Czasem żona zawoła rano, nic nie przyniesie, pójdzie do pracy, a całe popołudnie przynosi.*
AK – *Szłam do sklepu na zakupy. Mąż mówi do mnie: „Napiłbym się kawy”. Ale nigdzie w sklepach kawy nie było. Wtedy powiedziałam: „Słuchaj no, przyjacielu Karolku, jak przyjdę, ma być kawa, żebym się mogła napić. Ale takiej dobrej kawki”. Przychodzę ze sklepu, a mąż mówi: „Zobacz, masz tu kawę”.*

Słychać uderzenie w przedpokoju – pojawiła się paczka papierosów „Carmen”.

Co uderzające, zarówno pani Anna, jak i inni członkowie rodziny mają do tych zjawisk dobrotliwy stosunek – nie wyczuwa się w nich ani strachu, ani złości, mimo że w początkowym okresie uważali rozgrywające się w ich mieszkaniu wydarzenia za przekleństwo. Nastawienie to zmienił Lech Emfazy Stefański, który poinstruował panią Annę, jak „rozporządzać” mocą pomocnego poltergeista. Według niego za wszystkim stała zmarła

bliska osoba (stąd pewnie „Karolek”) mająca możliwość wpływania na świat materialny, która nie była zła i nie chciała nikomu wyrządzić krzywdy. Z drugiej strony hipotezę o paranormalnych zdolnościach pani Anny mógłby potwierdzać fakt, że gdy chwyciła widelec i pod czujnym okiem Stefańskiego poćwiczyła panowanie nad energią, potrafiła siłą woli wyginać solidne żelazne widelce w dowolny kształt. To samo umiała zrobić jej córka. Andrzej Niewinny Dobrowolski dostał nawet taki sztuciec na pamiątkę. To właśnie Stefański, zmarły niestety w 2010 roku, sprawił, że Anna Kudrys przestała się bać i zaczęła używać swojej mocy.

Ta towarzyszyła jej jeszcze przez parę najbliższych lat, a potem – tak jak się pojawiła – ucichła. Czym była? Czy poltergeist jest zjawiskiem zależnym od człowieka, czy też duchowym?

Mimo przeprowadzonych badań naukowych i odnotowywania na całym świecie przypadków podobnych do tego z Myszkowa odpowiedź na te pytania długo jeszcze pozostanie zagadką.

* * *

Od czasów Turzy Wielkiej nie słyszałem o działaniu poltergeista. Mimo wszystko ukazywanie się tych nieprzychylnych człowiekowi (choć nie bez wyjątków) zjaw to najczęściej odnotowywane zjawisko paranormalne.

Współcześnie nie wspomina się jednak zbyt często ani o aktywności paranormalnej, ani o poltergeistach. Nawiedzenia domów, miejsc czy ludzi są krytycznie komentowane, a teraz, kiedy każdy na swoim komputerze może wygenerować dowolnego „fejka”, wszelakie zdjęcia czy nagrania nie stanowią żadnego dowodu i przestały wzbudzać zainteresowanie. Jeśli już wspomina się o zjawiskach paranormalnych, to w mediach, by podbić statystyki „kliknięć”, przyciągnąć uwagę. W świecie czysto ludzkim duchy są powodem do wstydu. Widziałem to przecież, gdy zajmowałem się

sprawą rodziny Pokropskich. Można więc mówić o duchach i liczyć się z konsekwencjami albo nie mówić wcale.

Ale jak zasygnalizować problem bez nazywania go? Odpowiedź na to pytanie czeka na mnie w dwóch miejscach – w Tarnowie i Warszawie, gdzie badam właśnie takie przypadki. Nawiedzone miejsca, w których duchów nie ma.

Przynajmniej oficjalnie.

---

[47] K. Boruń, *W świecie zjaw i mediów. Spór o duchy*, Warszawa 1996, s. 63.

[48] A. Niewinny Dobrowolski, *Cuda w Myszkowie*, [w:] tegoż: *Donos na Polonię: czyli jest, jak jest... bo gdyby miało być inaczej, to by było*, Warszawa 2005, s. 182.

[49] Tamże, s. 188–189.

[50] Tamże, s. 189.

[51] Tamże, s. 187.

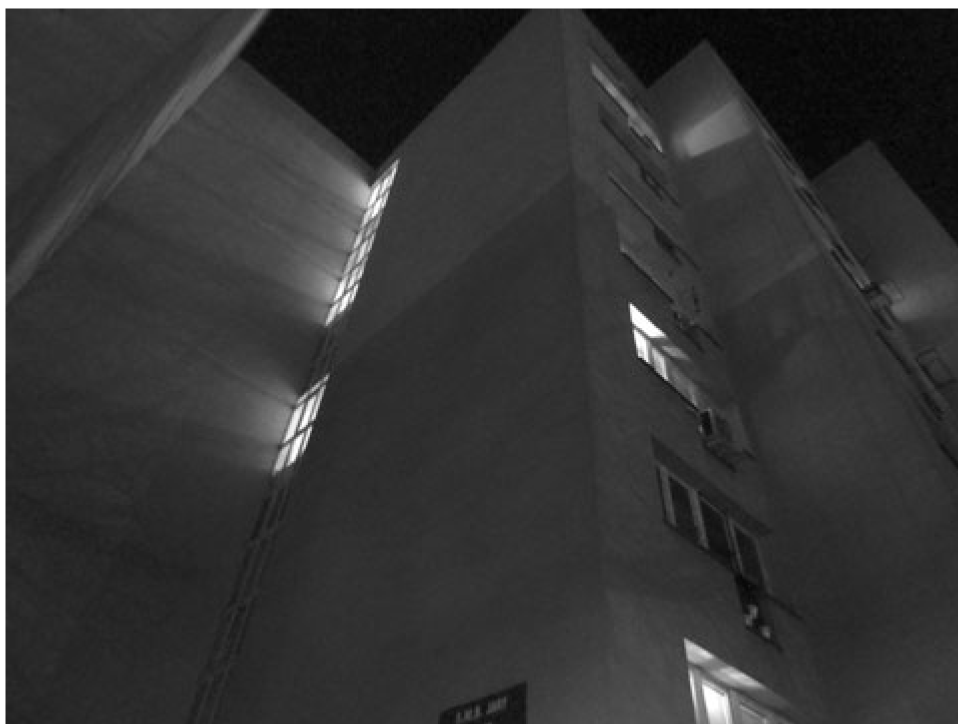
[52] Tamże, s. 190.

[53] Tamże, s. 191.

[54] Tamże, s. 191–192.

ROZDZIAŁ 6

Klątwy blokowisk



Nawiedzony blok przy ul. Herbsta 4
Fot. Michał Stonawski

W dużych blokowiskach jest coś, co mnie zawsze przygnębiało. Bezsens, beznadzieja, patologia, szarość życia, depresja – zawsze to właśnie czułem, myśląc o „wielkiej płycie”. W takim miejscu sam zresztą dorastałem i chociaż teraz, kiedy przejeżdżam obok, czuję nostalgię, to pamiętam zbyt dużo, by choćby myśleć o ponownym zamieszkaniu na osiedlu. Pamiętam wiecznie brudne i zimne klatki schodowe, windy, w których śmierdziało moczem, a raz na jakiś czas można było znaleźć ludzkie czy zwierzęce odchody albo zużytą prezerwatywę. Pamiętam lokalnych mieszkańców – z wygolonymi głowami i w ortalionowych bluzach. Raz obudziły mnie w nocy wrzaski, a kiedy wyjrzałem przez okno, zobaczyłem grupę dresów ścigających dwóch innych. Przebiegli pod moim blokiem, jednego z tej dwójki dorwali na placu zabaw, zaraz obok. Kłębili się nad nim, on krzyczał. Paru oddzieliło się od bandy, wrócili pod budynek, w którym mieszkałem, wyrwali z chodnika jeden z metalowych słupków, a potem dołączyli do swoich. Uciekłem do łóżka, kiedy usłyszałem straszny krzyk tego, na którego spadł ten kawał metalu. Co więcej mogłem zrobić, miałem zaledwie parę lat.

Ta historia nie ma nic wspólnego ze zjawiskami paranormalnymi. Na osiedlu, na którym dorastałem, mówiło się o nawiedzonym domu w okolicy, ale nigdy te opowieści nie miały nic wspólnego z blokami. A jednak to poczucie szarości, przygnębienia, bycia nic nieznaczącym w tłumie, w szeregu takich samych mieszkań w takich samych blokach do dzisiaj mnie dręczy, kiedy myślę o blokowiskach. To jest pewien paradoks, bo autorzy konceptu bloków zakładali polepszenie jakości ludzkiego życia – także w kwestii zachorowalności na depresję. Zanim zaczęto budować bloki, w architekturze prym wiodły kamienice. Ich zwarty układ skutkował podziałem na „lepsze” mieszkania od frontu, odpowiednio oświetlone przez słońce, i „gorsze”, usytuowane w oficynie. Tam, gdzie znajdowało się

podwórko, mury budynku mocno ograniczały dopływ promieni słonecznych. A w miejscu, do którego słońce nie dociera, łatwiej i o robactwo, i o depresję. Ta nie tylko ogranicza produktywność, ale może prowadzić do śmierci, czy to z powodu chorób serca, czy w wyniku samobójstwa. I ten problem zauważono – w latach dwudziestych XX wieku w Rotterdamie powstało osiedle tanich mieszkań, Tussendijken – pozostawiono w nim tylko budynki frontowe (stąd późniejsza nazwa tego typu zabudowy: „obrzeżna”), a w środku zostało miejsce do wykorzystania na uprawę lub w celach rekreacyjnych. Późniejsza ewolucja myślenia sprawiła, że zaczęto budować coraz bardziej otwarcie – budynki frontowe coraz bardziej „rozjeżdżały” się na boki (przykładem niech będzie kolonia IV Warszawskiej Spółdzielni Mieszkaniowej na Żoliborzu), aż w końcu pojawiły się one – charakterystyczne grzebienie bloków. Wieżowce stawiało się szybko i tanim kosztem, mieszkania były odpowiednio nasłonecznione i w założeniu komfortowe dla lokatorów. Czy rzeczywistość sprostała ideałowi? Na pewno w kwestii realizacji dwóch pierwszych założeń. I to wystarczyło, by w latach siedemdziesiątych powstał program W70, a Edward Gierek osiągnął zakładany sukces jako „największy deweloper w historii Polski”. Liczby mówią same za siebie – w ciągu ośmiu lat powstało ponad 2 miliony mieszkań. Rocznie oddawano do użytku 279 tysięcy lokali. To wynik, który w kapitalistycznej Polsce nie został powtórzony nigdy, nawet w rekordowym 2008 roku, kiedy wybudowano 165 tysięcy nowych mieszkań.

Dlaczego o tym piszę? Bo tak wielki projekt miał również swoje wady. Na osiedla nierzadko trafiali ludzie z marginesu, w ciasnych klitkach gnieździły się całe rodziny, a same bloki często budowano w zawrotnym tempie, ale byle jak – byleby dotrzymać terminu. Wśród krzywych ścian, przeciekających rur, nieizolowanych budynków rosło pokolenie „dolnej

półki” społeczeństwa. Nie wszędzie, ale mimo wszystko osiedlowe środowisko sprzyjało przestępczości – zabójstwa, kradzieże i przemoc nie były sprawą marginalną. A złe emocje, jak wiemy, tworzą „plamy” na siatce rzeczywistości. Do nich ściągają zjawy i upiory, by żywić się tym, co zastaną.

Kiedy w 2012 roku badałem sprawę nawiedzeń na osiedlu Kalinowym w Krakowie, nie usłyszałem żadnej opowieści o duchach, ale o ludzkiej nędzy, przemocy, zawiści i wielkich marzeniach, którym kres położyły (jeśli ktoś miał szczęście) dwa pokoje i mała kuchnia w bloku z wielkiej płyty – z sąsiadem puszczającym techno z jednej strony i nieustającymi krzykami bitego dziecka z drugiej. Zapisałem wtedy takie zdanie:

> *Zjawiłem się tu za wcześnie, bo duchy i nawiedzenia na pewno się tu pojawią – w przyszłości, zwabione przez gniew, złość i cierpienie.*
>
> *Wystarczy tylko, że usiądę i poczekam.*

Ślad krwi, którym podążam od początku moich poszukiwań, zawiódł mnie ostatecznie do dwóch miejsc, co do których miałem pewność – w ich przypadku „za wcześnie” nie było.

BLOK SZALEŃCÓW Z URSYNOWA

Podczas szukania informacji o nawiedzonym bloku z Ursynowa, natykam się na temat na forum jednej z ogólnopolskich gazet. Jest czerwiec 2006 roku – pewna kobieta zastanawia się nad kupnem mieszkania, a ceny (jak na Warszawę) są mocno zachęcające. Z drugiej strony, im więcej szuka, tym bardziej jest przerażona. W końcu zwraca się o pomoc do mieszkańców. *Czy naprawdę jest tam tak źle?* – pyta.

Dostaje swoje odpowiedzi. Sporo, ale przytoczę dwie z nich:

A planujesz w nowym budynku na Herbsta, czy w starym, bo jeśli w starym, to serdecznie odradzam, wytrzymałam tam 3 lata i tylko dlatego, że musiałam i uciekłam stamtąd z krzykiem!!![55]

Druga jest już nieco konkretniejsza:

Jeśli chcesz mieć zszarpane nerwy, dzwonić codziennie na policję żeby spokojnie wyjść wieczorem z własnego mieszkania, wchodzić codziennie w windzie w ludzkie siki, wymiociny, kupy, łapać za klamkę do kraty przed drzwiami i umazać sobie rękę wymiocinami, bać się spokojnie pójść spać, bo wariat na chyba 2 piętrze poodkręcał kurki z gazem i trzyma zapalniczkę, strasząc, że wysadzi cały blok w powietrze, mieszkać obok alkoholików, gdzie mąż rozłupał żonie głowę po pijaku i jak wychodzisz z mieszkania, to wszystko we krwi, ślady rąk i nóg, a drzwi sąsiadów zaplombowane,

to myślę, że dokonałaś dobrego wyboru. Ja mogę tak pisać bez końca – nawet całą książkę o tym napisać, dodając jeszcze właścicielkę starego psa, który notorycznie jest umazany własnym g… i paniusia wsiada do windy na ścisk, a potem moje nowe spodnie mają brązowe plamy i one jeszcze się wrednie uśmiecha… – tak jak mówię, to tylko parę incydentów z mojego 3-letniego mieszkania tam. Gorąco polecam ten blok dla kogoś, kto chce mocnych wrażeń![56]

Co dzieje się na Herbsta 4? Wypowiedzi, które przytoczyłem, wskazują po prostu na patologię – i to w stopniu, który przekracza większość „norm" (o ile w ogóle można mówić o normach patologii) osiedli z wielkiej płyty. Co jednak patologia ma wspólnego z wydarzeniami paranormalnymi?

W przypadku bloku na ulicy Herbsta chodzi bardziej o częstotliwość tajemniczych wypadków – to one świadczą o klątwie. Nikt nigdy ani nie widział tutaj zjawy, ani też nie zarejestrował wydarzeń, które w jakikolwiek sposób łamałyby przyjęte przez naukę zasady fizyki. Nie zarejestrowano tu działalności poltergeista, mieszkańców nie straszą dziwne odgłosy, których źródła nie da się ustalić – nic z tych rzeczy.

Zmieniło się spojrzenie na nawiedzenia, które do tej pory było ściśle związane z występowaniem zjawisk paranormalnych. Chociaż może „zmieniło się" to złe słowo – pamiętam przecież zarówno sprawę z Turzy Wielkiej, jak i domu opieki pod Warszawą – i w jednym, i w drugim miejscu opowiedziano mi o sile, która wymykała się logice. W przypadku bloku na Herbsta 4 (jak również miejsca, do którego udam się później) mam do czynienia z zupełnie innym podejściem do tematu. Nawiedzenie budynku lub też ciążąca nad nim klątwa to wynik działania jakiejś nie do końca zrozumiałej siły, która zdaje się mieć wpływ na mieszkańców. Czegoś – jeszcze nienazwanego – co mąci w umysłach ludzi.

Tajemnicza groza, która sprawia, że lokatorzy popadają w szaleństwo.

Czytam powieści grozy – cała rzecz mocno „pachnie” mi prozą H.P. Lovecrafta, w której nienazwane zło wywołujące szaleństwo odgrywa kluczową rolę – chociaż nie sugeruję jakiegokolwiek związku między przypadkiem, który badam, a prozą mistrza grozy. Takie postrzeganie nawiedzonych miejsc wydaje mi się na swój sposób bardzo pierwotne i zupełnie naturalne. Od starożytności krążą opowieści o miejscach, do których lepiej się nie zapuszczać, ponieważ czyha w nich zło. Miejscach niebezpiecznych bez konkretnej przyczyny.

Trochę się zagalopowałem – przecież paranormalny powód, dla którego na Herbsta 4 nie jest spokojnie, został wskazany. Właściwie są dwa takie powody – o pierwszej historii opowiada jasnowidz, którego wynajęła ekipa programu *Przeklęte rewiry* TVN Warszawa. Wspomina o cieku wodnym, który dokładnie pod tym budynkiem znajduje ujście pionowo w dół. Zdaniem jasnowidza właśnie to powoduje nagłą ucieczkę energii z tego miejsca i ma wpływ na umysły mieszkających tu ludzi. Może to skutkować spadkami koncentracji, dezorientacją czy zupełną utratą kontroli nad sobą, stanami depresyjnymi, a nawet myślami samobójczymi oraz wzmożonymi skłonnościami do agresji. Jasnowidz znalazł też historyczne wyjaśnienie klątwy bloku na Herbsta 4 – w trakcie II wojny światowej ukrywało się w tej okolicy dwóch zbiegów. W miejscu, gdzie stoi teraz blok, stały jakiegoś rodzaju szopy czy komórki albo znajdowały się ogródki działkowe. Kiedy jeden z mężczyzn wyszedł, by poszukać jedzenia, i już nie wrócił, drugi w akcie rozpaczy popełnił samobójstwo.

Udaje mi się dotrzeć do jeszcze jednej historii – ta mówi wprost, że kiedy komunistyczny rząd odebrał te ziemie rolnikowi, który mieszkał tu wcześniej, ten rzucił na nie klątwę – i ta właśnie ciąży na nich do dziś.

Jakie są efekty?

Blok na Herbsta 4 już od samego początku istnienia nazywany był „domem wariatów”. Przyczynił się do tego jeden z jego lokatorów, który codziennie wychodził na swój balkon, by przemawiać do ludzi, śpiewać albo wykrzykiwać niezrozumiałe hasła.

Później kobieta odebrała sobie życie, skacząc z innego balkonu. Jej śmierć była tylko początkiem serii dziwnych wypadków – młodego chłopaka rozjechał samochód, potem jeden z mieszkańców zabił swoją żonę siekierą, w niedługim czasie kolejny samobójca – też młody chłopak – wyskoczył z okna, a następne samobójstwo popełnił miejscowy listonosz. Poza tym lokatorzy z Herbsta 4 umierali z powodu zawałów czy wylewów. Wydarzenia, które w innych okolicznościach zostałyby uznane za przykry wypadek, stawały się częścią czarnej serii.

Ale czy faktycznie miało to jakiś związek ze zjawiskami paranormalnymi?

* * *

Czy pod działką, na której znajduje się blok przy Herbsta 4, może biec ciek wodny? Pomijając fakt, że nazwa *ciek wodny* to typowy pleonazm, masło maślane – to możliwe, chociaż mało prawdopodobne, bo naturalne podziemne cieki występują w górach i pieczarach. Ten tutaj musiałby występować naprawdę bardzo głęboko, w przeciwnym razie zostałby odkryty w trakcie budowy bloku. Odpływ energii może być także efektem przebywania w danym miejscu potężnego bytu, który ją pochłania. Coś takiego działo się w domu opieki pod Warszawą, którego właścicielki narzekały na ciągły ból głowy, uczucie wychłodzenia i nieustanne zmęczenie. Takich relacji jednak na Herbsta nie słychać.

Dosyć łatwo jest mi się też uporać z teorią, jakoby w tym miejscu w trakcie II wojny światowej stały jakieś budynki albo znajdowały się

ogródki działkowe. Zarówno plany sporządzone przed wojną, jak i zdjęcia lotnicze z 1945 roku pokazują, że wszędzie tutaj były pola uprawne. Najbliższa chałupa znajdowała się blisko dwieście metrów dalej, po drugiej stronie ulicy Herbsta i po przeciwnej stronie ronda Webera. Wątpię, by to w niej ukrywali się uciekinierzy – miejsce to na pewno było zamieszkane. A jeśli nawet, żaden z nich nie miałby powodu, by gdziekolwiek wychodzić, żeby poszukać jedzenia.

Najbardziej więc prawdopodobna jest opowieść o klątwie, którą rzucił na te ziemie jej pierwotny właściciel, kiedy komunistyczny rząd mu je odebrał. Tę wersję historii potwierdzałyby również późniejsze wydarzenia rozgrywające się w bloku – dziwne wypadki, ciągły pech mieszkańców i nękające ich problemy – to wszystko przesądza o wyjątkowości tego miejsca.

Chociaż, trzeba to zaznaczyć, blok przy Herbsta 4 wyróżniał się od samego początku (jak już wspominałem, nazywano go „domem wariatów”). Oddano go do użytku pod koniec października 1981 roku i od razu było wiadomo, że nie jest to zwyczajny blok. Przede wszystkim okazał się ogromny – trzysta dwadzieścia mieszkań (głównie rozmiarów kawalerek), w piwnicach sklepy, gabinety lekarskie oraz bar. Całość przystosowana do potrzeb osób niepełnosprawnych i małżeństw z małymi dziećmi, oraz – jak się mówi – kilometry korytarzy łączących wszystkie lokale. Gdy się spogląda na mapę, można zauważyć, że budynek wije się niczym wąż na długości blisko stu pięćdziesięciu metrów. Pierwsi lokatorzy przybyli wiosną 1982 roku i zastali budynek, który – można to śmiało powiedzieć – spełniał ideę bloku jako samowystarczalnego miasteczka – z korytarzami zamiast ulic, sklepami, stołówkami i barem, który szybko zastąpił sklep monopolowy o wdzięcznej nazwie „Mefisto”. Wyobrażam

sobie, że musiał przyciągać sporą ilość lokalnego „elementu”, bo był jedynym takim sklepem na całym Ursynowie.

Aż do połowy lat dziewięćdziesiątych otoczenie bloku pozostawało właściwie niezabudowane – w miejscu, gdzie mieści się obecnie Pasaż Ursynowski, były tylko błoto oraz sad z gruszami, jabłoniami i orzechowcem, który młodszym mieszkańcom bloku służył za miejsce zabaw, kiedy tylko pogoda sprzyjała. Najmłodsze dzieci, które nie mogły wychodzić poza teren bloku, znajdywały sobie inne rozrywki, na przykład dla zabawy wspinały się na rury grzewcze. Nie byłoby to niczym szokującym, gdyby nie fakt, że te rury biegły wzdłuż niezabezpieczonych prześwitów pomiędzy piętrami. Upadek groził kalectwem lub śmiercią.

Tak wyglądała codzienność mieszkańców bloku na Herbsta 4 jeszcze w latach dziewięćdziesiątych, kiedy wydarzyła się większość dziwnych wypadków wspomnianej czarnej serii.

* * *

Podczas spaceru korytarzami bloku przy Herbsta 4 rzeczywiście można się poczuć nieswojo. Odrapane żółtawe korytarze oświetlone jarzeniówkami ciągną się w nieskończoność między piętrami i mieszkaniami. Co jakiś czas poprzedzielane są solidnymi metalowymi drzwiami albo kratami. To jak klaustrofobiczne więzienie – a jeśli w bloku rzeczywiście znajdują się głównie kawalerki, uczucie klaustrofobii, przebywania w ludzkim ulu, nie kończy się właściwie nigdy.

Teraz jest tu czysto, ale z łatwością mogę sobie wyobrazić to miejsce dwadzieścia lat temu, nawiedzane przez lokalnych pijaczków, którym korytarze służyły za sypialnie i toalety. Co jakiś czas napadali bezbronnych mieszkańców – o tym ostatnim pisze mi Jagna, która mieszka w pobliskim

bloku. Jest pisarką i wprowadziła się tu w okolicy 2000 roku, do tej pory widziała sporo, a o tym, czego nie zdążyła zobaczyć, usłyszała od sąsiadów.

Najwięcej napadów było przy windach i w windzie. Winda zasikana i śmierdząca. Na pewno niejedna kobieta straciła łańcuszki i torebki. Domofon w końcu założyli, po ataku nożownika na dziewczynę, w zimie w okolicach 2000 roku.

Kiedy pytam o klątwę, Jagna potwierdza, że o niej słyszała. Zna też historię o zbiegach uciekających przed Niemcami. Seria zgonów wywołanych klątwą rozpoczęła się właśnie w latach dziewięćdziesiątych. Kobieta, którą zarąbano siekierą, była podobno – jak relacjonuje pisarka – ruską prostytutką. Później powiesić się miał listonosz – w piwnicy. Problem polega na tym, że na Herbsta 4 piwnic nie ma, jest za to miejsce, gdzie znajdowały się sklepy – to tutaj mogło dojść do samobójstwa. Mimo prób nie udaje mi się zweryfikować prawdziwości tej plotki.

Tuż przed tym, jak się wprowadziłam, w 2000 roku, z okna wyskoczyła młoda matka. Często też były burdy z użyciem noży. I była taka Ula, która codziennie wychylała się przez okno na pierwszym piętrze nad totolotkiem i wyzywała przechodniów. No a potem mąż pobił żonę. Świecznikiem. Mieszkali na dziesiątym piętrze. Cały korytarz, dosłownie cały, był we krwi.

Przez wszystkie korytarze w bloku przeszedłem razem z A., moim znajomym egzorcystą. I chociaż ja czułem się w tym miejscu bardzo niepewnie, A. cały czas zachowywał spokój. Wahadełko, które trzymał w dłoniach, powoli, ale zdecydowanie zataczało okręgi. Na każdym piętrze, zanim wsiadaliśmy do windy, A. zatrzymywał się i pewnym głosem mówił:

– Nie widzę tu żadnych anomalii. Nic tu się nie dzieje.

Czyżby więc blok przy Herbsta 4 był zwykłym miejscem, w którym po prostu wiele osób miało pecha?

Kiedy doszliśmy na dziesiąte piętro, mój towarzysz zmarszczył brwi. Długie minuty spędził na badaniu korytarza wahadełkiem, które już nie zataczało spokojnie kółek, ale wirowało w jego palcach jak wściekłe. W końcu A. przytrzymał je dłonią i popatrzył na mnie w skupieniu.

– Tutaj coś jest nie tak z energią. Nic dużego, ale coś jest nie w porządku – stwierdził.

Czy wyczuł wtedy ślady po pobiciu tamtej kobiety, czy coś, co faktycznie oddziaływało na całe to miejsce?

> *Raz sama zadzwoniłam po policję* – pisze dalej Jagna. *Krzyki, płacz dziecka. Typowa awantura domowa, póki tłuką się między sobą, to mam to gdzieś, ale jak cierpi dziecko, trzeba reagować.*

Później nastała zima i pod blokiem zamarzł jeden z lokatorów. Kolejny zbieg okoliczności? Jagna wyznaje, że w te przestała wierzyć, kiedy niedługo później kolejny z mieszkańców odebrał sobie życie. Młody chłopak, zwykły mieszkaniec. Wyskoczył i roztrzaskał się o ziemię pod blokiem. Do dzisiaj nie wiadomo, jaki mógł mieć powód.

Być może klątwa Herbsta 4 tak właśnie działa – jedni tracą nad sobą panowanie, inni nie umieją dłużej żyć i wybierają samobójstwo.

Dzisiaj jednak są to po prostu opowieści – od lat przy Herbsta 4 nic się nie stało. Być może klątwa straciła swą moc, być może miejsce jest po prostu uśpione i to dlatego A. nie wyczuł wielu zakłóceń.

Jest natomiast miejsce podobne do Herbsta 4, lecz oddziaływująca na nie siła okazuje się o wiele bardziej zabójcza. I ciągle daje o sobie znać, ponieważ ostatni przypadek serii samobójstw wydarzył się już w czasie, kiedy badałem ten tarnowski blok.

O ile historię związaną z warszawskim blokiem mogę najprawdopodobniej uznać za zamkniętą, o tyle mrówkowiec w Tarnowie ciągle łaknie nowych ofiar.

---

55 Źródło: https://forum.gazeta.pl/forum/w,643,43016908,43016908,mieszkanie_na_stoklosach_herbsta.html [data dostępu: 3.05.2020].

56 Tamże.

BLOK SAMOBÓJCÓW

Była końcówka marca 2006 roku. Na Lwowskiej, jednej z głównych ulic Tarnowa, nie panował zbyt duży ruch. Wieczorna godzina sprawiła, że ulica powoli pustoszała. Ponownie miała się zapełnić nad ranem, kiedy do domów z centrum miasta wracać będą spóźnieni imprezowicze.

Kobieta, która szła jednym z chodników, z lekkim wysiłkiem pchała przed sobą wózek. To był niecodzienny widok – kto mógł o tej porze zabierać dziecko na spacer? Zwłaszcza tak małe, potrzebujące przecież snu. Kolejną dziwną okolicznością było to, że na swój wieczorny spacer matka wybrała właśnie dzień, kiedy większość okolicznych mieszkańców zajmowała sprawa tajemniczego zniknięcia ośmioletniej dziewczynki, Madzi. Nie można było wykluczyć, że człowiek, który stał za tym porwaniem, uderzy ponownie. Cokolwiek więc sprawiło, że trzydziestosiedmiolatka zdecydowała się wyjść z domu, musiało być bardzo ważne.

Kobieta przeszła obok długiego i wysokiego budynku. Przez moment wydawało się, jakby się wahała, czy stanąć, czy jechać dalej. Ale to była tylko chwila i matka z wózkiem kontynuowała marsz. Nieliczni przechodnie, którzy jeszcze byli na ulicy, nie zwracali na nią żadnej uwagi. Nieniepokojona przez nikogo, wjechała na chodnik za blokami 12 i 14 osiedla Westerplatte.

Coś jednak zwróciło uwagę trzech mężczyzn idących tym samym chodnikiem – może to, że kobieta szła sama, a może to, że o tak późnej godzinie wiozła w wózku dziecko, i z łatwością można by ją obrabować.

Możliwe, że trzydziestosiedmiolatka myślała w ten sam sposób, bo wyraźnie przyspieszyła kroku. To samo zrobili podążający za nią mężczyźni.

– Halo, proszę pani!

Pchająca wózek matka zauważalnie zwolniła, a potem stanęła. Mężczyźni dogonili ją bez większego trudu. Kobieta spoglądała to na jednego, to na drugiego z wyraźną obawą w oczach. Było w nich coś jeszcze – strach? Dezorientacja. Tak, jakby nie do końca zdawała sobie sprawę, gdzie jest i co robi.

– Proszę pani, wszystko w porządku?

Przechodnie otoczyli ją tak, że nie mogłaby uciekać, nawet gdyby chciała. Wszyscy trzej patrzyli na wózek – dziecko, które w nim leżało, z pewnością było o wiele za duże na tego typu sprzęt. Nóżki wystawały mu za ramę wózka i prawdopodobnie to zwróciło uwagę trzech mężczyzn.

– Moja córka jest chora, musimy do lekarza – wymamrotała kobieta. Miała zbielałe wargi i bladą twarz, na której wyraźnie odznaczały się teraz ciemne wory pod oczami.

– My pomożemy…

Jeden z mężczyzn podszedł do wózka i położył na nim dłoń. Kobieta usiłowała go wyszarpać, ale wtedy drugi przechodzień zdecydowanym ruchem odsłonił kocyk.

Wszystkim trzem ukazała się posiniaczona, opuchnięta twarz martwej ośmiolatki.

* * *

Trzej mężczyźni zatrzymali Elżbietę M. – później nazwano ją „dusicielką z Tarnowa” – i wezwali policję. Kobieta wywoziła zwłoki swojej ofiary – porwanej dziewczynki – z domu i bardzo zależało jej na ukryciu zbrodni,

której się dopuściła – przebywała bowiem na przepustce z więzienia. Na przepustce, którą sąd wydał na podstawie badań lekarskich, jakby ignorując fakt, że kobieta odbywa karę za morderstwo.

Dochodzimy do klątwy bloku samobójców, ponieważ śmierć syna Elżbiety M. – jedenastoletniego Amadeusza – miała związek z tym właśnie tarnowskim budynkiem.

Cofam się w czasie do października 2000 roku. 5 października chłopiec wychodzi do szkoły i mówi swojej mamie, że wróci odrobinę później, ponieważ chciałby jeszcze odwiedzić salon gier. Koło wpół do drugiej kobieta wychodzi do pracy i wraca do domu zmęczona po dwudziestej pierwszej, ale nie zastaje w nim syna. Ponieważ dręczą ją złe przeczucia, dzwoni do babci chłopca i jego ojca, swojego byłego męża, nigdzie jednak nie ma ani śladu po Amadeuszu. W końcu w okolicach północy matka zawiadamia policję. Poszukiwania trwają całą noc.

O szóstej rano do klatki numer 2 w bloku na ulicy Lwowskiej 59 wchodzi sprzątaczka. To jej zwykły dzień pracy, tak jak wczoraj, i jeszcze wcześniej ma zamiar posprzątać w zsypie na śmieci. Tym razem nie opróżnia kubłów – zaraz po wejściu do zsypu zauważa zwłoki chłopca. Później wśród mieszkańców bloku roznosi się plotka, że ten miał poderżnięte gardło. To nieprawda – zabójca, dwudziestoośmioletni Robert N., najprawdopodobniej udusił chłopca za pomocą smyczy z kluczem, którą ten miał zawieszoną na szyi. Oprawca tłumaczył się, że syn Elżbiety M. wulgarnie poprosił go o papierosy i chciał dać mu nauczkę. Ślad po uduszeniu mógł być mylnie zinterpretowany przez zszokowaną sprzątaczkę lub mieszkańców bloku.

Jak jednak doszło do tego, że matka chłopca sama stała się zabójczynią?

Mija miesiąc od śmierci Amadeusza. Dwudziestojednoletnia Kasia wychodzi z pracy około osiemnastej, ale nie wraca już do domu. Jej rodzice

szybko zgłaszają zaginięcie na policję i szukają córki na własną rękę, ale po paru dniach zostają poinformowani o znalezieniu zwłok dziewczyny. Spalonych i zbezczeszczonych w pożarze windy, który miał miejsce w jednym z bloków na Lwowskiej. Po paru dniach śledztwa policja wpada na trop Elżbiety M., w której mieszkaniu znaleziono włosy pobitej na śmierć Kasi. Jaki miała motyw? Jak sama stwierdziła, dziewczyna umawiała się z mężczyzną, który jej się podobał. To wystarczyło, by zabić.

Jaki wyrok można dostać za śmiertelne pobicie, a następnie zbezczeszczenie zwłok? Elżbiecie M. – być może ze względu na okoliczności śmierci syna – wymierzono karę jedenastu lat więzienia. Wyrok miał obowiązywać od 5 grudnia 2001 roku. 22 października 2005 sąd wypuścił kobietę na przepustkę. W marcu 2006 roku zabójczyni dwudziestojednolatki stała się znana w całej Polsce jako „dusicielka z Tarnowa”.

W liście do badających ją psychiatrów napisała:

> *Załamał się mój poukładany świat. Zostałam sama. Gdy podcięłam sobie żyły, pojawił się Amadeusz i powiedział, że jeszcze nie pora. Gdy to się stanie, pomoże mi przejść na tamtą stronę. Wiedziałam, że miłość mojego życia żyje, tylko w innym wymiarze*[57]*.*

Pozostaje jeszcze jedno pytanie: dlaczego dusicielka z Tarnowa zabiła ośmioletnią dziewczynkę?

Na nie Elżbieta M. także udzieliła odpowiedzi.

Pewnego razu Amadeusz przyszedł do niej i skarżył się, że „tam” nie ma się z kim bawić.

* * *

Historia tarnowskiej zabójczyni pokazuje, jak ból rodzi ból – tak jakby zawiść i złe emocje były chorobami, które szybko rozprzestrzeniają się wśród ludzi. Być może tak samo jest z nieszczęściami, złą aurą i samobójstwami. W tym wypadku tarnowski mrówkowiec – nazywany też blokiem samobójców – byłby miejscem, w którym choroba – klątwa, fatum, zła energia czy też depresja – ma swoje epicentrum. W tym wzniesionym na początku lat siedemdziesiątych budynku dochodzi do serii dziwnych wypadków i samobójstw – czasami popełniają je jego lokatorzy, czasami osoby, które po prostu tu przyjeżdżają. Wszystkie mają jeden cel: skoczyć.

Skąd bierze się klątwa tego bloku – nikt nie wie. Niektóre historie dotyczą cmentarza, który miał się tu znajdować przed wybudowaniem mrówkowca. Nie znajduję jednak potwierdzenia na żadnych mapach. Druga opowieść traktuje o kuźni i córce kowala, która się w niej powiesiła. Na jej prawdziwość również brak jakichkolwiek dowodów. Mówi się też o żydowskiej klątwie – to już bardziej prawdopodobne, bowiem przed II wojną światową w miejscu, gdzie dzisiaj znajduje się blok, były tylko stare drewniane domy, w których istotnie mieszkali Żydzi. Niemcy, od razu gdy tu dotarli, urządzili pogrom. Żydzi, którym udało się przeżyć, trafili do getta, a stamtąd do obozów śmierci. Źródłem historii o żydowskiej klątwie jest jedynie ta poszlaka wskazująca na obecność Żydów na tym terenie. To za mało. Zresztą współczesna klątwa nie potrzebuje wyjaśnień – fatum ciążące nad tym budynkiem objawia się w czarnej serii wypadków i zabójstw, do których od parudziesięciu lat dochodzi w tym miejscu.

Ile jest ofiar? Trudno powiedzieć – gdy usiłowałem znaleźć informacje na ten temat, spotkałem się z ludzką niechęcią. Niektórzy zwyzywali mnie od „zboczeńców”, inni po prostu odmówili komentarza. Nie dziwię się jednak członkom rodzin zmarłych – trudno przeżywać po raz kolejny

śmierć syna, córki, męża albo babci, zwłaszcza gdy nie nastąpiła ona z przyczyn naturalnych.

W najnowszym raporcie WHO[58] wspomniano, że co czterdzieści sekund na świecie ktoś popełnia samobójstwo. W Polsce jest to aż piętnaście osób dziennie, dwanaście z nich to mężczyźni, co lokuje nasz kraj na niechlubnym czwartym miejscu w Unii Europejskiej. Do tego Polska zajmuje drugą w UE lokatę w kategorii samobójstw dzieci.

Chociaż na tle tych statystyk liczba samobójstw w bloku przy Lwowskiej 59 nie wygląda tak groźnie, trzeba pamiętać, że mamy do czynienia z naprawdę dużą ilością przypadków na stosunkowo małym terenie. Gdy próbowałem ustalić, jak wygląda średnia samobójstw dla całego Tarnowa, odbiłem się od ściany – brak odpowiedzi. Taki sam mur wyrósł przede mną, gdy podczas swoich badań usiłowałem różnymi sposobami dotrzeć do policyjnych statystyk. Nieoficjalnie dowiedziałem się, że policja nie chce opowiadać o bloku samobójców, same rozmowy o nim nie są mile widziane i grożą krzywymi spojrzeniami w pracy. Chodzi przecież o klątwę – a to temat, którego należy bezwzględnie unikać.

Różni ludzie opowiadają mi o tym, co się działo w bloku na Lwowskiej 59, a ja powoli łączę ze sobą elementy układanki. I chociaż nie udaje mi się odnaleźć ich wszystkich, obraz, który się z nich wyłania, jest mocno niepokojący.

> *Kilka dni temu sama dzwoniłam na policję* – pisze mi jedna z osób, które chcą się ze mną podzielić swoją wiedzą. *Kobieta krzyczała, chciała skoczyć. Nogi mi się uginały w kolanach, serce chciało wyskoczyć, na szczęście wszystko dobrze się skończyło. Na koniec jeszcze kobieta mnie opierniczyła, a jak stanęłam z policją*

naprzeciw niej, okazało się, że była prawniczką. Kamień spadł mi z serca, jak ją ściągnęli.

Prawniczka miała szczęście, ponieważ większości ofiar bloku nie udaje się ściągnąć na czas.

Iwona, której rodzina mieszka w bloku samobójców, relacjonuje:

Mój wujek i ciocia tam mieszkali. Ciotka popadła w alkoholizm, mieli trzech synów, w niedzielę około 10:00 znaleźli ciotkę martwą. Zostawiła trójkę dzieci, które chodziły do podstawówki. A jak ktoś umrze w niedzielę, to zabiera kogoś w niedługim czasie, no i parę dni później zmarł nagle w nocy na zawał szwagier cioci. On też tam mieszkał, w tym bloku. Młody gość. Pamiętam, że jak byłam nastolatką, to skoczył tam jakiś mężczyzna. Miał problemy finansowe. Sąsiadka ciotki z klatki była w ciąży, miała przygotowany już dziecięcy pokój i poroniła. Wyskoczyła z okna, zabiła się.

Paweł wychował się niedaleko, w bloku numer 61. Często grał w piłkę na parkingu i widział ludzi, którzy skakali.

Widziałem gościa, który przywiązał linę do grzejnika, drugi koniec na szyję i wyskoczył przez okno. Był jeszcze sąsiad kuzyna, był chory na głowę. Wiercił dziury w ścianach, do środka upychał słomę i zapraszał jaskółki. Pewnego dnia o czwartej nad ranem zaczął strasznie krzyczeć, a potem skoczył.

Przypominam też sobie, że jakoś na początku lat 2000, zaginęły dwie dziewczyny, jedną z nich była siostra mojego kolegi, z którym chodziłem do szkoły. I ją zabił cygan, który mieszkał w tym bloku, trzymał ją tam długo, a potem wyniósł do innego budynku.

Kolejne dziwne wydarzenie opisuje Dariusz:

> *Tam się dużo działo, ale pamiętam taką historię, że na strychu tego bloku zmarł narkoman. Z przedawkowania. Mrówkowiec to takie miejsce, gdzie się przychodzi, by ze sobą skończyć, nie wiem, dlaczego tak jest. To przeklęte miejsce, zawsze mam ciarki, jak koło niego przechodzę.*

Rozmawiam też z panią Marią, która w bloku na Lwowskiej 59 mieszka od 1974 roku, czyli od samego początku. Nie jest w stanie podać dokładnych dat, ale mniej więcej umiejscawia w czasie to, o czym opowiada.

– To tak pędzi to życie… – wzdycha ze śmiechem.

Wspomina o młodym mężczyźnie, który dostał zwolnienie z wojska. Powiedział swojej matce, że idzie po papierosy i zaraz wróci – tak się nie stało. Wszedł do sąsiedniej klatki, przecisnął się przez sztaby blokujące dostęp do okien i skoczył. Sztaby zamontowano w bloku w 2001 roku – planowano również zakładanie krat, ale mieszkańcy się sprzeciwili. Sztaby oraz zamknięcie wejścia na dach miały wystarczyć, by odstraszyć samobójców. Jak widać, plan się nie powiódł.

Pani Maria opowiada mi dalej – wychowała dwóch synów, a jeden z nich, kiedy wychodził z klatki schodowej, natrafił na trupa. Tuż przed tym, nim wyszedł, skoczek zdecydował się na ostateczny krok.

Mamo – napomyka później chłopak – *jakbym wyszedł sekundę wcześniej, to on by na mnie spadł.*

Moja rozmówczyni mówi też o mężczyźnie, który udał się do urzędu skarbowego znajdującego się zaraz obok bloku – zaparkował swojego malucha przed mrówkowcem i wszedł do budynku fiskusa. Kiedy go opuścił, dostał się na najwyższe piętro bloku i skoczył. Kolejna historia –

kobieta, która szła z wózkiem pod blokiem. Samobójca roztrzaskał się o ziemię metr przed spacerówką.

Pani Maria opowiada dalej, a jej głos dołącza do chóru innych, których wysłuchałem podczas zajmowania się sprawą bloku samobójców. Kolejne historie nie mają już szczególnego wydźwięku – to tylko statystyka w moim notatniku. To źle, tak nie powinno być, ale jest ich zbyt dużo – na chwilę tracę z oczu to, że chodzi o ludzi. W 2001 roku w gazetach pisano o przynajmniej czternastu ofiarach tarnowskiego mrówkowca.

Łączę puzzle, które układają się w śmiertelną wyliczankę.

Koniec lat siedemdziesiątych: moja rozmówczyni słyszy dudnienie po suficie. Piętro nad nią biegnie piętnastoletnia dziewczyna, słychać brzdęk, kiedy – wyskakując przez okno – potrąca w locie suszarkę z ubraniami. Jej matka krzyczy tak głośno, że jej wrzask wwierca się w mózg. Nastolatka ląduje na chodniku, ale wcale nie umiera. Jej kości są pogruchotane, powbijane w narządy wewnętrzne, które jeden po drugim przestają działać. Ta pełna bólu agonia trwa całą noc. Piętnastolatka umiera dopiero rano.

Koniec lat osiemdziesiątych: pewna kobieta siedzi w autobusie jadącym w stronę centrum Tarnowa, pogrążona we własnych myślach – być może zastanawia się, co zrobić na obiad albo jak przeżyć kolejne dni. Nagle słyszy pisk hamulców, autobus hamuje. W tej samej chwili do jej uszu dobiega nieludzki wrzask i kątem oka wychwytuje sylwetkę młodej dziewczyny, która zaraz upadnie na chodnik. Pasażerka autobusu zamyka oczy, ale trzask rozbijającego się ciała będzie ją prześladować już zawsze.

Niedługo później z jednego z okien wyskakuje mężczyzna w średnim wieku, zostawia żonę i dziecko. Dlaczego to zrobił? Do dzisiaj nie wiadomo.

Początek lat dziewięćdziesiątych: świeżo upieczeni małżonkowie wysiadają z samochodu weselnego, za nimi idą muzykanci. Młodzi chcą

dotrzeć do domu, nim zjadą się goście, żeby móc w drzwiach witać nadchodzących przyjaciół i członków rodziny. Tuż pod ich nogami roztrzaskuje się ciało kobiety w średnim wieku.

Parę lat później młody mężczyzna sprząta swoje mieszkanie. Odkurza dokładnie półki, dywan, zmierza do sypialni i wtedy zauważa cień, który miga za jego oknem. Chwilę później rozlega się głuchy odgłos uderzenia. Mężczyzna dokładnie wie, co się stało. Zdaje sobie przecież sprawę z tego, w jakim miejscu mieszka.

1998 rok: z Łękawicy przyjeżdża mężczyzna. Choruje na raka. Wychodzi na samą górę i kończy ze sobą. Z Łękawicy do Tarnowa jest prawie sto trzydzieści kilometrów w linii prostej. Dlaczego przyjechał właśnie tutaj?

1999 rok: historia mężczyzny, o którym już słyszałem. Chory na głowę, skacze w krzaki i ginie.

W październiku 2001 roku próbę samobójczą podejmuje trzydziestosiedmiolatek. Około północy policja dostaje telefon – roztrzęsiona kobieta opowiada o tym, że w oknie na dziesiątym piętrze stoi mężczyzna. Kiedy funkcjonariusze przybywają na miejsce, okazuje się, że na klatce schodowej stoi dwóch mężczyzn, którzy rozmawiają z tym przymierzającym się do skoku. Policjanci na migi pokazują im, by nie kończyli rozmowy, a sami zakradają się pod okno i łapią mężczyznę, nim ten zdąży zrealizować swój zamiar.

Takiego szczęścia nie ma około dwudziestoletnia dziewczyna, która wyskakuje parę tygodni później. Jej ciało trudno nawet zidentyfikować.

Październik 2001 roku: sprzątaczka znajduje w zsypie zwłoki Amadeusza.

Luty 2001: czternastą – jak podają gazety – ofiarą bloku samobójców zostaje Arkadiusz, w chwili śmierci ma szesnaście lat. Do samobójstwa

miały go popchnąć kłopoty w szkole – to nieoficjalna informacja. Osoba z najbliższej rodziny nastolatka wspomina mi o depresji.

Wrzesień 2008: z dziewiątego piętra wyskakuje – lub też wypada – sześćdziesięciodwuletnia kobieta.

Styczeń 2019: kiedy badam już sprawę bloku samobójców, z budynku wyskakuje pięćdziesięciosześcioletni mężczyzna. Na jednym z daszków nad wejściem do klatki zostaje spore wgniecenie.

To jest ostatnie z wydarzeń, o którym mi wiadomo. Mimo wysiłków nie udaje mi się poznać wszystkich historii i dat. Jak wspomniałem wcześniej, w policyjnym środowisku Tarnowa temat bloku samobójców jest rodzajem tabu – w najśmielszych snach nie przypuszczałem jednak, że spotkam się z takim oporem. Próbowałem dotrzeć do informacji wieloma ścieżkami – od góry i od dołu organizacji – i za każdym razem odbijałem się od ściany odmowy, zbywano mnie jakimiś suchymi faktami. O tym budynku się po prostu nie mówi. Powodem może być zarówno to, że jedną z ofiar klątwy bloku samobójców miał być policjant (nie udało mi się tego potwierdzić), jak i to, że w ogóle mówimy o klątwie. A te, jak wiadomo, nie są mile widziane.

Gdy planowałem tę książkę, chciałem spiąć całość klamrą kompozycyjną – rozpocząć od czasów współczesnych i na nich skończyć. Nie mogłem jednak przypuszczać, że zarówno w Turzy Wielkiej, jak i w Tarnowie panować będzie zmowa milczenia.

Nie znam zatem wszystkich historii związanych z blokiem samobójców ani nie jestem pewien wszystkich dat – i chyba nie muszę. Z każdą kolejną opowieścią czuję, jak coś przewraca mi się w żołądku. Paradoksalnie, bo przecież w tej właśnie historii duchów jest najmniej. Mówi się o klątwie – jednak poza nienazwaną siłą, która przyciąga w to miejsce samobójców, nie

natknąłem się tu na nic, co świadczyłoby o manifestacji zjawisk paranormalnych.

To zupełnie nowe i inne spojrzenie na temat wydarzeń paranormalnych – bez wydarzeń paranormalnych jako takich, ale z widocznymi efektami działania niezidentyfikowanej mrocznej siły, która sprawia, że przybywają w to miejsce rzesze samobójców, lub popycha do odebrania sobie życia okolicznych mieszkańców.

Nie wszystkie z badanych przeze mnie historii samobójstw rozegrały się w bloku samobójców. Czasem opowieści dotyczyły innych mrówkowców – samobójstwo aktora Edwarda Żentary w maju 2010 roku. Samobójcza śmierć pięćdziesięciotrzylatki w bloku obok, z tego samego roku, albo ścigany morderca, który we wrześniu 2012 roku skacze z jednego z wieżowców na Lwowskiej.

Być może klątwa bloku samobójców nie ciąży tylko nad samym budynkiem na Lwowskiej 59, ale promieniuje również na okoliczne miejsca.

Tarnowski mrówkowiec wydawał mi się wcześniej zupełnie nieszkodliwy. W przeciwieństwie do bloku na Herbsta 4. Ale gdy poznałem różne historie, mam wrażenie, że jest to najstraszliwsze miejsce, jakie udało mi się odwiedzić w całym moim dotychczasowym życiu. Obojętnie, czy jego klątwa jest wynikiem działania sił paranormalnych, czy depresji, biedoty i szarości życia, której co wrażliwsze osoby nie potrafią znieść.

Najstraszniejsze we wszystkich opowieściach o zjawiskach paranormalnych jest właśnie to, że czasami po prostu łatwiej jest zwalić na duchy.

[57] Źródło: https://uwaga.tvn.pl/reportaze,2671,n/makabra-w-tarnowie-oficjalna-strona-programu-uwaga-tvn,133339.html [data dostępu: 3.05.2020].

[58] Źródło: https://www.who.int/news-room/detail/09-09-2019-suicide-one-person-dies-every-40-seconds?fbclid=IwAR0rQfAo5H62GOTbGDIkbdKeEmVAsaq6aoCO6AKnDg9-a3sb999c3vg7RR8 [data dostępu: 6.03.2020].

PODZIĘKOWANIA

Dotarliśmy do końca wszystkich historii. Muszę się z czegoś zwierzyć – pisanie tej książki, a przede wszystkim badanie nawiedzonych miejsc, sprawiło mi niesamowitą wręcz satysfakcję. Ale teraz, kiedy już skończyłem, poczułem równie niebywałą ulgę. To były bardzo pracowite dwa lata, podczas których przeżywałem tak radosne, jak i bardzo trudne chwile w życiu. Czasami tylko to, że pracowałem nad *Paranormalnymi*, pozwalało mi się podnieść z łóżka.

Powinienem więc podziękować wszystkim tym, którzy mi pomogli i przyczynili się do powstania tej książki.

Podziękowania należą się przede wszystkim Sławkowi Niznerowi, którego śmiało mogę nazwać ojcem chrzestnym tej publikacji. Sławku, jestem Twoim dłużnikiem.

Drugą osobą, której chciałbym podziękować, jest mój tata. Jak wspomniałem wcześniej – w ostatnim czasie zdarzały się także złe chwile – w tym problemy finansowe. Wyobraź sobie faceta, który rzuca wszystko i jedzie z synem w parodniową podróż po całym kraju, by ten mógł odpowiednio szybko zebrać potrzebne mu informacje. To mój tata, człowiek, który sprawił, że pokochałem literaturę.

Kolejne dwie osoby, kolega taty – Paweł Kitel, który ugościł nas podczas jednej z moich podróży (a dobrej gościny nie zapominam, taką

mam zasadę), oraz Basia Juśko, która nie raz wspomogła mnie swoim aparatem.

Jest jeszcze Duncan – człowiek, który zaraz po tym, jak wyszła moja (i nie tylko moja, to był specyficzny projekt) poprzednia książka o duchach, *Mapa Cieni*, zaczął mi masowo podsyłać materiały dotyczące kolejnych nawiedzonych miejsc. Bo – dużo wcześniej niż ja – był pewien, że *Paranormalne* powstaną. To dzięki jego wierze zacząłem myśleć nad tą książką.

Długo zastanawiałem się, jak wyrazić swoją wdzięczność wobec osób, które zgodziły się ze mną porozmawiać, kiedy badałem nawiedzone miejsca. Wyobrażam sobie, że to do moich drzwi puka jakiś obcy gość w długim płaszczu i z długimi włosami i zaczyna wypytywać o jakieś rzeczy. Przecież ja mam swoje życie, obowiązki, pracę. A niektórzy moi rozmówcy poświęcili mi długie godziny ze swojego życia. Z tym że często zaznaczali, iż chcą pozostać anonimowi. Tylko garstka osób, jak pan Andrzej Niewinny Dobrowolski czy Jacek Radzymski, pozwoliła na ujawnienie swojej tożsamości. Pozostałym więc muszę podziękować zbiorczo – Jagno, Edyto i reszto anonimowych: bardzo, bardzo Wam dziękuję. Tak samo dziękuję A. oraz innym, którzy jako egzorcyści czy demonolodzy zajmują się sprawami paranormalnymi, za konsultacje i pomoc.

Dziękuję też mojemu wydawcy. Za to, że nie zabił mnie, kiedy spóźniałem się z oddaniem tekstu (chociaż pewnie miał ochotę), oraz – co równie ważne – osobom zajmującym się redakcją i korektą. Mam w ogóle takie poczucie, że zdecydowanie zbyt rzadko w całym tym fachu kieruje się podziękowania do redaktorów i korektorów. A na merytoryczną krytykę nie jestem w stanie odpowiedzieć inaczej niż wdzięcznością. Za pomoc, poświęcony czas i pracę.

I – bardzo istotne – dziękuję również Tobie, drogi Czytelniku. Za poświęcony czas i za to, że zdecydowałeś się kupić tę książkę, a nie ściągnąć piracki plik z Internetu. Piszę te słowa w trakcie pandemii SARS-CoV-2 i doskonale zdaję sobie sprawę, jak ciężko jest dziś nie tylko pisarzom, ale i wydawcom. Teraz jak nigdy powinniśmy wspierać i tak już bardzo słaby rynek literacki, a Ty właśnie to zrobiłeś. A jeśli do tego moja książka coś Ci dała, to dziękuję po stokroć.

Projekt okładki
Marcin Słociński

Zdjęcia na okładce
Shutterstock

Opieka redakcyjna
Robert Medina

Redakcja
Krzysztof Chaba

Adiustacja
Maria Zając

Korekta
Joanna Kłos
Agnieszka Mańko

ISBN 978-83-240-5736-8

Znak Horyzont
www.znakhoryzont.pl



Książki z dobrej strony: www.znak.com.pl

Więcej o naszych autorach i książkach: www.wydawnictwoznak.pl
Społeczny Instytut Wydawniczy Znak, ul. Kościuszki 37, 30-105 Kraków
Dział sprzedaży: tel. 12 61 99 569, e-mail: czytelnicy@znak.com.pl

Na zlecenie Woblink

woblink

woblink.com

plik przygotowała Angelika Duchnik